Thomas De Jean

3

KSIĘGA TAJEMNIC

Część pierwsza

Istoty pozaziemskie wśród nas

Co widział Gary Wilcox?

Gary Wilcox rozrzucał obornik na polu w zalesionej, pokrytej wzgórzami okolicy, półtora kilometra od zabudowań farmy. Chciał sprawdzić, czy pobliskie pole było już wystarczająco suche na orkę, kiedy zobaczył nagły błysk, jakby „zajączka" puszczonego z lusterka. Niedaleko leżała stara wyrzucona lodówka, a jednak błysk doszedł go nie stamtąc. Kiedy szedł w kierunku pola, powiedział do siebie: „zabawne uczucie, zupełnie jakby coś miało się wydarzyć".

Gary Wilcox nie jest typem człowieka, który się łatwo podnieca. Pracuje sam na trzystuakrowej farmie na Wilson Creek Road w Newark Valley, w stanie Nowy Jork. Trzy razy dziennie doi swoje 150 krów. Robota w oborze często przeciąga się aż do późna w nocy. Jest człowiekiem rzeczowym i rozdrażnia go przerywanie pracy. A jednak tego dnia rutynowy rozkład zajęć tego młodego 28-letniego mężczyzny został przerwany przez niewiarygodne wydarzenie.

Wilcox nie dostrzegał nic szczególnego aż do chwili, gdy zbliżył się do światła na odległość około 50 metrów. Wtedy niespodziewanie, jak gdyby znikąd, pojawił się tajemniczy obiekt. Pomyślał, że wygląda on jak dodatkowy zbiornik na paliwo samolotu, przypominając sobie podobny kształt z czasów kiedy służył w wojsku. Obiekt miał około 7 metrów długości, jego szerokość wynosiła około 5-7 metrów, szerokość nieco ponad 1 metr, a oba jego końce były zaokrąglone. Wydawał się unosić niezbyt wysoko ponad ziemią. Gary podszedł bliżej i dotknął go. Czuł się tak, jakby dotknął samochodu, nie poczuł gorąca. Słyszał cichy odgłos podobny do tego, jaki wydawał silnik pracujący na jałowym biegu.

Kiedy położył na nim dłoń, spod obiektu ukazały się dwie figurki, wysokości około 60 centymetrów. Obie istotki przypominające kształtem człowieka były ubrane w srebrzyste, jednoczęściowe kombinezony. Ich głowy całkowicie pokrywał ten sam materiał, wyglądający na część ubrania. Wilcox nie mógł dostrzec ich rysów twarzy. Jedna z figurek zbliżyła się do niego, a druga trzymała się blisko pojazdu.

– Nie bój się – powiedział głęboki głos dochodzący gdzieś z kombinezonu, choć nie od strony głowy istotki – już wcześniej rozmawialiśmy z ludźmi.

Obie figurki trzymały mniej więcej na wysokości bioder tacki o powierzchni około jednego metra kwadratowego, wypełnione próbkami gleby i torfu. Ich dłonie były całkiem zakryte, więc Gary nie widział również ich palców. Nie mógł także dostrzec kształtów ich dłoni ukrytych pod tackami.

Tylko jedna z istotek rozmawiała z Garym. Druga stała cicho obok statku. Przemawiający zapytał Gary'ego, co robi na polu.

Farmer był nieco rozbawiony tym pytaniem. – Rozrzucam obornik – odpowiedział.

– Czemu to robisz? – padło następne pytanie.

W tym momencie Gary zaczął podejrzewać, że ktoś robi mu kawał. Niemniej jednak wyjaśnił, że nawóz użyźnia ziemię i pozwala uzyskać lepsze zbiory. Dodał, że stosuje także sztuczny nawóz. Zapytany z czego się taka substancja składa odpowiedział, że zawiera materię organiczną, wapno i inne składniki chemiczne.

Wtedy jego gość zapytał, czy ma trochę takiego nawozu i poprosił o podarowanie mu niewielkiej ilości. Gary pomyślał, że może został gdzieś w oborze jeden worek z poprzedniego roku i obiecał, że przyniesie im trochę –

jednak nie zrobił tego od razu i pogawędka, trwająca już blisko dwie godziny, była kontynuowana.

Gość wytłumaczył, że przybyli z Marsa, a następnie objaśnił, że choć u siebie uzyskują żywność z atmosfery, muszą znaleźć sposób na użyźnienie gleby, aby zwiększyć zbiory. Mogą przylatywać na Ziemię tylko raz na dwa lata, a w czasie obecnej wyprawy pracują na półkuli zachodniej. Powiedział Gary'emu, że mają wiele rodzajów statków, i że wiele z nich zostało użytych w czasie tej podróży. Wolą podróżować w ciągu dnia, gdyż ich obiekty są wtedy mniej widoczne. W nocy nie mogą nic zrobić, by ukryć swoją obecność, ponieważ ich statki powietrzne świecą w ciemności. Loty nad miastami powodują zakłócenia w funkcjonowaniu ich pojazdów, wolą więc podróżować nad obszarami niezabudowanymi.

Przybysze wydawali się zatroskani tym, że zostali ujawnieni i zapytali Gary'ego jak to się stało, że ich spotkał, ponieważ nie powinno było mu się to udać. Wilcox powiedział im, że nie widział statku aż do chwili, gdy znalazł się w odległości około 50 metrów od niego.

Choć pytania zadawane przez Marsjan dotyczyły przede wszystkim gleby, zbiorów i nawozów i, zdaniem Gary'ego, były dość naiwne, przekazali mu oni wiele wiadomości o przestrzeni kosmicznej i innych rzeczach, które były „nad jego głową" i których nie mógł zrozumieć ani spamiętać. Dowiedział się, że mieli teorię dotyczącą zmian nadchodzących we Wszechświecie, zmian, które dotkną także System Słoneczny i że „Mars może wkrótce znaleźć się tam, gdzie teraz jest Ziemia". Gary nie pytał, kiedy to się stanie – prawdę mówiąc w ogóle nie zadawał pytań – „oni gadali przez cały czas".

Dowiedział się także, że amerykańscy astronauci nie są w stanie przeżyć roku w kosmosie w obecnych warunkach i przy współczesnych metodach badania przestrzeni kosmicznej.

Tuż przed odlotem, przybysze porądzili Gary'emu, aby w swoim dobrze pojętym interesie nie mówił nikomu o tym, co go spotkało. Wrócili do swojego pojazdu wślizgując się znów od spodu, choć nie było widać luku ani otworu.

Statek wystartował długim płaskim ślizgiem, i wydawało się, że po prostu zniknął. Nie było słychać nic poza tym samym cichym szumem, żadnych wyrzuconych strumieni powietrza – nic. Marsjanie zniknęli.

Gary wrócił do obory po kolejny ładunek obornika i choć czuł się dość głupio robiąc to, wrzucił worek nawozu na przyczepę i zawiózł go na pole. Później powiedział, że czuł jakiś wewnętrzny przymus. Zrzucił worek na ziemię. Kiedy wrócił na pole następnego dnia, worka z nawozem już nie było. Zapytany, czy uważa, że Marsjanie wrócili po niego, Gary odpowiedział: „Cóż, każdy kto pokonałby całą tę drogę na pole po worek z nawozem za 80 centów byłby szalony".

Zapytany o jakieś dowody wizyty, Gary odpowiedział, że było na ziemi kilka odcisków wielkości mniej więcej sześciu centymetrów kwadratowych w miejscach gdzie stali goście. Zostało także na ziemi dużo galaretowatej substancji o czerwonawym zabarwieniu, dokładnie na miejscu, z którego wystartował statek. Gary powiedział, że dotknął jej, próbował podnieść, lecz nie mógł jej utrzymać. Nie zostawiła żadnych plam na jego rękach. Została na ziemi jeszcze przez dzień czy dwa, a później zniknęła.

Następnego dnia po opisanym incydencie, Gary zadzwonił do matki, by opowiedzieć jej o swojej przygodzie. Żartobliwie zapytała go, czy wcześniej nie pił.

– O dziesiątej rano? – zapytał Gary.

Z pewnością wątpliwości matki zostały do pewnego stopnia rozwiane, kiedy na początku następnego tygodnia ukazał się w gazecie reportaż o podobnym pojeździe widzianym w stanie Nowym Meksyk; kontakt miał miejsce tego samego dnia, kiedy widział go Gary. Po przeczytaniu artykułu, matka zadzwonił do syna i powiedziała, że chyba mu wierzy.

Zapytany, czy bał się swoich gości, Gary odpowiedział, że nie, ponieważ z początku myślał, że ktoś próbuje go nabrać. Gdy już zorientował się, że to nie był kawał, nie było się czego bać: „Nie wydawali się być wrogo nastawieni”.

Władze nie otrzymały żadnego raportu w chwili, kiedy miało miejsce spotkanie z tajemniczymi przybyszami, niemniej jednak historia ta rozpowszechniła się bardzo szybko i pole Wilcoxa stało się obiektem inwazji poszukiwaczy niezwykłości. Każdy reporter czy zaciekawiony amator, który pragnął wypytać Gary'ego, przeżywał ciężkie chwile starając się wydobyć z niego jak najwięcej, ponieważ farmer odpowiadając na pytania nie przerywał pracy.

W końcu historia ta trafiła do biura szeryfa okręgu Tioga w stanie Nowy Jork i Gary został wezwany na przesłuchanie. Powiedział, że nie przywiązuje dużej wagi do tego, czy ktoś uważa jego opowiadania za wiarygodne, czy też zarzuca mu kłamstwa. Uważa, że jego powinnością było opowiedzieć o tym co widział i słyszał.

Mieszkający w Dolinie Newark brat Gary'ego Wilcoxa, Floyd, powiedział, że jest przekonany, że jego brat mówi prawdę: „Jeśli Gary twierdzi, że to się zdarzyło, to znaczy że się zdarzyło. Nie ma nic do zyskania, a dużo do stracenia opowiadając takie historie. Wierzę, że mówi prawdę”.

Przedstawiciel Bazy Sił Powietrznych w Hancock oświadczył. że incydent „jest badany”, i że po zakończeniu dochodzenia zostanie wydane w Waszyngtonie oświadczenie Pentagonu.

Przedstawiciel BSP w Hancock powiedział, że pewna agencja w Pentagonie, Projekt Błękitna Księga, bada wszystkie raporty o obcych obiektach. Siły Powietrzne nie podały jednak, kiedy w przybliżeniu takie śledztwo może się zakończyć.

Jak podano, naukowcy z placówki IBM w Owego udali się na farmę Wilcoxa w czwartek wieczorem, prawie tydzień po incydencie, aby zebrać próbki z miejsca, z którego według Wilcoxa, wystartował statek kosmiczny.

Specjaliści z IBM słyszeli, że na miejscu startu pojawiła się czerwona plama i planowali zebrać próbki ziemi i trawy w celu określenia, czy występują w nich obce substancje. Jednak następnego wieczora, w piątek, ogłoszono, że naukowcy IBM nie będą badali próbek na tym terenie jak to podano wcześniej. Skoro czekano prawie tydzień, można przecież jeszcze poczekać.

Gary Wilcox nie przypuszcza, że kosmici wrócą na jego farmę: „Mają całą półkulę do zbadania. Wątpliwe jest więc, żeby tu wrócili, chyba że za jakiś czas".

Tajemnica UMMO

Carlos pomyślał, że wkrótce będzie zbyt gorąco na codzienną przechadzkę. Ale późną wiosną powietrze było wspaniałe. Siedział na trawie wdychając zapach sosen. Otworzył gazetę, którą kupił na dworcu autobusowym w drodze powrotnej z Madrytu i zaczął czytać wiadomości sportowe. Przez parę minut panował całkowity spokój. Nagle głośny krzyk dziecka sprawił, że oderwał oczy od gazety.

Za rzędem drzew na północnym wschodzie unosił się statek kosmiczny. Leciał on po krzywej równoległej do linii wysokiego napięcia. Był to duży, soczewkowaty obiekt o średnicy co najmniej 40 metrów. Nagle przechylił się na bok i Carlos stracił z oczu jego błyszczącą kopułkę. Upuścił gazetę i zerwał się na nogi. Uderzył go dziwny znak na spodniej stronie statku: przypominał duże H z pionową kreską pośrodku. Nie był to dokładnie astrologiczny symbol Urana, mógłby przypominać literę cyrylicy, gdyby pionowe kreski były lekko wygięte. Inni opisywali ów znak później jako M albo H, ale Carlos wyraźnie widział pionową kreskę pośrodku.

Dziwaczny statek przechylił się w prawo, poleciał na południowy wschód, gdzie znowu zawrócił, po raz drugi pokazując swój dziwny emblemat, i poleciał na północ. Przez kilka minut trwał nieruchomo nad kościołem, potem wystrzelił w górę z niewiarygodną prędkością i zniknął wszystkim z oczu. Jego barwa przechodziła stopniowo z jasnożółtej w pomarańczową, a w końcu w czerwoną.

Carlos spojrzał dokoła na dziesiątki ludzi, ciągle wpatrujących się w niebo w nadziei, że statek powróci. Były tam całe rodziny odpoczywające w cieniu sosen, robotnicy z żonami, wracający z Madrytu, były bawiące się dzieci. Słońce właśnie zaszło.

Był to 1 czerwca 1967 roku. Miejscem wydarzeń było spokojne przedmieście Madrytu zwane San Jose de Valderas. „Ciekawe, czy napiszą coś o tym w jutrzejszych gazetach" – zastanawiał się Carlos.

Następnego ranka Antonio San Antonio, redaktor graficzny popołudniówki madryckiej ,,Informaciones" otrzymał telefon od człowieka, który powiedział mu, że oddaje do jego dyspozycji pięć nadzwyczajnych dokumentów fotograficznych, negatywy serii zdjęć, jakie udało mu się zrobić poprzedniego popołudnia w San Jose de Valdener. Rozmówca odmówił podania swego nazwiska. „Negatywy – powiedział – są do odebrania w laboratorium fotograficznym Calle General Ricardos". Gazeta opublikowała owe zdjęcia, niestety bardzo złej jakości.

Rzecz ciekawa, negatywy nie były jednym ciągiem. Przypuszczano, że tajemniczy fotograf zatrzymał kilka sensacyjnych zdjęć do swego prywatnego użytku.

Kiedy opublikowane zostały zeznania i zdjęcia, w Madrycie powstało znaczne poruszenie. Prywatni badacze pognali na miejsce wypadków i zaczęli apelować o dodatkowe szczegóły.

W dwa miesiące później, 26 sierpnia 1967 roku, inny świadek nazwiskiem Antonio Pardo przedstawił dwie fotografie, tak słabe jak poprzednie, wraz z pewnymi dalszymi szczegółami. I znowu został nawiązany telefoniczny kontakt z jakimś tajemniczym człowiekiem, ale kiedy badacze próbowali się z nim spotkać, nie mogli go znaleźć.

Jeżeli naniesie się na mapę trasę lotu obiektu, oba zestawy zdjęć zgadzają się z ustnymi opisami. Ale dwaj autorzy zdjęć tajemniczo zniknęli.

Młody człowiek jadący w kierunku Santa Monica, przedmieścia Madrytu pomiędzy wpół do dziewiątej a dziewiątą wieczorem tego samego dnia, zaobserwował owalną łunę z białym środkiem i zamglonymi żółtymi brzegami, przemieszczającą się szybko w kierunku restauracji La Ponderosa. Później zobaczył jak światło uniosło się w górę i zniknęło.

Mr. Rivero, sklepikarz zamieszkały w Santa Monica przy Calle de Sedano 33 zobaczył ,,stożkowatą rzecz" wysyłającą ogniste światło, lecącą nad drzewami i szybko się wznoszącą.

Donna Eugenia Arbid Alonso mieszkanka dużej rezydencji, z której jest widok na całą okolicę Ponderosa w Colonii Santa Monica, razem ze swoją matką zaobserwowała ten sam obiekt ze swych okien.

„Widziałam to – opowiada – tak wyraźnie, jak widzi się z bliska samolot ze światłami i oknami. A potem zobaczyłam, że to jest coś okrągłego, nie myślałam, że to jest po drugiej stronie płaskie. I wtedy, patrząc na to, zobaczyłam że się opuszcza. Cóż to była za dziwna rzecz! Powiedziałam do siebie, że chyba dzieci coś tam robią. I wtedy to wylądowało, przynajmniej z tej odległości odniosłam wrażenie, że wylądowało na ziemi. Potem się uniosło i zatrzymało kilka metrów od ziemi a potem – jest i już go nie ma – i nie mogłam stwierdzić, gdzie się podziało!"

Antonio Munoz jest młodym człowiekiem, który w czasie incydentu znajdował się wewnątrz restauracji. Stał na drabienie, wkręcając kolorowe żarówki w oczekiwaniu na przybycie wieczornych klientów. Nagle wbiegł jakiś człowiek:

„Słuchaj – jechałem drogą i zobaczyłem światło, które leciało poziomo i opuściło się. Było żółte, wysoko, ale nagle zrobiło się większe i obniżyło się prawie dokładnie nade mną. Zdaje się, że ten statek, czy cokolwiek to było, wylądował akurat w pobliżu La Ponderosa".

Antonio Munoz pomyślał, że facet zwariował, wysłał go do diabła i nie pofatygował się sprawdzić prawdziwości jego słów.

Pięć albo dziesięć minut później przybyła samochodem jakaś para. Kobieta była bardzo zdenerwowana, a mężczyzna powiedział Munozowi, że widział oświetlony obiekt, który wylądował około 200 metrów od restauracji. Kobieta zaczęła krzyczeć, mężczyzna, w średnim wieku, zachowywał spokój i naszkicował obiekt z symbolem przypominającym literę H na spodniej stronie.

Następnie przybyły dwie młode pary, dziewczyny obejmowały się wzajemnie i łkały. „Ogromna kula ognia — opowiedziały — obniżyła się ukośnie w ich kierunku i wylądowała w pobliżu ich samochodu".

Mężczyzna w średnim wieku wrócił później i ponownie rozmawiał z Munozem. Po jakimś czasie udał się na miejsce lądowania. Następnego ranka ten sam mężczyzna znalazł trzy znaki tworzące równoboczny trójkąt o boku długości 6 metrów. W centrum trójkąta trawa była spalona i znaleziono tam metalowy proszek.

Tego samego wieczora miała miejsce jeszcze jedna wizyta. Do restauracji przyszło kilku mężczyzn, rozmawiali oni z Munozem. Kiedy ten podał im opis podany przez świadków, ożywili się bardzo, twierdząc że zgadza się to z sygnałem, jaki otrzymali z innej planety. W ciągu następnych dni kilku sklepikarzy w okolicy otrzymało niezwykły list pisany po hiszpańsku jakimś dziwacznym formalnym i ozdobnym stylem, niedatowany i podpisany francuskim nazwiskiem Henri Dagonoset. Zaczynał się on tak:

Szanowny Panie,

1 czerwca 1967 roku miał miejsce incydent wspomniany w prasie hiszpańskiej i przez agencje prasowe krajów europejskich. W pewnym miejscu położonym około 3 km od drogi Boadilla del Monte (Madryt), wylądował okrągły pojazd, który gazety sklasyfikowały jako „latający spodek".

Kilka dni później pracownik stalowni i młoda dziewczyna zamieszkała w pobliżu Santa Monica znaleźli kilka metalowych *cylindrów z centralnie umieszczonym dyskiem,o następujących wymiarach: długość rury – 129,8 mm, średnica rury – 8,8 mm, średnica środkowego metalowego dysku – 24 mm. Obie kapsuły są teraz w naszych rękach i załączamy fotografię oraz rysunek jednej z nich. Przypominają one cylindry z aluminium, z zaokrąglonymi końcami.*

Zgodnie z posiadanymi przez nas informacjami, nieznana liczba takich cylindrów znaleziona została przez mieszkańców okolicy. Na pewno nie mają one żadnej wartości dla obecnych posiadaczy (poza oczywistą ciekawością wynikającą z ich odkrycia) i jeżeli posiada Pan legalnie otwarty zakład na tym obszarze stolicy Hiszpanii, najuprzejmiej prosimy o powiadomienie o treści niniejszego pisma swoich zwierzchników i sąsiadów.

Skłonni jesteśmy zaoferować sumę do 18 000 pesetów (dokładnie 300$) za każdy z cylindrów, którego wygląd zgadza się z załączonym opisem. W przypadku, jeżeli kapsuła została znaleziona uszkodzona lub pęknięta, o ile zawartość jej jest w dobrym stanie, gotowi jesteśmy przedstawić jej aktualnemu posiadaczowi inne propozycje.

Biorąc pod uwagę Państwa uprzejmość i współpracę przy rozpowszechnianiu niniejszej notatki (której kopie rozesłane zostały do pięciu innych zakładów) oferujemy Panu 7000 pesetas za każdą kapsułę, którą uda nam się otrzymać dzięki Pańskiej pomocy.

Końcowy fragment listu wskazuje na cel poszukiwań:

Nasze zainteresowanie ma charakter czysto naukowy. Kapsuły nie zawierają żadnego urządzenia o znaczeniu militarnym, ale powtarzamy, czysto technicznym.

Działalność nasza ograniczona jest do badań tzw. UFO (niezidentyfikowanych obiektów latających) zwanych popularnie w tym kraju platillos volantes.

Kopię tego listu otrzymał Mr. Francisco Arroyo, właściciel baru o nazwie Santa Monica. Otrzymał ją też Mr. Munoz, właściciel La Ponderosa. Zgodnie z jego zeznaniem, Mr. Rivero, cytowany powyżej sklepikarz, również otrzymał jedną kopię. Z listem nadeszła oddzielna notatka, aby wszelką korespondencję przesyłać na adres:

Mr. Antoine NANCEY
Lista de Correos – Madryt
Correos

Analiza kapsuł

Badacz hiszpański nazwiskiem Farrids miał szczęście zdobyć jedną z kapsuł. Została ona rzekomo znaleziona przez 12-letniego chłopca, który otworzył ją przy pomocy szczypiec. Ów ważny materiał dowodowy nie został jednak bezpośrednio zdobyty przez Farridsa. Farrids otrzymał go od innego entuzjasty UFO, który dostał go od Antonio Pardo tego samego człowieka, który wykonał jeden z zestawów zdjęć w San Jose de Valderos – a który nigdy nie był przesłuchiwany przez żadnego z badaczy. Jak mógł ktoś zauważyć, nazwisko Antonio Pardo daje się przetłumaczyć na Antohny Brown.

Urządzenie badane przez Farridsa i Roberę zawierało kawałek zielonego tworzywa plastycznego z emblematem UFO: trzema pionowymi kreskami przekreślonymi poziomo. Zgodnie z zeznaniem chłopca w cylindrze znajdowały się dwa takie kawałki oraz dziwny płyn, który wyciekł i wyparował po otwarciu kapsuły.

Tak się złożyło, że wuj Farridsa był przewodniczącym INTA, Hiszpańskiego Instytutu Badań Kosmicznych. Przedmioty zebrano do laboratorium INTA i poddano szczegółowym analizom. Wszechstronne badania techniczne wykazały, że:

1. Kapsuła wykonana została z niklu o bardzo wysokim stopniu czystości (99%), ze śladami magnezu, żelaza, tytanu i kobaltu, krzemu i glinu. Drogą analizy wid-

ka w Policach
Filia Nr 8
w Hotelu

mowej tworzywo plastyczne zidentyfikowano jako polifluorek winylu.

W czasie, kiedy miały miejsce te wydarzenia, materiał ten wytwarzany był wyłącznie przez firmę du Pont z Nemouro w USA, pod nazwą handlową teflon. Użycie jego było ograniczone, ponieważ produkt nie znajdował się w sprzedaży. Teflon posiada nadzwyczajną odporność na promieniowanie ultrafioletowe, a także na wpływy atmosfery, rozpuszczalniki, kwasy i zasady oraz na ścieranie. Używany jest przez NASA na pokrywanie rakiet przed startem oraz w pewnych celach militarnych.

Nie trzeba dodawać, że teflon nie był do nabycia na otwartym rynku hiszpańskim. Aby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, dodajmy, że nikogo o nazwisku Henry Dagonosset ani Antoine Nancey w Madrycie nie znaleziono.

Kontakt z UMMO

Fernando Sesma Manzano jest pracownikiem rządu hiszpańskiego i pomniejszą figurą wśród literatów madryckich. W roku 1954 założył „Stowarzyszenie Przyjaciół Hiszpanii", zajmujące się badaniem UFO. Przez kilka lat chciwie rozczytywał się w literaturze o latających spodkach i miał nadzieję, że pewnego dnia skontaktują się z nim jakieś istoty z kosmosu. Był więc dobrze przygotowany, kiedy w pierwszych dniach stycznia 1965 roku zgłosił się do niego telefonicznie jakiś człowiek o silnym obcym akcencie, i zaczął wygłaszać ciąg dziwnie brzmiących słów, które Sesma starannie notował.

Mówiąc po hiszpańsku, obcy zaznaczył, że poda pewne fragmenty rozkazu pozaziemskiego.

– Dlaczego nie mielibyśmy się spotkać osobiście? – zapytał Sosma.

– W tej chwili jest to niemożliwe. – usłyszał – Stosuję się do ścisłych rozkazów.

Przez najbliższe miesiące Sesma był zalewany materiałami pisanymi na maszynie i rozmowami telefonicznymi od swoich kosmicznych przyjaciół. Przybywały również informacje w postaci listów aż z Australii, z uwagami dotyczącymi wydarzeń, jakie miały miejsce w Madrycie około 48 godzin wcześniej. Niektóre przesyłki zawierały wspaniałe, trójwymiarowe fotografie. Na setkach stron wypełnionych ściśle technicznymi szczegółami, jak również rozważaniami filozoficznymi, Sesma ujrzał nieznany system myśli jakiejś innej formy życia z planety UMMO, odpowiedzialnej za działalność latających spodków na Ziemi!

Czy pochodziły z Australii, Hiszpanii, czy jakiegokolwiek innego miejsca, dokumenty były zawsze stemplowane symbolem UMMO General Government, trzema pionowymi kreskami przekreślonymi poziomo.

6 lutego 1966 roku w Alucha, na przedmieściach Madrytu, grupa żołnierzy z tymczasowych magazynów amunicji zaobserwowała pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem duży kolisty obiekt, który wylądował niedaleko San Jose de Valderas i Santa Monica. Obiekt ten widział również Vincente Ortumo i Jose Luis Jordan, który jechał w tym czasie w kierunku Madrytu. Opis Jordana (opublikowany w magazynie „Porque" w Barcelonie 16 stycznia 1966 roku i w następnych artykułach Ribery) można podsumować następująco: zobaczył on zbliżający się ku niemu białawy dysk, barwa jego zmieniała się na żółtą i pomarańczową. Wyskakując z samochodu zauważył, że obiekt wylądował w pobliżu lotniska. Podjechał bliżej, zdążył zobaczyć dysk, o średnicy około 30 stóp, niezwykle jasny, jak wznosi się szybko nad ziemią. Wydawał jednostajną przytłumioną wibrację. Nagle po prostu ,,odleciał". Na miejscu znaleziono później trzy głębokie prostokątne ślady.

Kiedy dysk uniósł się, Jordan wyraźnie widział jego spód. Był tam dziwny symbol, znak UMMO. Dla Fernanda Sesmy i nielicznej grupki ludzi w Madrycie, którzy posiadali dokumenty stemplowane tym samym symbolem, owa zbieżność była naprawdę fascynująca.

Informacje

Chcemy poinformować planetę Ziemię o naszym pochodzeniu, działalności i celach naszej wizyty u was. Pochodzimy z UMMO, planety krążącej wokół gwiazdy IUMMA, znanej na ziemi jako Wolf 424.

Otrzymaliśmy instrukcję 12 stycznia 1965 (ziemskiej ery chrześcijańskiej), dotyczące charakteru i zakresu informacji. Zatwierdzona wersja [...]

Jak już powiedzieliśmy, przybywamy z planety, czy też z zakrzepłego ciała niebieskiego UMMO, którego dane przedstawiają się następująco:

Orbita: eliptyczna, ogniskiem jej jest Wolf 424 (IUMMA), który służy za słońce. Odległość od środka Wolfa 424 do środka Systemu Słonecznego w dniu 4 stycznia 1953 wynosiła 368 502 lat świetlnych.

Zgodnie z tą samą serią przekazanych informacji, masa UMMO wynosi 514 x 10^{23} *ton. Warunki atmosferyczne na planecie zbliżone są do ziemskich, jest więc logiczne, że jej mieszkańcy wyglądają bardzo podobnie do nas, poza jedną różnicą – nie mają migdałków. Pomiędzy 14 a 16 rokiem życia struny głosowe dzieci twardnieją, dlatego też dorośli mieszkańcy UMMO nie są zdolni do werbalnego komunikowania się i muszą posługiwać się telepatią. Polega to na utrzymywaniu w świadomości obrazu rozmówcy i wysyłaniu impulsów trwających około 0.14 milisekundy. Impulsy te nazywane są buae biee. Dzięki użyciu dwujęzykowego, specjalnego kodu, możliwe jest jednoczesne prowadzenie dwukierunkowej konwersacji.*

Warto zauważyć, że nieliczni dorośli mieszkańcy UMMO zachowują swój organ głosu. Przykładem tego byli wysłannicy, którzy przekazywali Sesmie informacje telefoniczne.

Najbardziej kompletnym wyjaśnieniem natury UMMO wydaje się być zwięzły dokument napisany po francusku, który powstał w RFN i napisany był tak niezdarnym stylem, że mógłby zdradzać autora hiszpańskiego, gdyby nie fakt, że inne elementy wydawały się wskazywać, że miał on trudności w posługiwaniu się nie tylko francuskim, ale jakimkolwiek ludzkim językiem.

Zdajemy sobie sprawę z transcendentalnego charakteru tej wiadomości.

Jesteśmy świadomi, że oświadczenia tego rodzaju są zwykle formułowane przez mistyfikatorów, przez osoby o zachwianej równowadze psychicznej i fantastycznych pomysłach lub też, być może, przez jakichś dziennikarzy, specjalistów od reklamy albo jakichś działaczy politycznych, ezoterycznych lub religijnych organizacji, którzy w użyciu tego typu informacji mogliby widzieć korzyści dla swojej grupy.

Dalej list zawierał notę ostrzegawczą. Czytelnika proszono o maksymalnie krytyczne podejście do otrzymanych informacji i podjęcie wysiłków mających na celu ustalenie prawdziwości dalszych twierdzeń, które oparte były wyłącznie na opisach świadków. Jeśli chodzi o UFO, list był jeszcze bardziej ostrożny.

Należy zauważyć, że ciągu ostatnich kilku lat, kiedy w atmosferze Ziemi pojawiały się UFO, fantazja ludzka przeszła samą siebie w prasie ukazywały się informacje dotyczące tych zjawisk, jednak rzadko były autentyczne.

Zdajemy sobie sprawę, że doniesienia te stworzyły atmosferę niewiary i wiemy, że nasze oświadczenia potraktowane zostaną bardzo krytycznie. Jednak dokument ten, napisany przez jednego z naszych pracowników przesyłamy wam nie po to, aby uwierzono nam bez żadnych innych dowodów.

Dokument stwierdzał następnie, że „grupy wykształconych osób, które wiedzą o naszym istnieniu, chociaż, za naszą namową, zachowują dyskretne milczenie na ten temat, istnieją w Kanadzie, Austrii, Hiszpanii i Jugosławii".

Dalsza część listu dotyczyła kontaktów z naszą planetą:

O godzinie 5:17 CMT ziemskiego dnia w marcu 1950 roku oawolenouewn (soczewkowaty pojazd kosmiczny) po raz pierwszy w naszej historii zetknął się z ziemską litosferą. Lądowanie miało miejsce w pobliżu wsi La Jawie we Francji.

Jesteśmy ludźmi starszymi od was, którzy osiągnęli również wyższy poziom cywilizacji. Inna jest też nasza struktura społeczna. Rządy sprawuje czterech członków wybranych drogą oceny psychofizjologicznej. Prawa ustanowione są jako funkcja stałych socjometrycznych, których pomiary dokonywane są co pewien czas.

Inny jest również nasz system ekonomiczny. Nie znamy pieniędzy, ponieważ transakcje dotyczące towarów (a niewiele jest takich, które dają się wycenić), które istnieją na UMMO odbywają się poprzez sieć czegoś, co wy na Ziemi nazywacie komputerami. Zwykłe dobra konsumpcyjne są praktycznie nie do wyceny, ponieważ ich obfita produkcja znacznie przewyższa popyt.

Społeczeństwo nasze jest głęboko religijne. Wierzymy w Stwórcę nazywanego Woa, czyli Bogiem i mamy naukowe argumenty potwierdzające jego istnienie.

Nie chcemy wywierać żadnego wpływu na rozwój społeczny waszej planety z dwóch powodów. Moralność kosmiczna zabrania jakichkolwiek ingerencji wewnątrz struktury społecznej innych planet. Co więcej – jakakolwiek interwencja podjęta przeciwko nam – oficjalnym przedstawicielom UMMO, spowodowałaby poważne odkształcenia od normy, nieobliczalne zaburzenia społeczne i w ten sposób badania i analiza naszego społeczeństwa na jego obecnym wczesnym stopniu rozwoju byłaby niemożliwa.

Nasze skromne wysiłki w celu nawiązania kontaktu, takie jak ten, podjęty obecnie w celu nawiązania kontaktu z panem, nie spowoduje wielkiej zmiany, ponieważ liczymy się z naturalnym sceptycyzmem, z jakim się one spotkają.

Sprawa UMMO nabrała rozgłosu w latach 1970-1971, stając się nagle najważniejszym tematem rozmów europejskich grup badaczy UFO. Błędem byłoby jednak przypuszczać, że zaciekawienie wywołane tymi dokumentami ograniczało się jedynie do kręgów naukowców. W Hiszpanii wysocy urzędnicy rządowi a także agencje organów wykonawczych i wojskowi uwierzyli w realność planety obiegającej gwiazdę Wolf 424, kilka lat świetlnych od ziemi.

We Francji sytuacja przybrała raczej dziwny obrót. Kiedy USA ujawniły negatywne wyniki badań Condora, skrupulatnie opublikowała je prasa francuska. Jednak ich rezultat niezbyt zgadzał się z tym czego oczekiwano w Stanach Zjednoczonych. Francuzi spokojnie zbierali swoje własne materiały dotyczące UFO i pomimo że akta te nie były dostępne dla większości badaczy, nie brakowało we Francji wojskowych i naukowców znających rzeczywistą sytuację. Niektórzy z nich przyłączyli się do paryskich grup badawczych. Inni, zajmujący wysokie stanowiska we Francuskiej Agencji Kosmicznej, pracowali samotnie, nie rozgłaszając wyników swoich badań publicznie.

Różnymi prywatnymi drogami dotarła do owych naukowców wiadomość o dokumentach UMMO; zdobyli oni ich kopie i starannie je przetłumaczyli. Zaintrygowani byli racjonalnym podejściem do problemu kosmicznego kontaktu wynikającego z tych dokumentów. Tło dla obserwacji w Alucha, San Jose de Valderas i Santa Monica było wspaniałe.

Dokumenty UMMO są wyjątkowe pod dwoma względami: dostarczają bowiem całego bogactwa danych technicznych, do których sprawdzenia czytelnik zostaje uprzejmie zaproszony, po drugie zaś, grupy osób z którymi UMMO nawiązują kontakt, proszone są o nierozgłaszanie tych informacji, a szczególnie o nieprzekazywanie ich rządowi poza Hiszpanią. Znany dziennikarz skontaktował się w Argentynie z obserwatorium w La Plata koło Buenos Aires i dostarczył zespołowi astronomicznych danych dotyczących UMMO. Zgodnie z informacjami, jakie przekazał do Hiszpanii, po spędzeniu ,,całych dni i nocy"na badaniach, astronomowie doszli do wniosku, że planeta UMMO musi istnieć. Przy okazji XX Kongresu Astronomicznego w Mov del Plata temat ten stał się przedmiotem dyskusji małej grupy uczestników, którzy doszli do wniosku, że ,,aby obalić teorię UMMO, konieczne byłoby, operując terminami astronomicznymi, użycie bardzo silnych argumentów.

W czerwcu 1971 odbyło się w Hiszpanii trzydniowe seminarium, na którym zebrali się badacze z różnych krajów zafascynowani sprawą UMMO. Z Madrytu przybyło czterech uczestników, wszyscy byli bliskimi współpracownikami Fernando Sesmy. Na tym samym spotkaniu kilku wyznawców UMMO przedstawiło swoje niemalże fanatyczne oświadczenia, przypominające swoim charakterem wyznania religijne (jeden z nich odczytał nawet *Odę do UMMO*!).

Ostrzeżenie dla ludzkości

Ludzie Ziemi!

Przekazujemy wam nasze szczere kondolencje w związku ze śmiercią jednego z naszych braci, myśliciela i matematyka Bertranda Russela.

Grupa ekspedycyjna powstała na planecie UMMO obserwowała obywateli różnych narodów Ziemi: Betranda Russela, Mahatmę Gandhiego, Ernesta Che Guevarrę, Jana XXIII, Martina Luthera Kinga, Karola Marksa, Alberta Schweitzera, Lwa Tołstoja i innych.

Poświęcili oni swoje życie przemianie społeczeństwa, w którym żyli, kierując ku formom bardziej zgodnym z normami etycznymi współżycia zbiorowego.

W innym dokumencie, omawiającym problemy filozoficzne, moralne i logiczne, UMMO ostrzega ludzi, z którymi nawiązano kontakt przed wpadnięciem w pułapkę kultu wobec innej cywilizacji:

W żaden sposób nie chcemy – i surowo was przed tym przestrzegamy – abyście pokusili się o wzorowanie się na naszych ideach religijnych, naukowych i polityczno-ekonomicznych. Powody tego ostrzeżenia zrozumiecie sami.

Błędem byłoby przyjęcie przez was naszych pojęć, koncepcji i orzeczeń w czystej formie, bez całej ideologicznej nadbudowy stworzonej przez waszych nauczycieli na Ziemi. Poza tym, gdybyście zaczęli działać w ten sposób, zmienilibyście w sposób niebezpieczny normalny rytm bytu społecznego i przyszłą kulturę waszej planety. Zmienilibyście normalny proces technologiczny, niszcząc obecną równowagę geospołeczną. Rewolucja waszych struktur musi odbywać się w ramach określonego układu społecznego. Moralność kosmiczna jaką wyznajemy, zabrania nam interweniować, z wyjątkiem nie dających się przewidzeń specjalnych okoliczności.

Warto zauważyć, że w sprawie UMMO istniały jeszcze inne czynniki, groźniejsze niż wyrażanie przez kogoś swojej osobistej sympatii do przybyszów. Zauważmy, że obserwacje, które zapoczątkowały sprawę UMMO ogniskują się wokół wojskowej uczelni technicznej i lotniska. Mamy jeszcze kapsuły, a także kawałki tworzywa teflon.

Powody do organizowania albo finansowania sprawy UMMO mogłaby mieć jakaś wojskowa grupa wywiadowcza, powodem mogło być chociażby szkolenie agentów wywiadu. Czy sprawa UMMO była ćwiczeniem kamuflażu, które przybrało nieprzewidziany obrót i „wymknęło się z rąk" organizatorom? Gdyby celem ćwiczenia było otworzenie małej grupki fanatyków, ćwiczenia jak najbardziej się powiodły!

Jednak sprawa UMMO jest na najprawdopodobniej czymś więcej niż ćwiczeniami wywiadu, ale czym?

Część druga

Ludzie i duchy

Fryderyk Jurgenson i głosy zmarłych

Czy zmarli komunikują się z żyjącymi? Fryderyk Jurgenson, szwedzki artysta pochodzenia rosyjskiego, uważa, że tak. I może to udowodnić za pomocą 80 taśm magnetofonowych.

Jeden z czołowych szwedzkich ekspertów od akustyki, pracujący w miejscowym radiu Kjell Stensson stwierdził, że głosy pojawiające się w nagraniach nie mogły zostać sfałszowane. Powiada on, że niemożliwe byłoby dokonanie czegoś takiego, nawet przy wykorzystaniu całej dostępnej wówczas techniki.

Wszystko zaczęło się w 1959 roku, kiedy Jurgenson, liczący wtedy 60 lat, zaczął słyszeć w swoim radioodbiorniku dziwne głosy. W obawie o swoje zdrowie psychiczne i aby uniknąć ośmieszenia zaczął nagrywać to co słyszał. Obecnie odtworzenie wszystkich jego taśm zajęłoby dwa dni.

Kilka miesięcy po tym, jak Jurgenson zaczął słyszeć głosy, odwiedził go Arne Weise, dyrektor Szwedzkiej Telewizji Państwowej. Kilka lat wcześniej realizował on program o Jurgensonie, poznali się przy tej okazji i spotykali od czasu do czasu. Pewnego dnia Jurgenson zwierzył się Weisemu, że od jakiegoś słyszy dziwne głosy. Przez kilka chwil Weise żartował, że Jurgenson wypił o jeden kieliszek za dużo, aż do momentu, kiedy zdał sobie sprawę, że był on naprawdę zaniepokojony. Mijały tygodnie, kiedy to i Jurgenson rejestrował swoje głosy. Po pewnym czasie ponownie zadzwonił do Weise'a i poprosił go, aby jak najszybciej przyszedł ich wysłuchać, ponieważ są one niewiarygodne. Wkrótce rzeczywiście zjawił się Weise wraz z żoną. Podłączyli mikrofon do magnetofonu i zaczęli towarzyską pogawędkę. Taśma rejestrowała wszystko, co mówili. Weise zdziwił się, czemu głosy pojawiały się tylko w magnetofonie Jurgensona, a nie w milionach innych tego typu urządzeń, czego Jurgenson nie mógł oczywiście wyjaśnić. Nastepnie dalej gawędzili przez chwilę. Po pewnym czasie odtworzyli zarejestrowaną rozmowę. W chwilę po tym jak Jurgenson powiedział, że zjawisko to jest dla niego niezrozumiałe, metaliczny głos powiedział: „Musimy zostać w tym urządzeniu. Musimy zostać w tym urządzeniu". Głos mówił po niemiecku i był bardzo słaby. Weise poczuł chłód a jego żona była wyraźnie wystraszona. Wszystko to wydawało się zbyt fantastyczne. Weise twierdził następnie z absolutną pewnością, że głos ten pojawił się pomiędzy jego pytaniem i odpowiedzią Jurgensona, prawie całkowicie eliminując możliwość dokonania wcześniejszego nagrania. Wielu przyjaciół Jurgensona, dziennikarzy, szwedzkich i zagranicznych parapsychologów, słyszało taśmy, i wszyscy podzielali zdumienie Weise'a. Jurgenson twierdzi, że fałszowanie takich nagrań przez cztery lata byłoby nieprawdopodobieństwem. Trudno sobie wyobrazić zaangażowanie chórów z różnych krajów do transmisji w mieszanym języku – i z uwzględnieniem życzeń dla konkretnego słuchacza. Wspomniany wcześniej Kjell Stensson uważa to za zadziwiające: słychać głosy i chóry, które w żaden sposób nie mogły być częścią zwykłej transmisji radiowej. A „głosy" zdecydowanie nie mogły być formą zwykłych zakłóceń. Czasami trudno zrozumieć słowa, i, oczywiście, zawsze pozostaje problem interpretacji. Z drugiej jednak strony, niektóre z głosów z zaświatów słychać zupełnie wyraźnie. Nie ma wątpliwości, że taśma je zarejestrowała. Ówczesna technika radiowa nie zna rozsądnego wyjaśnienia tego zjawiska, nie ma również powodu dopatrywać się oszustwa.

Można jednak uznać za nieco dziwne, że zmarli uciekają sie do takich środków. Po co na przykład korzytać z arii z *Rigoletta*, aby przesłać wiadomość Jurgensonowi w mieście Molnbo w Szwecji? Dziwne jest także, że mikrofon wychwytuje głosy, których nie słychać „gołym uchem". A przecież stanowi on elektroniczną wersję ludzkiego ucha. Jak więc może rejestrować coś, czego nie słyszy człowiek?

Jedno z czterch nagrań, o którym Stensson twierdzi, że nie jest możliwe do sfałszowania, zostało dokonane z radia Jurgensona w trakcie transmitowanego przez BBC *Mesjasza* Haendla. Głos przerwał chóralne *Alleluja* mówiąc: „Nie jesteśmy martwi. Żyjemy. Żyjemy. Kontakt, kontakt, kontakt. Pośrodku ziemi". Gdyby takie wtrącenie było technicznie możliwe, wymagałoby zaangażowania całej orkiestry symfonicznej i chóru. Stensson rozpoznaje niektóre z głosów, jako należące do przyjaciół lub niedawno zmarłych postaci historycznych.

W sumie zidentyfikowanych zostało 139 głosów, a prawie dwa razy tyle wolało pozostać anonimowymi. Żaden z zarejestrowanych głosów nie należy do osób, które zmarły przed XIX wiekiem. Najstarszy to głos Bismarcka, który twierdzi, że z niecierpliwością oczekuje reinkarnacji. Zgodnie z informacjami przekazanymi przez głosy, życie „po drugiej stronie" jest zgodne i przyjemne. Wydaje się, że pomiędzy duchami zawarta została swoista dżentelmeńska umowa, by nie poruszać spraw polityki. Są one łagodne, przyjazne, dowcipne i wybaczające ziemskie słabostki. Na przykład Hitler zadaje się ponoć z ofiarą nazistowskiego obozu koncentracyjnego. Ujawnił się on na jednej z taśm słowami *ich bin Adolf Hitler* i wydaje się być bez przerwy zawstydzony swoimi ziemskimi niegodziwościami. Powiada , że jeśli nie chce się cuchnąć na ziemi i trwać pośrodku czasu przysięgając naprawę szkód, wtedy trzeba przyjąć całą winę na siebie, stając się ojcem swoich czasów. Niemniej jednak, Hitler twierdzi, że był ofiarą ówczesnych uwarunkowań historycznych, a na jego działania miała wpływ choroba weneryczna. Kobieta, jak się wydaje, Ewa Braun, śpiewa nerwowym, pełnym namiętności, „posępnym w swojej monotonii", jak wyraził się jeden ze słuchaczy, głosem o swoim ślubie i śmierci.

Jurgensonowi wydaje się, że dusze, których głosy słyszał były naiwne jak dzieci. Czasami martwi nie zdają sobie sprawy z tego, że nie żyją. Przydarza się to zwłaszcza ludzion. którzy umarli nagle, na przykład w wypadkach samochodowych. Caryl Chessman, jeden z głosów, była jednak dobrze przygotowana: „Teraz jestem naprawdę martwa. Unoszę się. Unoszę się", mówi ona na jednej z taśm.

Rai Boris Sacharow, martwy przyjaciel Jurgensona mówi po szwedzku: „Tak zimno". Choć człowiek ten nie mówił po szwedzku za życia, po śmierci jednak zna bardzo wiele zwrotów w tym języku. Jeden z duchów interesuje się Carinem, pudlem rodziny Jurgensonów. Inny powiedział pani Jurgenson, dentystce ze Sztokholmu, aby ze względu na bezpieczeństwo raczej brała taksówkę niż rodzinny samochód, kiedy udaje się do pracy. Inny duch zaoferował pewne informacje o charakterze naukowym: „Na Wenus nie ma życia", stwierdził głos. Jurgenson ma nagrania duchów, które kwilą i histerycznie wrzeszczą, jakby cierpiały od koszmarów, którymi nadal żyją. Jednak w większości, głosy charakteryzują się pogodną i szczęśliwą głupotą. Poziom inteligencji wydaje się znacznie obniżać po śmierci.

Kim jest człowiek, z którym duchy zdecydowały się nawiązać dialog? Jurgenson przyjechał do Szwecji w 1943 roku, i jest obecnie obywatelem wybranego przez siebie kraju. Przez dwa lat był śpiewakiem operowym, został jednak zmuszony do wycofania się z zawodu ze względu na stan zatok. Mówi wieloma językami: hebrajskim, niemieckim, angielskim, francuskim, włoskim, a także jidisz, rosyjskim i szwedzkim. Malowidła, które ozdabiają ściany jego domu na przedmieściach

Molnbo świadczą o talencie plastycznym. Jurgenson dostawał za portret od trzech do sześciu tysięcy koron szwedzkich, lecz w ostatnim okresie życia w ogóle zarzucił malowanie. Jest przekonany, że duchy zdecydowały się nawiązać z nim kontakt, ze względu na jego znajomość języków. Innym powodem mogło być jego wrażliwość na muzykę, a także, być może, cierpliwość i systematyczność. Jurgenson, skromny, cichy człowiek, mówi, że szczególną radość sprawia mu to, że do kontaktów z tamtym światem został wybrany Szwed. Szwecja, stwierdza, jest krajem cieszącym się dobrą reputacją wśród zmarłych. Znana jest z ludu pokojowego, chętnego, pomocnego i gościnnego. Sam uważa się za kogoś w rodzaju królika doświadczalnego. To, co się wydarzyło, powiada, jest zaledwie początkiem kanału komunikacyjnego pomiędzy żyjącymi i zmarłymi. Nie obawia się sceptycyzmu innych. Zauważa, że już Thomas Edison próbował zbudować maszynę do kontaktowania się ze zmarłymi, podobnie jak Marconi. Opowiada o eksperymencie Rhine'a z postrzeganiem pozazmysłowym.

Weise uważa Jurgensona za porządnego człowieka: „Byłoby okropne, gdyby nas oszukał. Dostał tyle listów od ludzi, którzy kogoś stracili i chcą nawiązać ponowny kontakt". Weise uważa Jurgensona za sceptyka w kwestiach wiary: „To, że opowiada o tym, co się stało, jest kwestią czysto techniczną. Jest inny świat, istnieją w nim ludzie, i to wszystko". Jurgenson ma nadzieję zrobić program telewizyjny w Szwecji z udziałem Weise'a i całej jego rodziny – wszystkimi, którzy wierzą w głosy.

Medalion od zmarłych

Roger Rageot siedział w swoim biurze w muzeum w Norfolk, pijąc kawę i rozmawiając z przyjaciółmi. Tego listopadowego wieczora dyskutowali oni o swoich ostatnich doświadczeniach jako biologów na wyprawach kolekcjonerskich poza miasto. Podczas rozmowy, jedna z największych tarantul nerwowo pełzała w górę i w dół po drutach klatki, co było niezwykłe, ponieważ tarantule w niewoli rzadko się ruszają. Niedaleko, Tigue, duża południowo-amerykańska jaszczurka nerwowo wysuwała i chowała swój różowy, rozwidlony język. Za oknem wył wiatr, postrzępione liście jaśminu uderzały o ceglany mur. Wtedy usłyszeli dzwonek... Niecierpliwy dzwonek u drzwi. Czasami ludzie przychodzili do muzeum wieczorem, aby popracować naukowo, i kustosz zwykle ich wpuszczał jako stałych bywalców muzeum. Nauczył się już rozpoznawać ich dzwonek, zresztą prawie nigdy nie mylił się, kojarząc określony sposób dzwonienia z typem osoby: długi głośny dzwonek oznacza osobę nerwową; krótki, osobę odznaczającą się dobrymi manierami; cała seria długich, głośnych dzwonków jest charakterystyczna dla osobników nachalnych i niecierpliwych. Ale tego dzwonka nie słyszał nigdy przedtem... był tak krótki i słaby. Spojrzał na swojego przyjaciela Rolanda Younga z rozbawionym zdziwieniem. Było już dobrze po jedenastej. Otworzył drzwi. Stała w nich jego matka. Na ziemi leżała dziesięciocentrymetrowa warstwa śniegu, a kobieta stała taka mała i krucha, z płatkami śniegu wirującymi dokoła niej. Właściwie nie ma nic niezwykłego w tym, że matka dzwoni do drzwi syna o jedenastej w nocy. Tak się jednak składało, że jego matka była na innym kontynencie, w paryskim szpitalu, umierając na raka kości, on zaś był w muzeum w Norfolk, w Wirginii, gdzie pełnił funkcję kustosza. Patrzył osłupiały. Nigdy nie będzie wiedział, co spowodowało, że powiedział wtedy do niej to co powiedział. Może to był ten dziwny wyraz jej twarzy, bardzo dziwny uśmiech, właściwy osobie zadowolonej. Jej oczy były bez wyrazu, z nieopisanym wewnętrznym światłem; wydawały się prawie fosforyzujące. Widział, że jej umysł został przeniesiony w inny, odleglejszy świat. Milczała.

– Kiedy umarłaś? – zapytał bezmyślnie. Chrząknęła wstydliwie i odpowiedziała: – Skąd wiesz, że nie żyję?

– To miło z twojej strony, że przyszłaś się ze mną zobaczyć.

– Czy nie powiedziałam ci, że któregoś dnia przyjadę do Ameryki, któregoś dnia, – ciągnęła dalej – No i jestem.

– No dobrze – przerwał Roland Young, – nie wiem, po co oboje próbujecie mnie nabrać, ale po prostu odmawiam uwierzenia w cokolwiek z tego, co widzę.

– Ale to moja matka Rolandzie. Jak możesz w to nie wierzyć?

– Twoja matka jest chora... jak mogła przyjechać aż tutaj?

– Ona nie żyje – powiedział Roger, uważając, że jest to jednocześnie rozsądne i rozstrzygające. Zaczął razem z matką snuć wspomnienia. Wkrótce oboje tak utonęli w przeszłości, że zupełnie zapomnieli o obecności Rolanda. W muzeum panowała cisza. Z sufitu zwisały zawieszone mewy w pozycjach jakby wzbijały się do lotu, wypchane i upozowane okazy każdego gatunku ptaków, jakby zatrzymane w ruchu, wyglądały z każdego kąta. Później matka powiedziała: „Robi się późno synu, a ja muszę zobaczyć się jeszcze z siostrą w Kentucky. Lepiej już pójdę, jeśli mam tam zdążyć do jutra rano". Wstała i podała mu coś. Roger odprowadził kobietę do drzwi frontowych i już miał się pożegnać... ale nagle zniknęła. Odwrócił się do Rolanda, który stał osłupiały. Wpatrywał się w miejsce, na którym zaledwie kilka sekund temu stała matka przyjaciela. „Co ci dała?" zapytał. Roland dopiero teraz sobie o tym przypomniał. Otworzył zaciśniętą pięść. Trzymał mały medalion, ten sam, który dał jej kiedy był małym dzieckiem. Był na nim napis „Ukochanej mamusi – Roger". Pokazał go Rolandowi.

– Tego już dla mnie za wiele. Chyba pójdę się upić.

– No cóż, – odpowiedział – ty i ja często dyskutowaliśmy o tym, co nadprzyrodzone. To istnieje wszędzie. Otacza nas, a nawet przenika. Nauka próbuje bez przerwy dosięgnąć tego, lecz nawet nie może się zbliżyć.

Na drugi dzień po wizycie matki otrzymał następujący list od swojego ojca z Paryża.

Mój drogi synu,

Ponieważ wiadomość, którą zaraz Ci przekaże sprawi Ci wiele bólu, musisz być bardzo dzielny. Z żalem informuję Cię, że Twoja kochająca matka odeszła od nas wczoraj, 5 listopada. Z ogromnym bólem patrzyłem jak zamyka oczy po raz ostatni. Uwierz mi, tak było dla niej najlepiej. Cierpiała strasznie zanim odeszła. Choć jej śmierć spowodowała ogromną pustkę w mojej duszy, własciwie byłem szczęśliwy, patrząc jak opuszczcza nas w ten sposób, ponieważ jej choroba była nieuleczalna. Wiem teraz przynajmniej, że śmierć przyniosła jej ulgę w cierpieniu. Niech jej dusza spoczywa w spokoju na wieki wieków, amen.

Mam szczerą nadzieję , że przyjmiesz jej odejście z godnością, i ja także dołożę wszelkich starań, aby przyjąć to podobnie. Twój kochający ojciec.

Wkrótce potem znów zobaczył ducha matki. Obozował w dziewiczych dżunglach Amazonii, i którejś sierpniowej nocy 1962, kiedy siedział w pobliżu swojego namiotu, zobaczył ją wsród świecącej mgły czy też oparów.

Prawie nie mógł dostrzec zarysu jej twarzy. Ostrzegła go przed czymś, czego nie mógł do końca zrozumieć, bo stała w pewnej odległości, a jej głos był szeptem. Następnego dnia wyprawa ruszyła w górę rzeki w canoe. Zdradziecki przewodnik poprowadził ich prosto w pułapkę. Jego towarzysze mieli dość szczęścia, by uniknąć ran od dzikich Aucas, ale on został trafiony w kręgosłup zatrutą strzałką. Kiedy odzyskał przytomność, leżał na szpitalnym łóżku. Powiedziano mu, że został szybko zabrany do szpitala i leży już od tygodnia. Kiedy później spotkał lekarza, ten powiedział: „Martwiliśmy się o pana, Rageot. Ktoś na górze musi pana naprawdę lubić. Straciliśmy już cała nadzieję".

Potem Roger Rageot często uczestniczył w dyskusjach na temat zjawisk nadprzyrodzonych. Dawniej jego wypowiedzi miały charakter teoretyczny. Ale jego doświadczenie z ukazaniem się matki zmieniło wszystko. Teraz zabierał głos z przekonaniem i pewnością siebie.

Poltergeist niszczy biuro

Ostatnim miejscem, w którym można by spodziewać się poltergeista, jest ruchliwy biurowiec w dużym przemysłowym mieście, takim jak Oakland w Kalifornii.

15 czerwca 1964 roku, około godziny 2.15 po południu bohater tego opowiadania wkroczył do biura protokolanta sądowego George'a Wheelera znajdującego się pod numerem 1904 przy Franklin Street w Oakland i zobaczył poltergeista w akcji. W czasie kolejnych trzech dni był świadkiem prawie kilkunastu niewytłumaczalnych zjawisk.

Zwykle ciche biuro George'a Wheelera pełne było policjantów, dziennikarzy, fotografów, operatorów kamer telewizyjnych i ekspertów od poltergeista, rzeczywistych i fałszywych. Na jakiś czas praca Wheelera, stenografowanie i przepisywanie zeznań z sądów Alameda została przerwana.

Dla reportera Jima Hazelwooda historia ta rozpoczęła się nieco po drugiej po południu, 15 czerwca. Roy Grimm, miejski wydawca „The Oakland Tribune" dał mu adres biura na Franklin Street: "Mieliśmy telefon z policji, że wszystko tam skacze. To poltergeist", brzmiało wyjaśnienie, któremu towarzyszyło porozumiewawcze mrugnięcie. Nie wydawało się, aby można było zrobić z tego artykuł. Hazelwood wskoczył jednak do taksówki i pojechał kilka przecznic dalej do Medical Building, w handlowej dzielnicy centrum Oakland. Wjechał windą na siódme piętro i przyłączył się do kilku osób krążących na zewnątrz biura Wheelera. Prawie natychmiast usłyszeli głośny trzask z pustego pokoju przylegającego do biura Wheelera obejmującego trzy pokoje. Drzwi był otwarte, więc zajrzał do środka i ujrzał przewróconą metalową szafkę.

Czując się nieco nieswojo, wszedł do biura Wheeler'a i przedstawił się. Dowiedział się, że zwykle w biurze przebywali Wheeler, jego żona Zolo, która także była protokolantem sądowym, dwaj inni protokolanci, Robert Caya i Calvert Bowles oraz dwoje kopistów, Helen Rosenberg i John Orfanides.

George Wheeler nie był obecny w biurze, kiedy przybył Hazelwood, lecz przebywał tam przedstawiciel policji w Oakland, Charles Nye, zawiadomiony o niezwykłych wypadkach przez telefon.

Biuro Wheelera składa się z trzech pomieszczeń w amfiladzie, połączonych otwartymi zwykle drzwiami. Sam Wheeler zajmuje pokój umieszczony najdalej na prawo, wyposażony w mały kredens w którym personel trzyma wszystko, co jest potrzebne do robienia kawy, wosk do polerowania biurek i podłóg i inne rzeczy. Środkowy pokój jest głównym wejściem do biura i zazwyczaj przebywają tam kopiści, pani Rosenberg i John Orfanides.

W pokoju po lewej znajduje się kilka aparatów telefonicznych, dyktafon, chłodnica do wody, szafki ścienne na papiery i wyposażenie, oraz wózek na kółkach wypełniony materiałami biurowymi. Pani Wheeler zabrała go natychmiast do pokoju męża, gdzie panował okropny bałagan. Popielniczka leżała rozbita na podłodze. Koło drzwi kredensu znajdowała się kupka rozbitej zastawy leżąca w kałuży wody.

Policjant Nye poinformował go, że sprawdził pomieszczenia natychmiast po przybyciu. Powiedział, że zajrzał do kredensu i zauważył pusty niebieski wazonik i duży dzbanek na wodę, taki jakie są powszechnie używane w hotelach, stojący na brzegu półki.

Pomyślał, że przedmioty te mogły zostać przemieszczone, jeśli były jakieś drgania w budynku, więc dosunął je z powrotem do ściany. Półka miała około 45 cm szerokości.

Kilka minut później, kiedy policjant Nye był w innym pokoju, a pokój Wheelera był z pewnością pusty, dzbanek i wazonik wyleciały w powietrze, wykonały zwrot w prawo i roztrzaskały się na podłodze, obok biurka Wheelera.

Kiedy Nye opowiadał to Hazelwoodowi, coś zaczęło walić w pokoju po lewej stronie. Jeden z aparatów telefonicznych spadł na podłogę. Hazelwood pospiesznie zatelefonował do biura i poprosił o przysłanie fotografa.

Jim Edelen, weteran wśród zatrudnionych w „Tribune", przybył kilka minut później. Poprosił Johna Orfanidesa, aby ten pozował z roztrzaskanymi przedmiotami obok kredensu. Edelen sfotografował go i obaj odwrócili się, by opuścić pokój. Kiedy wyszli za drzwi, usłyszeli za sobą trzask. Odwrócili się i zobaczyli, że szczątki na podłodze zostały teraz pokryte białym proszkiem. Duży słoik śmietanki do kawy *Coffeemate* wyleciał z kredensu i spadł na podłogę.

Pani Rosenberg, która większość swoich prac wykonuje w biurze, była świadkiem większej liczby takich demonstracji niż ktokolwiek inny. Opowiedziała Hazelwoodowi, że pierwsze niezwykłe wydarzenie miało miejsce jakieś dwa tygodnie wcześniej. Wtedy zaczęły niespodziewanie działać telefony, rzędy lampek na każdym aparacie zaczęły się szybko po kolei zapalać , choć linia nie była zajęta.

Pracownicy przedsiębiorstwa telefonicznego nie mogli znaleźć uszkodzenia urządzeń, lecz kiedy kłopoty się nasilały, zmienili aparaty.

Kiedy Hazelwood był w biurze Wheelera 15 czerwca, wszystkie osiem aparatów telefonicznych ześlizgiwało się z biurek i spadało na podłogę z monotonną regularnością. Zmęczyli się podnoszeniem ich. Metalowa pokrywa maszyny do pisania przeleciała przez pokój i uderzyła w ścianę zostawiając wgłębienie. Metalowa waga pocztowa pożeglowała w powietrzu przez pokój. Porcelanowa filiżanka stojącą na biurku pani Wheeler wyskoczyła na 4 metry w powietrze i roztrzaskała się o sufit pozostawiając brązową plamę.

Nagle, około 4 po południu wszystko się uspokoiło.

W ciągu nocy Wheeler przesunął biurko i część jego wyposażenia do pustego biura na dole, starając się uciec od rozszalałego poltergeista. Biurko zostało zabrane z lewego pokoju, a stojące na nim telefony postawiono na podłodze.

Kiedy Hazelwood przybył następnego poranka, Bob Cay znajdował się w opuszczonym pokoju rozmawiając przez telefon i wyglądając przez okno. Hazelwood usłyszał głuche pacnięcie i natychmiast wszedł do pokoju. Plecy Caya były zwrócone do drzwi i nadal rozmawiał przez telefon. Na podłodze znajdował się pedał dyktafonu, który spadł z szafki i uderzył w wózek z dokumentami, na którym został ślad po uderzeniu.

Hazelwood zaczął prowadzić dziennik występujących zjawisk. Za każdym razem, kiedy coś się wydarzyło, robił notatkę opisującą rodzaj zajścia i czas jego wystąpienia. Robił to tylko przez godzinę, między 10.30 i 11.30 rano, 16 czerwca, lecz zanotował przynajmniej 12 anomalii. Dziennik ujawnił interesującą rzecz, a mianowicie, że zapisy były robione co 5 minut, tzn. co 5 minut następowało jakieś dziwne wydarzenie.

Jedną z rzeczy, które Hazelwood zauważył wchodząc do pokoju Wheelera następnego dnia, było stojące na podłodze metalowe pudło pełne papierów. Z całą pewnością spadło tam po otwarciu biura. Podniósł je, zbadał i umieścił na metalowej szafce na akta. Później, kiedy stał w drzwiach pokoju, zwrócony plecami do jego wnętrza, pudło przeleciało w powietrzu około 2,5 metra i uderzyło w podłogę z przeraźliwym hukiem. Obrócił się błyskawicznie. W pokoju nie było nikogo.

Drzwi które zostały wyjęte z przejścia prowadzącego do sąsiadniego pustego pokoju, stały oparte o ścianę pod kątem około 30 stopni. Odchyliły się i runęły z hukiem, który spowodował że wszyscy podskoczyli.

Wkrótce stało się jasne, że poltergeist podążał także za nieszczęsnym personelem do biura znajdującego się poniżej na drugim piętrze. Wyleciała stamtąd pokrywa maszyny do pisania i pożeglowała przez okno, uderzając w dach samochodu zaparkowanego na ulicy.

Dziwaczne wydarzenia zdążyły już zyskać powszechny rozgłos, i różni ludzie wpadali ciągle by się pogapić na zjawiska lub wziąć udział w dochodzeniu. Najdziwniejszym z nich był okultysta z San Francisco, który zaczął palić kadzidło w małych mosiężnych naczyniach smętnie wpatrując się w sufit.

Najważniejszym gościem był Arthur Hastings z uniwersytetu Stanford. Uczył on tam dykcji i dramatu, ale przez długi czas był gorliwym studentem zjawisk paranormalnych i współpracował ze słynnym Instytutem Parapsychologii na Uniwersytecie Duke.

Po dokładnym zbadaniu dowodów i rozmowach ze świadkami, włącznie z Hazelwoodem, Hastings zaryzykował opinię że był to „autentyczny przypadek poltergeista".

Poltergeist nadal uaktywniał się sporadycznie podczas kolejnego popołudnia, jakie spędził tam Hazelwood. Maszyna do pisania została zrzucona na podłogę ze stołu w pustym pokoju na drugim piętrze. Duża elektryczna maszynka do kawy spadła na podłogę, filiżanki eksplodowały, telefony roztrzaskiwały się, a szafka na akta wywróciła się.

Zazwyczaj przedmioty latały kiedy pokój był pusty,lub kiedy jego lokatorzy spoglądali w inną stronę. Ale Bob Goosey, kopista, stal w drzwiach, kiedy szafka przekręciła się i padła na jego oczach.

W środę rano, 17 czerwca, poltergeist osiągnął punkt kulminacyjny. Wcześnie rano Cal Bowles i John Orfanides otworzyli biuro. Bardzo szybko po sobie chłodnica do wody wywróciła się zalewając lewy pokój i pokrywając podłogę rozbitym szkłem, wysoka na dwa i pół metra szafka z materiałami biurowymi zwaliła się z trzaskiem na środek pokoju, rozrzucając papiery na wszystkie strony, a wózek na dokumenty wywrócił się do góry kółkami.

Hazelwood przybył już po wszystkim i dowiedział się, że policja zabrała Orfanidesa na komisariat, by go przesłuchać. Tymczasem aktywność poltergeista została przerwana.

Później Orfanides został zwolniony i poszedł do domu. Biuro Wheelera, będące teraz jedną wielką ruiną, pogrążyło się w ciszy.

Trwało to kilka dni i Hazelwood zaczął wierzyć, że poltergeist zrezygnował. Hastings powiedział mu że jest to dość częsty przypadek. Zjawisko osiąga swój punkt szczytowy i pozornie się wypala. Jednak 12 dni później, 29 czerwca, nastąpił szybki rozwój wypadków. Hazelwood spędził popołudnie na wykonaniu pewnego zadania w San Francisco. Kiedy wrócił do biura, powiedziano mu, że Orfanides został ponownie zabrany na policję i przyznał się do rzucania przedmiotami. Powiedział, że trzymał je za plecami i ciskał nimi, kiedy nikt nie widział. On również uszkodził sieć telefoniczną i elektryczne maszyny do pisania.

Trudno było w ten sam sposób wyjaśnić pozostałe zjawiska, lecz policja była zadowolona. Poproszono Johna, aby zechciał porozmawiać z prasą. John zapytał, czy mógłby najpierw porozmawiać z Hazelwoodem. Ale policjanci powiedzieli, że ich zdaniem byłoby lepiej, gdyby od razu spotkał się ze wszystkimi dziennikarzami i reporterami stacji telewizyjnych. Zaplanowali z rozmachem konferencję prasową, a ponieważ Hazelwood znajdował się po drugiej stronie zatoki San Francisco, inny dziennikarz reprezentował jego gazetę.

Na konferencji policja streściła pokrótce wyznania Johna, który je ponuro potwierdził. W gazetach i telewizji San Francisco ukazała się relacja z zeznań Orfanidesa i sprawa został zamknięta. W ciągu kilku godzin rozeszła się po całym kraju wiadomość, że poltergeist z Oakland był dziełem zwykłego kawalarza.

Wyznania Johna zaszokowały Hazelwooda. W rzeczywistości nie wierzył w ani jedno jego słowo, i to nie dlatego, że wyjątkowo zaprzyjaźnił się z Johnem czy nie chciał uwierzyć, że był on kawalarzem. Jedynym powodem było to, że John był u jego boku lub bezpośrednio w zasięgu jego wzroku kiedy poltergeist szalał dwa pokoje dalej lub na innym piętrze. Niezliczoną liczbę razy Hammon był pierwszą osobą w pokoju kiedy przedmioty latały, po sekundzie czy dwóch słyszał hałas, i odkrywał że pokoje są puste. Nie mógł uwierzyć że John mógł go oszukać tak perfekcyjnie.

Hazelwood wyruszył natychmiast do mieszkania Johna, biorąc ze sobą fotografa jako świadka. Pierwszym jego pytaniem było, dlaczego John przyznał się. Odpowiedź była prosta, kończyło to sprawę, przynajmniej dla policji. Jednak Hazelwood musiał się upewnić, poprosił więc o potwierdzenie, że to nie John ciskał tymi wszystkimi rzeczami. "Oczywiście, że to nie ja".

John chętnie wyparł się swoich zeznań, pozostawiając ich przede wszystkim z pytaniem dlaczego w ogóle przyznał się do winy. Z pewnością nie dla sławy czy osobistych korzyści. Mógł się teraz raczej spodziewać, że Wheeler wyrzuci go za zniszczenie biura.

John Orfanides jest inteligentnym, ciężko pracującym młodym człowiekiem. Ma dopiero 20 lat; niedawno ożenił się i jest odpowiedzialny. Nigdy nie miał do czynienia z policją, jest bardzo wrażliwy. Urodził się w Pensylwanii, ale spędził kilka lat w szkole średniej w okręgu Napa w Kalifornii.

Kiedy policja z nim rozmawiała był bardzo zdenerwowany. Chciał jak najszybciej zakończyć uciążliwe dochodzenie. Powiedział Hazelwoodowi, że policjanci przez cały czas sugerowali mu sposoby, za pomocą których mógł przemieszczać przedmioty, przypominając mu jednocześnie, że prawdopodobnie nie będzie ścigany.

W końcu zaczął się zgadzać na metody, które mu sugerowano. Zeznał, że rozrzucał przedmioty, jednak jego motywacje pozostawały tajemnicą.

Tak właśnie wygląda to wszystko obecnie. John pracuje w domu a działania poltergeista ustały.

Jeśli nawet John Orfanides nie był bezpośrednim sprawcą, istnieje możliwość, że mógł on być pośrednikiem czegoś, co powodowało te dziwne demonstracje.

Co ciekawe, Hastings stwierdził, że w klasycznym przypadku poltergeista występuje zwykle młoda osoba, często dopiero w okresie dojrzewania, która jest zawsze obecna gdy wydarzenia takie mają miejsce. Nie jest ona tego świadoma i jest równie zdziwiona i przestraszona jak pozostali. Bezpośrednio nie robi niczego, po prostu pewne zjawiska zachodzą w jej obecności. John jest nieco za stary na tę kategorię, ale był najmłodszą osobą w biurze, a kiedy go nie było zjawisko ustępowało.

John zgodził się na współpracę z Hastingsem i wszystkimi specjalistami, jakich zechce on poprosić o konsultację. Być może oni znajdą odpowiedzi na zjawisko, które – mimo że sprzeczne z prawami fizyki – zdarza się dość często. Większość osób po prostu nie wierzy że takie rzeczy mogą się zdarzyć. Hazelwood także nie wierzył, dopóki nie wszedł do biura George'a Wheelera i zobaczył na własne oczy.

Wydaje się, że po zbadaniu wielu obecnych przypadków występowania zjawiska znanego jako poltergeist, że przypuszczalne medium powodujące takie zjawiska, choć nieświadome swojego udziału w destrukcyjnych, złośliwych dziwactwach poltergeista, wydaje się mieć poczucie winy z ich powodu, prawdopodobnie w wyniku pewnego niespokojnego, podświadomego odczuwania odpowiedzialności – a zatem łatwo można wywrzeć nacisk na taką osobę, by wyznała swój otwarty udział, za który nie może być przecież obwiniana.

Część trzecia

Niezwykłe sny

Ciało na zakręcie rzeki

Przez osiem dni ciało siedemnastoletniego Van Allena juniora, z Jackson w stanie Mississipi dryfowało w wezbranych wodach Rzeki Perłowej. Van poszedł popływać z przyjacielem w sobotę, czwartego kwietnia 1964.

Nawet w okresach suszy wijąca się Rzeka Perłowa jest zdradliwa, tym bardziej wczesną wiosną, kiedy wylewa z brzegów. Rzeka jest usiana niespodziewanymi głębiami i wirami, które potrafią wessać zwierzęta i istoty ludzkie w wodne grobowce. Niektóre ofiary nie odnajdują się nigdy.

Ale Van był młodzieńcem kończącym szkołę średnią, i oczywiście odważnym. A jednak został porwany przez wodny żywioł i zniknął w jednej z niezmierzonych głębi.

Pomocniczy Oddział Straży Pożarnej z Jackson i ochotnicy całymi kilometrami przeczesywali rzekę w dół od miejsca w pobliżu niskiej wieży stacji pomp, gdzie zniknął chłopiec. Pierwszego dnia poszukiwania zostały przerwane przez zapadające ciemności. Później śluzy zbiornika na Rzece Perłowej zostały zamknięte dla obniżenia poziomu wody. Jednak ulewny deszcz niebezpiecznie podniósł poziom wody w zbiorniku i władze zostały zmuszone do powtórnego otwarcia śluz. Ekipy ratunkowe miały problem z utrzymaniem łodzi na wodzie, a łódź Straży Pożarnej nawet wywróciła się w wirze. Dwóch ludzi i ich sprzęt zatonęło w mrocznej głębinie, lecz na szczęście załoga uniknęła śmierci.

W następnym tygodniu kilku entuzjastów wiosłowania, wraz z ekipami ratunkowymi Klubów Miłośników Pasma Obywatelskiego z Jackson i Vicksburga, przyłączyło się do poszukiwań. Jedna taka para, pani i pan James F. „Billy" Runnels, przyłączyła się do poszukiwań zwłok Vana ósmego dnia, w sobotę, 11 kwietnia.

Tamtej nocy zmęczona, lecz przekonana, że ciało chłopca zostanie w końcu znalezione, pani Runnels rzuciła się na łóżko i spróbowała usnąć. Kiedy leżała drzemiąc, pani Runnels miała sen, w którym zobaczyła i rozpoznała znajomy zakręt rzeki trzy mile na południe od zapory miejskich wodociągów. Zobaczyła pień w głównym nurcie rzeki, i przyciśnięte nim ciało Vana, odziane w niebieskie kąpielówki. Poszukujący mijali to miejsce wiele razy, nie znajdując niczego.

Sen pani Runnels był tak realistyczny, że opowiedziała o nim sąsiadce i namówiła swojego męża na ponowne wypłynięcie łodzią na rzekę w niedzielę rano, pomimo siekącej ulewy. Państwu Runnels towarzyszył młody człowiek, Wyat Bridges.

Kiedy ich łódź omijała drzewa i szczątki spływające rzeką, pani Runnels dostrzegła mignięcie błękitu. Bliższe badanie ujawniło zwłoki Vana chwycone przez pień, tak jak pani Runnels widziała to we śnie. Jej mąż zabezpieczył ciało i powiadomił władze.

Poszukiwania, które trwały ponad tydzień zostały zakończone, ponieważ sen wydał się odbiciem rzeczywistości.

Pani Runnels, która nigdy w życiu nie doświadczyła niczego podobnego powiedziała, że sen i późniejsze odkrycie ciała zwłok chłopca „wywołało w niej dziwne i niesamowite uczucie".

Dwie przeciwko demonowi

W ciągu wielu lat miała, jako medium, liczne doświadczenia dotyczące metapsychiki i jej dziennik opisujący je składa się z kilku tomów. Jednak dopiero w 1956 zetknęła się z przypadkiem „opętania" i egzorcyzmów.

Przybyła do San Francisco 3 czerwca i zatrzymała się u swojej córki w jej mieszkaniu w 10 Alei. Zauważyła, że córka bardzo martwiła się o swoją starszą przyjaciółkę, która zachorowała psychicznie. Córka chorej została wezwana z Nowego Jorku, ponieważ jej matka była w tak złym stanie fizycznym, że istniały uzasadnione obawy, iż jej czas już się kończy.

Córka pokazała jej ostatnią krótką wiadomość, jaką otrzymała od swojej umierającej przyjaciółki. Brzmiała ona następująco: „Nie wiem, gdzie jestem ani co robię. Nie przychodź, gdyż nie można mi już pomóc, to raczej ja mogłabym Ci zaszkodzić. Mój umysł pogrążył się. Już nim nie władam".

Przeczytała te słowa uważnie, i kiedy trzymała kartkę w ręku, poczuła nagle, że może się przydać w tej sprawie. Powiedziała córce, że powinny pomóc tej kobiecie, i poprosiła ją o zachowanie ciszy.

Po chwili zapadła w głęboki medytacyjny trans, wkrótce „odpowiedź", której szukała, znalazła do niej drogę; miała wraz z córką rozpocząć kurację następnego dnia, w poniedziałek, i kontynuować ją przez dwa kolejne poniedziałki. W te dni miały pościć, aż do rozpoczęcia seansu o drugiej po południu. Miała leżeć na swoim łóżku trzymając kartkę z ostatnią wiadomością w dłoni. Jej córka miała siedzieć po drugiej stronie pokoju, notując wszystko co się wydarzy.

„Będziesz musiała cierpieć – brzmiała dalsza część wiadomości – lecz pamiętaj, że zawsze uzyskasz pomoc. Obie musicie być odważne i wierzyć, że wam się powiedzie".

Powtórzyła to swojej córce.

Następnego dnia o wyznaczonej godzinie położyła się na łóżku trzymając kartkę w prawej dłoni. Później, wprawiając się stan recepcji, pomodliła się za tą biedną kobietę, do której zaczynała odczuwać szczerą sympatię.

Prawie natychmiast jej prawa ręka uniosła się i zatrzęsła gwałtownie. Zaciskając kartkę mocno w prawej dłoni, gdyż czuła, że to właśnie łączyło ją z chorą, uczyniła znak krzyża lewą, i pomodliła się o obronę.

Wstrząsy zelżały i pojawił się przed nią obraz cierpiącej kobiety. Siedziała w swoim łóżku, jej długie włosy o szarej matowej barwie zwisały na ramiona. Oczy znieruchomiały w przerażeniu.

Wtedy otrzymała wewnętrzne polecenie, by przeniknąć do umysłu kobiety i zbadać co ją opętało. Uczyniła to siłą woli i usłyszała dzikie szepty i urywane zdania z groźbami: „Nie ma dla ciebie nadziei. To ja decyduję o wszystkim, tak jak przepowiedziałem. Nie ma dla ciebie ratunku..."

Na dźwięk dzikiej złośliwości jaką brzmiały te słowa ogarnęła ją groza, i zapragnęła działać natychmiast, lecz wyraźnie słyszała polecenie by zachować spokój. Błagała o litość dla tej kobiety, lecz w tym błaganiu kartka wypadła z jej ręki i kontakt został przerwany.

Zamknęła oczy i opisała córce co się wydarzyło.

Kontynuowały w następny poniedziałek o drugiej po południu, rozpoczynając tę samą procedurę. Ponownie otrzymała słowa otuchy, by nie tracić wiary i pamiętać, że nie były same. Następnie przeniknęła do umysłu chorej kobiety.

Tym razem groźby były głośniejsze i bardziej jadowite; szepty przerodziły się w krzyk. Kazano jej odmówić modlitwę i powtarzać po wielekroć zdanie „I zbaw nas ode złego".

Demon wydawał się nieświadomy jej obecności i przypominał swojej ofierze o pewnych czynach, które popełniła w przeszłości, zwłaszcza o okrucieństwie w stosunku do jednego z dzieci. W tym momencie konająca kobieta dostała okropnych konwulsji i zaczęła rozpaczliwie błagać upiora, by zlitował się lub pozwolił jej umrzeć, bo więcej cierpienia już nie zniesie.

Ponownie zapragnęła interweniować, i ponownie rozkaz był wyraźny: „Jeszcze nie. Jeszcze nie. Wróć do swojego ciała".

Całkiem wyczerpana otworzyła oczy i zobaczyła córkę klęczącą, pochyloną nad nią z niepokojem. Z daleka usłyszała głos mówiący: „Jeszcze raz i zwycięstwo będzie twoim udziałem".

W czasie następnego tygodnia rozmyślała przygotowując się do nadchodzącej próby. Jej wysiłki zostały pobudzone, kiedy dowiedziały się, że kobieta jest śmiertelnie chora i nie może dłużej przyjmować gości.

Kiedy nadszedł wyznaczony czas, jeszcze raz wróciła do umysłu kobiety. Czuła jej agonalne konwulsje i strach, kiedy demon powiedział, „Zabiję twoje ciało i unicestwię twoją duszę".

Nagle ogarnęło ją uczucie wielkiej siły i radość, że będzie użyta jako narzędzie do pokonania Zła. Przemówiła głośno, zdecydowanym tonem, mówiąc demonowi, że jest bezsilny i nie może odtąd krzywdzić tej kobiety:

– Córka i ja używamy Potęgi Dobra i nie możemy przegrać.

Upiór, wreszcie świadomy jej obecności, skierował do niej groźby tak upiorne, tak potworne i tak potężne, że zamilkła na chwilę. Próbowała się modlić, lecz słowa nie chciały przyjść. Walka trwała, i kiedy łzy i pot zaczęły zalewać jej twarz, wyczuła niepokój córki.

– Módl się, módl się – krzyknęła zdławionym głosem. Jakby z daleka usłyszała głos córki powtarzającej słowa psalmu: „Choćbym przechodził przez ciemną dolinę zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną". Otoczyła je wielka cisza.

Wtedy odzyskała głos, cichy i jakby należący do innej osoby: „Z łaski Boga zostałeś zwyciężony. Okropnie zgrzeszyłeś przeciw tej kobiecie. Pogrążysz się za to w ciemnościach. Lecz dzięki litości i łasce Chrystusa Pana możesz wynagrodzić krzywdy, by skrócić okres kary. Musisz opuścić ją natychmiast, lecz nim odejdziesz nakazuję ci zostawić ślad w jej umyśle, że nigdy nie była szalona, lecz że jej stan był owocem twych złych intencji".

Zapadła cisza.

Wtedy zobaczyła kształt schodzący w ciemność bez dna. Kiedy wolno znikał, podano jej te słowa: „Znajdziesz pociechę naprawiając krzywdy tej kobiety. Idź teraz pamiętając o Miłości Chrystusa".

Otworzyła oczy i otarła łzy.

Trzy miesiące później, jej córka spotkała córkę chorej kobiety, którą poznała dwa lata wcześniej. Zapytała o zdrowie matki, dodając że słyszała o jej ciężkiej chorobie.

Dziewczyna potwierdziła, że lekarze nie dawali matce szans na przeżycie. Po czym powiedziała : „Stała się cudowna rzecz. Pewnego dnia była w okropnych konwulsjach, jakby rozdzierana na strzępy, i nagle uspokoiła się, otworzyła oczy i popatrzyła na mnie i pielęgniarkę z cudownym uśmiechem. „Już po wszystkim", powiedziała i od tego czasu zaczęła odzyskiwać zdrowie".

Córka medium zapytała, kiedy to się zdarzyło, przyznając z wahaniem, że modliła się wraz ze swoją matką o jej zdrowie, stąd jej ciekawość. Dziewczyna odpowiedziała z błyszczącymi oczyma. „To było w poniedziałek około drugiej po południu, trzy tygodnie temu".

Sny o zaginionych

Któż wie, czym są sny. Marzenia senne zajmują umysły ludzi i są tematem domysłów i interpretacji od stuleci.

W nowoczesnej nauce psychologowie i psychiatrzy rejestrują sny swoich pacjentów, i uważają je za klucz do ich podświadomości. Okultyści długo uważali, że sny są pełne symboli, i że księgi podające szczegółowe znaczenie tych symboli mogą pozwolić śpiącemu na objaśnienie jego marzeń sennych i stanowić swoisty przewodnik po nich. Jednak zawodność takich interpretacji polega na tym, że symbole w snach mogą być rozumiane tylko na bazie indywidualnych doświadczeń śpiącego, i że symbole będą miały różne znaczenie dla różnych osób.

Niezależnie od podejścia do snów i oceny ich wartości, nieustannie potwierdzane są fakty, że pewne sny niosą informacje o świecie zewnętrznym, do którego śniący nie mogą mieć dostępu za pomocą zwykłych środków.

Ponad wszelką wątpliwość sny są czasami wieszcze i wyprzedzają zdarzenia.

Niełatwo na przykład wyjaśnić jako zbieg okoliczności trzy poniższe marzenia wyśnione w czasie jednego miesiąca, od 11 marca do 9 kwietnia 1964 roku.

Dziewięcioletni Dennis Hargus zaginął w górach niedaleko Prescott w Arizonie, na początku marca. Zabłąkał się w niedzielny poranek idąc na śniadanie do obozu

YMCA nad Groom Creek, na południe od Prescott. Kiedy zdał sobie sprawę, że zaginął, przypomniał sobie co rodzice podkreślali przy każdej okazji – „myśl, nie wpadaj w panikę".

Pamiętając by działać racjonalnie, Dennis wspiął się na szczyt góry Maverick, aby spojrzeć w dół i zorientować się gdzie jest. Kiedy już znalazł się na górze, zbudował szałas z gałązek przy dużym pniu, i kiedy zaczęło się ściemniać położył się pod nim, podkładając swoją kurtkę z kapturem pod głowę. Bał się ciemności i był okropnie zmęczony. Pomyślał, że gdyby udało mu się zasnąć wtedy nie wiedziałby, że jest ciemno, i nie bałby się.

W ciągu nocy temperatura spadła do minus 6 stopni, więc państwo Hargus, rodzice Dennisa, a także wychowawcy w obozie YMCA byli zrozpaczeni. Inne osoby na tym terenie, które wiedziały, że Dennis zaginął, także się martwiły, nie można było jednak podjąć poszukiwań w dzikim, nierównym i górzystym terenie w ciemnościach nocy.

Emerytowany farmer, Virgil Maxwell z Chino Valley, także się martwił idąc spać. A kiedy zasnął, śnił że Dennis miał kłopoty na szczycie góry Maverick.

W poniedziałek rano, Maxwell przyłączył się do poszukiwań zaginionego Dennisa. Pojechał na swoim koniu na górę, na miejsce, które wyśnił poprzedniej nocy, i zawołał: „Dennis!". Chłopiec odpowiedział: „Kto tam?"

Maxwell zwiózł na swoim koniu Dennisa, którego nogawki spodni były sztywne od mrozu, w dół góry, do czekającej na niego rodziny.

Stary farmer opowiedział rodzicom, że w swoim śnie dokładnie widział miejsce, na którym później znalazł chłopca. Tylko że w jego śnie chłopiec zawisł na płocie z białych sztachet i nie mógł się uwolnić.

Dennis, który musiał zostać w łóżku przez miesiąc z powodu odmrożeń, powiedział, że nigdy nie wątpił, że zostanie odnaleziony.

Pani Lucille Homer z Norwalk w Kalifornii miała swój sen zbyt późno, by uratować życie dwuipółletniego Kennetha Edwardsa. Jednak jej sen był dokładny i prawdziwy.

Kenneth, syn państwa Edwards z Downey w Kalifornii, zaginął na pustyni Mojave w niedzielę 5 kwietnia, oddalając się w pogoni za królikiem z miejsca, w którym pozostawiono go by bawił się wraz z bratem i siostrą.

Pani Homer, która wcześniej była sąsiadką i bliską przyjaciółką rodziców chłopca powiedziała, że przerażeniem dowiedziała się w poniedziałek rano o zaginięciu chłopca, a przecież dopiero co trzymała go ramionach, kiedy odwiedzili państwa Edwards w Downey.

Tamtej nocy (w poniedziałek) śniła, że znalazła chłopca na poboczu drogi. Wstała z łóżka i opowiedziała mężowi, że musi poszukać Kennetha, po prostu musi.

Państwo Homer, którzy sami są rodzicami dwojga dzieci, w tym dwuletniego chłopca, wstali we wtorek o 4 rano i pojechali samochodem w okolicę, gdzie setki ludzi w śmigłowcach, samolotach, dżipach, na koniach, w samochodach i pieszo, poszukiwało zaginionego chłopca. Obszar ten znajdował się około 20 mil na zachód od Rosamond u podnóży łańcucha gór Tehachapi.

Rudowłosa pani Homer pamięta, że zgubili się tego samego dnia i dotarli do kwatery głównej ekip ratunkowych dopiero około 8.20. Poszukiwania koncentrowały się po wschodniej stronie kwatery głównej ekip ratowniczych, tam gdzie znaleziono kurtkę Kenny'ego.

Pani Homer czuła wewnętrzny przymus prowadzenia poszukiwań w kierunku zachodnim. Dziwne, ponaglające uczucie. W końcu namówiła męża, żeby pojechał z nią, i pojechali kilka wzgórz na zachód od kwatery głównej. Kilka minut później zobaczyła coś, co w pierwszym odruchu wzięła za gazetę. Ale nie zaryzykowała, podjechała i odkryła Kenny'ego. Wyglądał jakby się zdrzemnął, więc podniosła go. Jednak kiedy to zrobiła, zdała sobie sprawę, że chłopiec nie żył.

Szeryf okręgowy w Kern, sierżant Tom Shuell powiedział, że poszukiwania były prowadzone po wschodniej stronie kwatery głównej, ponieważ odnaleziono tam odzież i odciski stóp Kenny'ego. Wydawało się niemożliwe, aby Kenny mógł odejść około 3 km na zachód od tego miejsca.

Ale sen pani Homer powiedział jej, że chłopiec tam będzie.

Pan Ira Berry także miał sen. I był to prawdziwie wieszczy sen, choć nie przyczynił się do znalezienia jego zaginionej żony.

Pani Berry, lat 58, zniknęła ze swojego domu na terenie lasu Sherwood w Jacksonville, na Florydzie, w niedzielę 8 marca, około 1 po południu. Odnalazło ją, żywą choć wyczerpaną, pięciu chłopców, którzy polowali na króliki w gęstych lasach na krańcu Alej Redpole i Longspur w lesie Sherwood.

W tym samym czasie, w poniedziałkowe popołudnie, kiedy w końcu zapadł w niespokojny sen po otrzymaniu od syna tabletki, Ira Berry śnił swój sen. Mijały właśnie już 24 godziny od momentu kiedy jego żona została uznana za zaginioną. We śnie zobaczył żonę. Wyraźnie widać było jakąś wodę i bagno. Kiedy pani Berry została już odnaleziona okazało się, że okolica wyglądała tak samo, jak w jego śnie.

Zięć Berry'ego, Arthur Woodbeck, lat 38, który mieszka razem ze swoim teściem, zabrał go w trzy zalesione okolice, aby poszukał miejsca, które wyglądałoby tak samo jak to, które mu się przyśniło. Jednak żadne z miejsc nie znalazło uznania Berry'ego. „Nie to nie tutaj. Tu nie jest tak bagniście" lub „Nie to nie jest to miejsce, tu jest za mało krzaków palmy karłowatej".

W tym samym czasie policjanci, strażacy, śmigłowce marynarki wojennej, samochody, psy i kilkuset mieszkańców prowadziło poszukiwania przez cała niedzielę, aż do popołudnia w poniedziałek. Śmigłowce kontynuowały poszukiwania, dopóki nie złożono meldunku że kobieta została odnaleziona przez pięciu nastolatków.

Jeden z chłopców przemaszerował około 1 km do telefonu i wezwał patrol policji. Policjanci wezwali jednostki ochotniczej straży pożarnej z Dinsmore. Ira Berry towarzyszył strażakom i został poprowadzony przez szeregowego Barrowa do miejsca, gdzie pani Berry leżała przy drzewie. Strażacy powiedzieli, że pani Berry została znaleziona w okropnym stanie. Była brudna i zmęczona lecz przytomna.

Barrow stwierdził, że Barry opowiedział mu, jak będzie wyglądać teren, do którego zmierzali, kiedy byli jeszcze jakiś 1 km od niego. Barrow stwierdził, że Barry podał „całkowicie dokładny" opis tego terenu opierając się na swoim śnie. Opowiedziała mu nawet, że żona będzie opierać się o drzewo. W takiej właśnie pozycji została ona odnaleziona.

Strażacy domyślili się, że pani Berry krążyła po lesie, aż została znaleziona 4,5 km od domu. Ucierpiała tylko od wielu otarć skóry, ukąszeń komarów, i wyczerpania.

Część czwarta

Tajemnicza przeszłość

Atlantyda raz jeszcze

Nie ma raczej wątpliwości co do tego, że „bajkę o Atlantydzie" jako pierwszy spisał Platon – wybitny grecki filozof i polityk z IV w. p.n.e. Chociaż on sam stwierdził, że opowieść o zaginionym lądzie, zawarta w jego dialogach *Timajos* i *Kritiasz* pochodzi z zapisków starożytnych Egipcjan, nigdy jednak nie znaleziono owych zapisków, ani jakichkolwiek innych świadectw pisanych, dotyczących Atlantydy, a pochodzących z czasów przed Platonem…

Platon był dość szczególnym pisarzem dziejów Atlantydy. Bez wątpienia zaprawił swoją opowieść wielką dawką potoczystej fabuły, a także mitologii greckiej. Jak się jednak można na wielu przykładach przekonać, nie jest to tylko wytwór wyobraźni wybitnego filozofa.

Atlantyda powstała – stwierdza Platon – kiedy bogowie podzielili między siebie poszczególne części naszego świata. Posejdon – grecki bóg morza, podziemi, wulkanów i trzęsień ziemi, otrzymał Atlantydę. Został on – jak powiada platońskie podanie – kochankiem pewnej ludzkiej niewiasty imieniem Klejta. Aby nie skrzywdzili jej inni śmiertelnicy, bóg otoczył wzgórze, na którym mieszkała, pierścieniem wałów ziemnych i fos. Podsejdon i Klejta wydali na świat dziesięcioro dzieci płci męskiej, między które podzielono Atlantydę. Najstarszym synem był Atlas, od którego Atlandyda wzięła swą nazwę. Jemu przypadło zwierzchnictwo nad braćmi. W ten sposób Atlantydą zaczął rządzić „parlament królów".

Wyspa bogaciła się i rozkwitała, powstała wielka cywilizacja. Atlanci posiedli umiejętności świadczące o opanowaniu przez nich rozwiniętej techniki. Szczególne osiągnięcia zanotowali na polu inżynierii i budownictwa. Większa część stolicy Atlantydy rozciągała się u podnóża wzgórza Klejty. Wykopano tam podziemne kanały, po których mogły żeglować statki. Wnętrze miasta było obramowane wielkim pierścieniem wodnym, który stanowił przystań dla okrętów. Budynki budowano z miejscowego bazaltu: czarnego, czerwonego i białego. Z kolorowych kamieni układano piękne kompozycje architektoniczne i wznoszono wspaniałe świątynie. Atlantyda posiadała wielką armię, złożoną z kawalerii i rydwanów oraz lekkiej i ciężkozbrojnej piechoty.

Świątynia Posejdona i pałac aż kapały od ozdób ze złota, srebra, brązu i innych kolorowych metali, zaś same budynki były otoczone wspaniałymi ogrodami, pełnymi przepysznych fontann. Wewnątrz świątyni znajdował się niezwykły, złoty pomnik, tak wielki, że dotykał zwieńczonego wieżą dachu. Przedstawiał Posejdona, powożącego rydwanem zaprzężonym w szóstkę skrzydlatych koni oraz sto nimf morskich, jadących na delfinach.

W tej to świątyni co roku zbierali się na naradę królowie, aby rozwiązywać sprawy związane z rządami państwem. Po zakończeniu tych obrad miał miejsce znaczący obrzęd. Do pustej świątyni wpuszczano byki. Pierwszego, który się nawinął czatującym rzeźnikom, chwytano i zabijano na ofiarę bogom, po czym następowała uczta.

Narzuca się tutaj podobieństwo do greckiego mitu o Minosie, Minotaurze, Adrianie i Tezeuszu. Minotaur miał zostać zabity w innym wielkim budynku, tym razem na Krecie, przez czatującego nań ateńskiego królewicza Tezeusza. Powstaje pytanie, czy jest to anachroniczne skojarzenie symbolicznych byków Grecji i Atlantydy? A może legendarny labirynt kreteński stanowi zniekształcone wspomnienie Atlantydy?

Podobnie jak wszystkie wielkie cywilizacje, Atlantyda upadła i pogrążyła się w mrokach niepamięci. Ale w okresie swojego największego rozwoju stworzyła ogromne imperium. Platon powiada, że według najstarszych kronik egipskich owe imperium rozciągało się od obu Ameryk (na zachodzie) do basenu Morza Śródziemnego (na wschodzie). Podbita została Północna Afryka aż po Egipt. Atlantyda próbowała także podbić Grecję. Ateńczycy, pozbawieni wszelkiej pomocy z zewnątrz, stawili mężny opór i zatrzymali armię Atlantów. „Ale niebawem nastąpiły – czytamy u Platona – gwałtowne trzęsienia ziemi i powodzie. I w jeden dzień i moc jedną ci wszyscy [Atlanci] zostali pochłonięci przez ziemię co do jednego. Zaś wyspa Atlantyda bezpowrotnie pogrążyła się w głębokościach morskich". Było to około 9500 roku p.n.e.

Prawda czy bajka Greków albo Egipcjan?

Nie od rzeczy będzie tu wyjaśnić prawdziwe pochodzenie opowieści Platona z dialogów *Timajos* i *Kritiasz*. Źródłem większości materiału do tego dialogu wydaje się być ateński mąż stanu Solon, który odwiedził Egipt około roku 600 p.n.e. Solon otrzymał te wiadomości od grupy kapłanów egipskich w Sais – mieście, które utrzymywało ścisłe związki z Atenami. Opowieść Solona nie została spisana, ale przechodziła z pokolenia na pokolenie dzięki ustnym opowieściom. Solon przekazał ją swojemu synowi – Kritiaszowi Starszemu, ten zaś swojemu wnukowi – Kritiaszowi, który występuje w dialogach Platona. Nie wolno lekceważyć starożytnych przekazów zapisanych w pamięci ludzi. W owych czasach całe wykształcenie szkolne, jak i warunki życia (z niewielką ilością innych rozrywek) czyniły pamięć ludzką niemal doskonałą. Fakt, że nie znaleziono wzmianek o Atlantydzie lub Atlantach w pismach egipskich też nie podważa prawdziwości tej opowieści. Według obliczeń fachowców z całego piśmiennictwa starożytnego ocalało do naszych czasów zaledwie około czterech procent. Być może wzmiankowane przez Solona, a w ślad za nim przez Platona najstarsze kroniki egipskie po prostu spłonęły w pożarze Biblioteki Aleksandryjskiej, która podobno zawierała wszystkie dzieła literatury staroegipskiej.

Za zupełną bajkę i mityczne urojenia uważano aż do roku 1871 również dzieła Homera – *Iliadę* i *Odyseję*. Odkopanie przez Henryka Schliemanna pozostałości Troi w okolicy miasta Hissarlik w północno-zachodniej Turcji w znacznym stopniu potwierdziło te rzekome „mity greckie". Podobnie mają się sprawy z *Bajkami* Herodota.

Odkryto już obiekty, które można uznać za archeologiczne pozostałości budownictwa Atlantydy. To odkrycie nastąpiło głównie w wyniku przypadkowych spostrzeżeń, związanych z podobnymi badaniami oraz programem zdjęć lotniczych i satelitarnych, których celem było zbadanie tajemnic Trójkąta Bermudzkiego. Oznaki wskazujące na obecność ruin podwodnych wykryto po raz pierwszy w roku 1968 u wybrzeży wysp Bimini i Andros, położonych między wyspami Bahama a Florydą. Ukazały się formacje kamienne o rozmiarach i kształtach wskazujących na ich rozmyślne ułożenie w postaci kół, platform, wałów i pozostałości budynków różnych rozmiarów. Ich odsłonięcie nastąpiło w wyniku działania sił sejsmicznych kształtujących dno oceaniczne.

Z początku oceanografowie i archeolodzy byli nastawieni sceptycznie. Kamienne formacje uznano za pozostałości z hodowli małży, krabów i innej morskiej fauny wykorzystywanej w tym rejonie jako źródło zarobku. Długi wał ciągnący się wokół wyspy Bimini skwitowano twierdzeniem, że są to pozostałości pokruszonych skał nadmorskich, ułożone przez przypływy i odpływy, tylko z pozoru wydające się być dziełem rąk ludzkich. Kiedy jednak skoncentrowano na tym obszarze większość ludzi i sprzętu badawczego, takie wyjaśnienia rozprysnęły się jak bańka mydlana. Okazało się, że zespół ruin podwodnych był większy, aniżeli przypuszczano. Składał się głównie z gładko obrobionych, prostokątnych bloków kamiennych, które nie mogły powstać w sposób naturalny. Przypuszczenie zaś, że same ułożyły się w koncentryczne koła, utworzyły poziomy przypominające piętra, w piramidy, połamane kolumny, pozostałości pomników, drogi i groble przecinające wzdłuż i wszerz cały ten wycinek dna oceanicznego, zakrawa na kiepski dowcip. Podobno zaobserwowano też ruiny jakiejś świątyni. Ułamki posągów zaobserwowano na dnie morza w pobliżu Bermudów. Piloci małych łodzi podwodnych z tamtych okolic twierdzą, że bez wątpienia zdarzyło im się widzieć podwodne miasta.

Podobne podwodne ruiny widziano też podobno w pobliżu Wysp Kanaryjskich, Azorów, u wybrzeży Hiszpanii i północnej Afryki, u północnych brzegów Kuby i wzdłuż szelfu kontynentalnego Ameryki Północnej. Obecność wałów kamiennych, położonych na dnie morza zarejstrowano w pobliżu Wenezueli i Półwyspu Jukatan. Poszczególne obiekty wykryto na głębokościach od 10 metrów do trzech kilometrów i większej.

Głębokości wokół Wysp Bahama wahają się tak znacznie, że część podwodnego wału odkrytego w roku 1968 jest obecnie widoczna na długości około kilometra. W nieco dalszej odległości od lądu, na głębokości co najmniej dwustu metrów znajdują się piramidy odwiedzane i badane dość często przz nurków, którzy jednak raczej zachowują wszystko w tajemnicy. W tym samym rejonie znajdują się przecież liczne wraki tawierające złoto i inne cenne znaleziska. Na mocy ustawy wprowadzonej przez władze Bahamów wszelkie znaleziska podwodne mają zostać wyniesione na powierzchnię i umieszczone w specjalnie do tego celu zbudowanym muzeum we Freeport. Nieco później wyprawy podwodne, przeszukujące te same wały i ruiny potwierdziły ich sztuczne pochodzenie. W miarę rozwoju badań podmorskich w tym rejonie coraz bardziej zwiększa się liczba wykrytych pozostałości prastarego budownictwa. Odpowiednio zaprojektowane batyskafy najprawdopodobniej zdołałyby zbadać te okolice w takim stopniu, aby można było odeprzeć wszystkie kontrargumenty zwolenników tezy o naturalnym pochodzeniu tych obiektów. Na zakończenie tego tematu warto dodać, że rozplanowanie obiektów odsłoniętych i odkrytych w 1968 roku ściśle pokrywa się z opisem rozplanowania stolicy Atlantów, podanym w dziele Platona. Jeśli przyjmiemy bardzo prawdopodobną tezę, że wszystkie wielkie miasta tego zaginionego kontynentu były budowane na wzór jego stolicy, to wnioski będą musiały nasunąć się same.

Istnieje wiele innych argumentów na poparcie tezy, że wiadomości zawarte w dialogach *Timajos* i *Kritiasz* nie można uznać za wytwory wyobraźni jakiegoś dawno zmarłego pismaka. Należy na przykład wspomieć, że podanym tam opisem lądów sąsiadujących z Atlantydą kierował się Kolumb, wyruszając na swoją pierwszą wyprawę. Jest rzeczą stwierdzoną, że poziom wód w Atlantyku po trzeciej epoce lodowej podniósł się o około trzysta metrów, pogrążając wielką część istniejących wówczas wysp i lądów pod wodą. Mniej więcej w tym miejscu, gdzie niegdyś według Platona miały się wznosić dumne brzegi Atlantydy, obecnie znajduje się Trójkąt Bermudzki i chyba nie jest to zbieżność przypadkowa. Takie zjawiska z dziedziny geologii podmorskiej, jak „błękitne dziury" tj. wielkie wiry podwodne pochodzenia geotermicznego, morskie formacje krasowe, ruchome piaski, wielkie koncentracje metali wywołujące zakłócenia magnetyczne, świadczą dobitnie o niezwykłości tej części dna Atlantyku.

Nie sposób też nie sięgnąć do aż nazbyt licznych poszlak o charakterze historyczno-etnograficzno-geologicznym. Już uczniowie, po raz pierwszy spotykający się z opisami dawnych cywilizacji Europy, Afryki, Azji Mniejszej i obu Ameryk oraz ich warunków geograficznych, są w stanie dostrzec zdumiewające podobieństwa między nimi wszystkimi. Oczywiście ktoś obeznany z tymi dziedzinami może sprzeciwić się tezie, jakoby jedynym wytłumaczeniem tych wszystkich podobieństw było istnienie w odległej przeszłości jakiegoś kontynentu pośrodku oceanu. I tak np. można widzieć w pokrewieństwie flory i fauny Starego i Nowego Świata jedynie potwiedzenie teorii Gondwany, prawdopodobnego lądu, który setki milionów lat temu rozpadł się na Eurazję, Afrykę i obie Ameryki. Zagadek jest jednak więcej i nie wszystkie dadzą się tak łatwo wytłumaczyć. W jaki sposób prymitywne szczepy, tysiące lat temu, w różnych krajach, rozwinęły tak imponującą technikę budowlaną, identyczną pod podstawowymi względami. Dzięki niej wzniosły porażające swym ogromem struktury architektoniczne. Wiele z nich przetrwało do dzisiaj dlatego, że składają się z bloków kamiennych ważących dziesiątki ton i pociętych z dokładnością, jaką dziś można osiągnąć tylko za pomocą wolframowych tokarek. Szpara pomiędzy takimi blokami ma nieraz wielkość jednej tysięcznej centymetra. Dlaczego piramidy Majów w Ameryce Środkowej mają dokładnie ten sam kąt nachylenia ścian (wszędzie 52§), jak piramidy starożytnego Egiptu? Skąd te podstawowe podobieństwa między hieroglifami Majów a piktogramami starożytnych Egipcjan? A przecież nie ma żadnych podobieństw między pismem chińsko-japońskim, arabskim, hetyckim, asyryjskim, babilońskim i rzymskim, pomimo iż te narody utrzymywały ze sobą dość ścisłe kontakty nie tylko handlowe. Skąd podobne masywne budowle z kamienia i granitu w Europie północnej? Kto zbudował Stonehenge i posągi olbrzymów na Wyspie Wielkanocnej? Z pewnością nie prymitywni, żyjący z dnia na dzień myśliwi i zbieracze, których szczątki odkrywamy w tych miejscach.

Przedmiotem naszego zainteresowania powinno się stać również podobieństwo nazw używanych na określenie Atlantydy przez oddzielone od siebie geograficznie i kulturowo narody starożytne. Grecy i Rzymianie używali nazwy Atlantis względnie Atlas, podczas gdy starożytni Egipcjanie – Aalu, która to u Babilończyków i Sumerów zamieniała się w Arallu. Odnośne słowo Celtów walijkich to Awalon, a dla Germanów – Walhalla. Zauważmy występowanie w każdej z tych nazw dwóch głosek: *a* i *l*. Po baskijsku to samo słowo brzmi Atalaintika, w języku Azteków Aztlan, Majów – Atlan. Wszystko wskazuje na istnienie zagubionego połączenia gdzieś na Atlantyku.

W tym miejscu warto wspomnieć o twórcy naukowej próby wyjaśnienia sprawy Atlantydy – urodzonym w roku 1831 Amerykaninie Ignatiusie Donnellym. Ten średniej klasy polityk utrwalił się w pamięci potomnych przede wszystkim jako twórca fundacji swego imienia na rzecz badań nad Atlantydą oraz najgruntowniejszej w swoim czasie książki poświęconej sprawie tego zaginionego kontynentu.

W swoich rozważaniach Donnelly wyszedł od starożytnej mitologii. Jego zdaniem spotykane we wszystkich kulturach basenu Morza Śródziemnego legendy i podania o ogrodach Edenu, ogrodach Hesperyd, Polach Elizejskich itd., stanowią odbicie „powszechnej pamięci o wielkim kraju, w którym ludzie śmiertelni przed wiekami w pokoju i szczęściu zamieszkiwali".

Donnelly stwierdził, że mitologia Egiptu i Peru jest najbardziej zbliżona do pierwotnej religii atlantydzkiej. Jego zdaniem świadczy o tym obecny w obu krajach kult słońca. Wypada tu przypomnieć, że późniejsze badania egiptologiczne w zasadzie potwierdziły tezę, iż najwcześniejszym wyznaniem religii staroegipskiej było to, które skupiało się na oddawaniu czci jednemu bogu – słońcu. Egipt był zdaniem Donnelly'ego pierwszą kolonią Atlantów. Od nich to Egipcjanie mieli przejąć sztukę wytapiania brązu. Uważał też, że alfabet fenicki, od którego pochodzą wszystkie późniejsze alfabety, pochodził z kolei od alfabetu używanego na Atlantydzie. Alfabetem nazwał również pismo Majów i przypisał mu to samo pochodzenie, co fenickiemu.

Kiedy Atlantyda wraz z prawie wszystkimi swoimi mieszkańcami pogrążyła się pod powierzchnią oceanu, pewnej ilości osób udało się uratować na statkach i łodziach. Przybiwszy do brzegów różnych części świata roznieśli wiadomość o katastrofie. W ten sposób powstały podania o Potopie.

Donnelly ogłosił, że Atlantyda jest źródłem, z którego pochodzi cała cywilizacja ludzka. To właśnie istnienie w odległej przeszłości Atlantydy z jej flotą morską, kulturą i cywilizacją stanowiło dla niego prawidłowe wyjaśnienie zbieżności i podobieństwa flory, fauny, architektury, techniki, form ustrojowych i innych dziedzin życia Ameryk i Śródziemnomorza. „Uwierzyć nie mogę – pisał – że wszystkie wielkie wynalazki różne ludy same z siebie skopiowały w różnych krajach. Gdyby tak miało być, to wszyscy tubylcy wynaleźliby bumerang, wszyscy tubylcy posiedliby sztukę lepienia garnków, sporządzania łuków i oszczepów, robienia pętli, wznoszenia namiotów i wytwarzania łodzi-dłubanek. Mówiąc krótko, wszystkie rasy dorosłyby do cywilizacji, gdyż z pewnością żaden lub nie odnosi się do wygód życia codziennego z mniejszym zamiłowaniem aniżeli inny".

Na dowód swoich twierdzeń Donnelly przytaczał wiele faktów: jedna z piramid w Teotihuakan, mieście ruin w pobliżu miasta Meksyk, ma długość i szerokość podstawy dokładnie takie same, jak piramida Cheopsa; w Tikal, mieście Majów położonym na obszarze dzisiejszej Gwatemali znajduje się najwyższa (w czasach Donnelly'ego nie istniały jeszcze nowojorskie drapacze chmur) budowla obu Ameryk, piramida o wysokości sześćdziesięciu metrów; również w Tikal zachował się szereg kolumn z napisami, mówiącymi o różnych wydarzeniach z miejscowych dziejów. Takie same kolumny pokryte zapiskami historycznymi pod nazwą stale spotykamy u starożytnych Egipcjan, Greków i Rzymian.

Z kolei historyk francuski Raymond Cartier pisze: „W wielu dziedzinach wiedzy Majowie zdeklasowali Greków i Rzymian. Byli ekspertami w astronomii i matematyce, doszli do perfekcji w dziedzinie wiedzy chronologicznej. Zbudowali kopuły obserwatoriów astronomicznych z większą dokładnością, aniżeli robiono to w siedemnastowiecznym Paryżu. Posiadali dokładny kalendarz, oparty na roku słonecznym, składającym się z 365 dni, roku wenusjańskim, zawierającym 584 dni i „roku świętym" liczący 260 dni". Dokładne wyliczenie długości roku słonecznego u Majów odpowiada naszym 365,242 dobom. Jak do tego doszli? Zaczynając od zera?

W XX wieku oprócz archeologii podwodnej pojawiło się jeszcze inne źródło wiedzy na temat Atlantydy. Są nimi wizje parapsychiczne.

Jednym z najsławniejszych adeptów parapsychologii, który zajmował się wykrywaniem tajemnic z przeszłości dzięki zdolnościom nadprzyrodzonym, był amerykański jasnowicz i psychiatra Edgar Cayce. W swoich widzeniach opisywał Atlantydę przed i po wielkich trzęsieniach zimi i powodziach. Podał szczegóły z dziedziny jej kultury, c ywilizacji i techniki. Opisał (w roku 1942) użycie przez Atlantów promieni laserowych. Stwierdził, że Atlanci byli tak rozwinięci technicznie, ludzie jemu współcześni. Stworzyli też i zagospodarowali fantastycznie zasobne źródła energii; być może atomowej, ale raczej magnetycznej. Ta właśnie energia ostatecznie zniszczyła ich kontynent. Zginęli wszyscy oprócz tych, którzy przeżyli w Ameryce Południowej i wokół Morza Śródziemnego, przede wszystkim w Egipcie.

Cayce przepowiedział, że zachodnia część Atlantydy, położona w pobliżu Bahamów wyrośnie z morza około lat 1968-69. Jest to, na ile można sądzić, dokładnie to, co wydarzyło się w roku 1968. Pod „wynurzeniem się z morza" Cayce najpewniej rozumiał ukazanie się na skutek ruchów dna morskiego. Jak na dzisiaj, zapewne nie ma dowodów na to, że Atlantyda „wyrasta z morza". Cayce przepowiedział jednak wielkie wstrząsy dna Atlantyku w latach 1999-2009. W ich wyniku nie tylko oczom ludzkim ukaże się z powrotem Atlantyda, ale też część istniejących obecnie lądów zostanie pogrążona w falach morza. Ocean pochłonie m.in. Nowy Jork i inne wielkie miasta wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Zagładzie ulegną również Wyspy Japońskie.

Tak więc mamy legendę, teorię, hipotezy i objawienia – te ostatnie niezadowalające z powodu daleko posuniętej niedokładności. Są też inne rzekomo zatopione kontynenty, znane jako Mu i Lemuria. Czy Atlantyda jest tylko marzeniem, czy też zapoznanym faktem?

Czym były Mu i Lemuria?

Oprócz Atlantydy istnieją jeszcze dwa zatopione kontynenty: Mu (na dnie Oceanu Spokojnego) i Lemuria, też pogrzebana na dnie oceanu, tym razem Indyjskiego. Poza tym krążą jeszcze podania o tajemniczym lądzie Pan, który jakoby znajduje się pod powierzchnią północnego Pacyfiku. Jego zatopienie nastąpiło rzekomo ok. 70000 lat temu. Początki Lemurii zaś miałyby sięgać co najmniej 100 000 lat, zaś jej koniec nastąpił jakieś 50000 lat temu.

W przeciwieństwie do Atlantydy, legendy o tych pradawnych lądach nie zostały spisane przez żadnego starożytnego pisarza ani przekazane za pośrednictwem anonimowych kronik. Na bardzo starych mapach figuruje za to wielki masyw lądowy oznaczony nazwą *Terra Australis Incogita*, tj. Nieznana Ziemia Południowa. Europejskie okręty, które w XVII w. zaczęły przeczesywać tę część Oceanu Indyjskiego, nie natknęły się jednak na spodziewane lądy. Nie musi to jednak wcale znaczyć, że kartografowie greccy i późniejsi świadomie wprowadzili w błąd potomność. Być może po prostu opierali się na świadectwach prastarych kronik, te zaś zaginęły na skutek wojen i pożarów. Owe kroniki z kolei mogły powstać dzięki przekazom ustnym, sięgającym nawet wiele tysiącleci przed wynalezieniem pisma. Który z lądów przedstawianych przez starożytnych i średniowiecznych kartografów jako *Terra Australis* należałoby uznać za Lemurię względnie Mu, pozostaje przedmiotem swobodnych dociekań. Późniejsze odkrycie Australii wcale nie wyjaśnia wszystkich zagadek *Terra Australis*.

Sama nazwa Lemurii pochodzi natomiast z całkiem innego źródła, a mianowicie od lemurów – stworzeń, które najprościej można by określić jak coś pośredniego między małpą a szczurem.

Najbardziej sprzyjające warunki do życia lemurów występują na Madagaskarze. Spotyka się je jednak również w Afryce, Indiach i na Malajach. Ten fakt może sugerować istnienie w przeszłości wielkiego kontynentu, obejmującego znaczną część dzisiejszego Oceanu Indyjskiego.

Z tego założenia wychodził angielski przyrodnik z ubiegłego stulecia – Filip Sclater. Wyszedł od twierdzenia Darwina, że ewolucja polega m.in. na dostosowywaniu się gatunków do nowych albo zmienionych warunków geograficznych. Skoro tak jest – rozumował Sclater – to obecność lemurów w kilku różnych pod względem warunków przyrodniczych rejonach świata da się wytłumaczyć jedynie dzięki przyjęciu założenia o istnieniu w nieodległej przeszłości geologicznej wspomnianego kontynentu. Tak więc na tej podstawie Filip Sclater sformuował hipotezę Lemurii i stworzył jej nazwę.

Mimo braku jakichkolwiek dowodów hipoteza o istnieniu Lemurii uzyskała poparcie wielu wybitnych umysłów tamtej epoki jak np. Alfreda Russela Wallace'a – twórcy konkurencyjnej w stosunku do darwinowskiej teorii ewolucji. Stwierdzał on: „Lemuria stanowiła prawdopodobnie w którejś z minionych epok geologicznych pierwotne siedlisko gatunków [...]. Jeśli przypuścimy, że obejmowała cały ten obszar obecnie zamieszkany przez lemurowate, to musimy przyjąć, że rozciągała się od zachodniej Afryki do Birmy, południowych Chin i Celebesu".

Innym znanym zwolennikiem istnienia Lemurii był Ernest Haeckel, który widział w tym zaginionym kontynencie również pierwotne siedlisko gatunku ludzkiego:

„Ani Australia, ani Ameryka, ani Europa nie mogły być owym pierwszym i najwcześniejszym domem człowieka albo tzw. rajem – kolebką rasy ludzkiej.

Istnieje mnóstwo okoliczności, które prowadzą do wniosku, że tym pierwszym i najwcześniejszym domem człowieka był kontynent spoczywający teraz pod powierzchnią Oceanu Indyjskiego. Ląd ten rozciągał się wzdłuż Azji Południowej w kierunku wschodnim, a w kierunku zachodnim – po Madagaskar i południowo-wschodnie brzegi Afryki. Lemuria była niegdyś pierwszym i najwcześniejszym domem człowieka. W ten sposób z wielką łatwością znajdujemy wyjaśnienie geograficznego rozprzestrzenienia się ras ludzkich na drodze migracji". Na korzyść hipotezy o istnieniu Lemurii wydaje się przemawiać także występowanie identycznych formacji skalnych w Indiach i Południowej Afryce. Jedynym możliwym wyjaśnieniem tego zjawiska jest istnienie pomostu między nimi w odległej przeszłości (od 180 do 70 milionów lat temu). Zniknął on najprawdopodobniej zanim na globie ziemskim pojawiły się ssaki.

Badając tego rodzaju sprawy, nietrudno zauważyć dowody na istnienie podobnych połączeń również w innych częściach świata, np. między Alaską a Kamczatką. Na ich podstawie w r. 1915 niemiecki astronom i geofizyk Alfred Wegener sformułował teorię dryfu kontynentalnego. Według tej teorii, przyjmowanej obecnie raczej bez zastrzeżeń w świecie nauki, przed wieloma setkami milionów lat istniał jeden wielki Praląd, oblany dookoła wodami Praoceanu. Praląd stanowiła pokryta wszelkiego rodzaju osadami (powstałymi z kruszonych przez ząb czasu i roślinność skał) olbrzymia płyta z krystalicznego kwarcu, Ta płyta niejako unosiła się na warstwie półpłynnej magmy złożonej z roztopionych metali. Na skutek ruchów płynnego, rozgrzanego do białości jądra ziemskiego magma co pewien czas zaczynała niejako gotować się pod powierzchnią, siłą wybijając się ponad Praląd. Ponieważ działały tu przeogromne siły, przeto wynikiem takich starć magmy z kwarcem były wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi, a pod ich wpływem – pękanie krystalicznej skorupy Prałądu. Z biegiem czasu poszczególne kawałki tej skorupy pod wpływem działania wyżej opisanych sił oddalały się od siebie, niejako dryfując na magmowym podłożu, a puste miejsce pomiędzy nimi wypełniały wody Praoceanu.

Symulacje komputerowe, przeprowadzone zgodnie z założeniami teorii Wegenera oraz przy uwzględnieniu wszystkich dostępnych danych geofizycznych wykazały również możliwość pogrążenia się niektórych części Prałądu pod wodą. Trzeba jednak podkreślić, że takie znikanie kontynentów trwało (tak przynajmniej wynika z owych symulacji) co najmniej po parę milionów lat.

Jeszcze zanim w sprawie Lemurii i innych zaginionych kontynetów wypowiedziała się nauka, jakieś światło na tę sprawę próbowała rzucić parapsychologia. Założycielka słynnego „Towarzystwa Teozoficznego", Helena Bławatska, pisała o „siedmiu rasach rdzennych", które kiedyś zamieszkiwały, a w przyszłości odziedziczą Ziemię. Według niej Lemurianie byli trzecią rasą. Były to – jak twierdziła pani Bławatska – olbrzymie, pozbawione mózgu stworzenia, z wyglądu podobne do małp. Po nich nastąpiła czwarta rasa – ludzie z Atlantydy , których zniszczyła czarna magia". My – oświadczała Bławatska – stanowimy piątą rasę. Rasa szósta rozwinie się z naszej rasy i „powróci do życia na Lemurii". Ostatecznie – według proroctw tej oryginalnej kobiety – siódma rasa opuści Ziemię i osiedli się na Merkurym. W jaki sposób miałoby to nastąpić (zważywszy wyjątkowo niesprzyjające warunki do podtrzymywania życia na tej planecie) pani Bławatska już nie wyjaśniła.

Inny teozof – Scott-Elliott, przedstawił bardziej szczegółową okultystyczną wizję Lemurii i jej mieszkańców. Według niego Lemurianie mieli być wysocy na 5 metrów, cali brązowi, o płaskich twarzach bez czoła, z wydłużonymi pyskami zamiast nosa. Posiadali po trzy oczy z tyłu swoich głów, które nie zawierały mózgu. Ten zaś znajdował się w innym miejscu. Oczy z tyłu głowy były dla nich prawdziwym błogosławieństwem, gdyż „ich stopy wysuwały się tak daleko do tyłu, że mogli równie dobrze chodzić do tyłu, jak i do przodu". Spirytysta ten poznał też, jak twierdził, tajemnice lemuriańskiej kultury i cywilizacji. Według jego opisu Lemurianie byli z początku samozapładniającymi się hermafrodytami. Stopniowo zamienili się jednak w gatunek dzielący się na dwie płcie. Ponieważ jednak nabrali wtedy zwyczaju spółkowania ze zwierzętami, przeto wydali na świat małpy, które zaludniły całą ziemię. Lemurianie stali się też celem wizyt przybyszów z kosmosu. Mianowicie to mieszkańcy Wenus powoli ukształtowali z nich lud świadomy i cywilizowany. Na skutek metodycznych wysiłków Wenusjanie upodobnili ich w końcu do siebie samych i ukształtowali ich ciała na własne podobieństwo. Najbardziej bezpośrednimi potomkami Lemurian są Lapończycy i tubylcy australijscy. Dzięki edukacji, którą Lemurianie otrzymali od Wenusjan powstała cywilizacja ludzka i gatunek *homo sapiens*.

Z biegiem czasu Lemuria zaczęła się kruszyć i kawałek po kawałku tonąć w oceanie. Jedna z wysp, które oderwały się od Lemurii, stopniowo przesunęła się na Atlantyk i stopniowo przekształciła się w Atlantydę.

Podsumowując, według okultystycznej prehistorii Scotta-Elliota, nie pochodzimy od małp, ale od Lemurian. Nie powstaliśmy w następstwie długiego i mozolnego wysiłku przyrody ani nie zostaliśmy stworzeni. Ukształtowano nas przed wszystkimi na obraz i podobieństwo mieszkańców gwiazdy porannej. Swoją metafizyczną teorię ten działacz „Towarzystwa Teozoficznego" opublikował w r. 1896.

Dziewięć lat później inny filozof okultystyczny – Austriak Rudolf Steiner założył w Wiedniu „Towarzystwo Antropologiczne". Jego celem było potwierdzenie i pogłębianie teorii Scotta-Elliotta. Steiner twierdził ze swej strony, że Lemurianie potrafili wykorzystać wszystkie komórki swego mózgu, Dzięki czemu opanowali umiejętność podnoszenia największych ciężarów jedynie siłą woli. Cały system wiedzy na temat Lemurii i Lemurian Steiner podsumował hasłem „gwiezdne jasnowidzenie".

Nie sposób zaprzeczyć, że u przeciętnego człowieka naszych czasów „jasnowidzenie gwiezdne" wywołuje drwiny albo raczej tylko ironiczny uśmieszek. Być może jednak już wkrótce odkrycia naukowe rzucą nieco korzystniejsze światło na te – jak się dziś wydaje – kosmiczne brednie.

Co do lemurów, które wywołały całe to zamieszanie, współczesna zoologia stwierdziła, iż potrafią całkiem dobrze pływać po morzu...

W przypadku kultur i cywilizacji, które istniały na zatopionych kontynentach, w ogóle jest bardzo trudno oddzielić fantazję i koloryzowanie od faktów. Przykładem niech będzie sprawa zaginionego lądu Mu.

Mu miał się znajdować mniej więcej pomiędzy dzisiejszymi Hawajami, Polinezją i Wyspą Wielkanocną. Pewną poszlaką, potwierdzającą jego istnienie jest zadziwiająco wielka powierzchnia Oceanu Spokojnego, nazywanego też czasem Oceanem Wielkim. Inna okoliczność, która daje sporo do myślenia, to olbrzymia mnogość wysp i wysepek, rozrzuconych po całym Pacyfiku. Pomimo dzielących je ogromnych odległości wyspiarze zachowali daleko posuniętą wspólnotę rasy, religii oraz kultury duchowej i materialnej

Najbardziej wyczerpujący (i praktycznie jedyny) opis dziejów Mu przedstawił w r. 1926 żołnierz Brytyjskiej Armii Indii, James Churchward w dziele pt. *Zaginiony Kontynent Mu*. Jako źródło swoich wiadomości podał napisy na „tablicach z Nakalu", które pokazał mu i przetłumaczył pewien bramin. Jak podał Churchward, istnieją tylko dwie tablice z Nakalu, obie w postaci spłaszczonych figur w kształcie ludzi. Ich kopie miał podobno odnaleźć w Meksyku przyjaciel Churchwarda amerykański inżynier William Niven. W swoim dziele ten pierwszy stwierdził kategorycznie, że obie tablice stanowią streszczenie świętych pism Mu i zostały napisane alfabetem używanym na zaginionym kontynencie od piętnastu do dwunastu tysięcy lat temu. We wstępie do swojej książki Churchward pisał m.in.: „Ogrody Edenu nie znajdowały się w Azji, ale na zatopionym teraz lądzie na Oceanie Spokojnym. Biblijna historia stworzenia, ten epos o siedmiu dniach i siedmiu nocach, nie pochodzi od ludów Nilu i doliny Eufratu, ale z obecnie pogrążonego w falach morza lądu Mu – ojczyzny człowieka. Te twierdzenia można sprawdzić na podstawie obszernych zapisów, które odkryłem na od wieków zapomnianych świętych tablicach w Indiach, równocześnie z zapiskami z innych krajów. Mówią one o tym dziwnym kraju, liczącym 64 miliony mieszkańców, w którym rozwinęła się cywilizacja pod wieloma względami przewyższająca naszą własną. Opisują między innymi stworzenie człowieka w tajemniczym kraju Mu. Dowiedziałem się, że żył tam lud, który następnie zaludnił całą ziemię oraz o tym, że kraj ten został zmieciony z powierzchni ziemi przez straszne trzęsienia i w wyniku zalania przez morze 12 000 lat temu. Zginął w kipieli ognia i wody". Churchward twierdzi, że nieszczęście spadło znienacka, Trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów ogarnęły najpierw południową część kontynentu. Następnie ląd zaatakowały fale tsunami. Wypływająca lawa utworzyła stożki, które do dziś wystają na powierzchnię w postaci wysp. Po jakimś czasie żywioły uspokoiły się. Miasta zostały odbudowane. Znowu obsiano pola. Spokojne życie mogło toczyć się od nowa. Nie na długo – po kilku pokoleniach nadeszła druga, już ostateczna katastrofa:

„Cały kontynent kiwał się i kołysał jak fale oceanu. Nieszczęsny ląd tonął przy akompaniamencie tysiącznych ryków. Obsuwał się coraz niżej, niżej i niżej, na samo dno piekieł. Był jak płonąca pochodnia. 50 milionów mil kwadratowych wodypochłonęło go raz na zawsze razem z przytłaczającą większością mieszkańców. Ląd Mu był to piękny kraj tropikalny. Obfitował we wszelkie rośliny jadalne. Dzięki pracowitości jego mieszkańców opływał we wszelkie dobra. Na Mu nie było wysokich gór, ale obfitość spływających ze wzgórz rzek i strumieni zapewniała takie mnóstwo wody, że nigdy nie brakowało jej nie tylko do picia, ale i nawadniania. Również dzikiej i oswojonej zwierzyny było w bród. Ludzie mieszkający na Mu (biali, oliwkowi, żółci, czarni i brązowi) prowadzili życie pełne szczęścia i radości.

Budowali wspaniałe drogi, składające się z ciężkich bloków kamiennych tak idealnie dopasowanych, że nie było tam ani jednej szpary, w której mogłaby wyrosnąć trawa. Okiełznali oceany i osiedlili się na wszystkich pozostałych lądach. Pływali na pięknych, wyposażonych we wszelkie wygody jachtach i statkach, żyjąc jak w raju.

Po zniknięciu macierzystego kontynentu, osadników, którzy przeżyli na odległych lądach, przeważnie spotkał jeszcze gorszy los niż ich pobratymców na Mu. Pozbawieni wszelkich dostaw towarów z metropolii szybko zdziczeli i aby przeżyć stali się ludożercami. Jedynie najbardziej samodzielna z kolonii Muwijczyków – Atlantyda, zachowała swoją wysoką kulturę i cywilizację. W ponad tysiąc lat później spotkał ją niestety ten sam los, co Mu.

Na dowód swoich twierdzeń Churchward podaje przykład Wyspy Wielkanocnej. Jego zdaniem, stanowiła ona jeden z najwyżej wyniesionych stożków wulkanicznych na Mu. Znajdujące się tam tajemnicze posągi należałoby oczywiście datować na czasy muwijskie.

Pomimo iż współczesne odkrycia naukowe (np. wyprawa Tora Heyerdala na tratwie Kon-Tiki, udowadniająca możliwość przebycia Pacyfiku na katamaranach używanych przez mieszkańców Oceanii) mocno odarły te figury olbrzymów z tajemniczości, to jednak wciąż jeszcze pozostało bardzo szerokie pole do snucia domysłów. Przede wszystkim tubylcy, zasiedziali tam wszak „od zawsze" nie są w stanie wyjaśnić pochodzenia tych niesamowitych rzeźb.

Nikt nie ma również pomysłu na to, jak należałoby się zabrać do odcyfrowania pisma, wyrytego na tamtejszych skałach.

Wyjaśnienie tego na sposób Churchwarda wciąż jest nęcące, przynajmniej dopóki nie zostaną opracowane inne teorie.

W swoim czasie Wyspę Wielkanocną odwiedzili dwaj uczeni francuscy – ksiądz Charles-Etienne Brasseur de Bourbourg, a po nim archeolog August le Plongeon. Obaj twierdzili, że wykryli pokrewieństwo pisma z Wyspy Wielkanocnej z pismem Majów. Le Plongeon ogłosił nawet, że udało mu się dzięki temu odczytać jeden z dwóch cudem ocalałych kodeksów Majów. W owym kodeksie miały się znajdować wiadomości o tym, że cywilizacja egipska i cywilizacja Majów pochodzą z tego samego źródła, a jest nim zaginiony ląd Mu...

Ostatnia królowa Mu imieniem Muu miała więc zostać obalona przez swojego brata, księcia Koo i skazana na wygnanie. Kiedy ląd Mu zatonął, Muu udała się do Egiptu, gdzie pod imieniem Izyda stworzyła fundamenty cywilizacji egipskiej. Z jej rozkazu zbudowano Sfinksa, na wieczną pamiątkę złego, lecz nieodżałowanego brata...

Nawiasem mówiąc, współcześni uczeni nie widzą już żadnego związku między pozornym podobieństwem graficznym między pismem Majów a piktogramami z Wyspy Wielkanocnej.

Mimo to istnieją poszlaki istnienia Mu, których nie da się podważyć równie łatwo jak niektórych „rewelacji" nadmiernie spragnionych sławy uczonych. Należą do nich podobne pozostałości megalityczne na Wyspie Mangaja, leżącej w Archipelagu Cooka. Rzeczą zastanawiającą jest to, że na tej wyspie nie ma ani jednego kamieniołomu. Ogromne głazy jednak nie przepłynęły same przez ocean i nie ułożyły się w kamienne pomniki bez niczyjej pomocy. Podobna grupa megalitów znajduje się na wyspie Rarotonga. Dalsze punkty występowania takich znalezisk w Oceanii to atol koralowy Tonga (kamień-totem ważący 70 ton), kamienne piramidy na wielu wyspach w archipelagu Marshalla i Gilberta (według podania wyryte na nich wzory to święte znaki Mu) oraz tajemnicze ruiny na Karolinach.

Jednakże dla Churchwarda najważniejsze były ruiny na wyspie Panape. Stanowią one pozostałość świątyni, zbudowanej na planieprostokąta o bokach długości 100 na 20 metrów. Jej ściany w chwili odkrycia przez Europejczyków miały wysokość 10 metrów i fundamenty głębokości dwóch metrów. Mury były ozdobione rzeźbami, które przynajmniej na pozór mogą być pochodzenia muwijskiego, a w każdym raie niepolinezyjskiego. Świątynia, zbudowana z bazaltu, posiada przejścia, piwnice i podwyższenie oraz pomieszczenie centralne w kształcie piramidy. W pobliżu znajdują się inne ruiny kamienne. Niewykluczone, że są to pozostałości któregoś z miast muwijskich.

Na wschód od Panape, na Wyspie Jaskółczej, znajduje się piramida z równo pociętych bloków kamiennych. Niedaleko są też pozostałości dziedzińca. W Archipelagu wysp Kusai, położonym na południowy wschód. od Panape, znajduje się podobny zespół zabytków. Ponadto odkryto pozostałości kanałów nawadniających.

Tę listę można ciągnąć praktycznie w nieskończoność. Niemal na każdej wyspie Oceanii natrafiono na mniej lub bardziej intrygujące megality, którym miejscowi tubylcy oddają zabobonną cześć. Oddajmy na koniec głos raz jeszcze Jamesowi Churchwardowi: „W pewnej epoce dziejów Ziemi istniał wielki kontynent na Oceanie Spokojnym, który obejmował wszystkie te grupy wysp, na których znaleziono te pradawne pozostałości. Na tym wielkim kontynencie powstała niezwykle rozwinięta cywilizacja".

Warto jeszcze wspomnieć o kontynencie Pan, który rzekomo spotkał ten sam los, co Mu i Lemurię oraz Atlantydę. Wiadomości na jego temat są jednak bardzo niepewne, jako że opierają się na świadectwie wyłącznie jednego człowieka. Był nim nowojorski dentysta i wywoływacz duchów John Newbrough. W roku 1882 napisał książkę pt. *Oahspe*. Według Nerbrougha Pan leżał na północnym Pacyfiku i zatonął jakieś 24 000 lat temu. Jak dotąd, nie spełniło się proroctwo o ponownym ukazaniu się lądu Pan w roku 1980. Objawienia dentysty-spirytysty miały być ponoć tak szczegółowe, iż podał w swojej książce nawet alfabet panijski i zamieścił słownik panijsko-angielski. Najprawdopodobniej nikt, być może z wyjątkiem samego autora książki, nie wziął tego wszystkiego poważnie.

Już Szekspir wiedział o tym, że są na niebie i ziemi rzeczy, o jakich się filozofom nie śniło. Sprawa Lemurii, zwłaszcza zaś sprawa zaginionego kontynentu Mu zapewne należy do tej kategorii spraw, którą miał na myśli wielki Anglik zapisując powyższą maksymę. Dzisiejsza zadufana w sobie nauka zaledwie przyznaje, że nie rozwiązała jeszcze wszystkich zagadek tego i innych światów. Wobec wszystkiego, czego się nie da zmierzyć, zważyć, sprawdzić i posortować dzisiejsi naukowcy stosują na przemian bojkot albo twierdzenie o nienaukowości danych zagadnień, Tymczasem nauka nie jest w stanie wyjaśnić do końca nawet przyczyn swojego własnego istnienia.

Nie wiemy, czy przytoczone tu opowieści zasługują na wiarę z punktu widzenia krytyki historycznej i archeologicznej. Wydaje mi się natomiast, że tego rodzaju historie rozwijają ciekawość świata i samodzielne myślenie. Te zaś cechy charakteru są współczesnemu społeczeństwu potrzebne do życia nie mniej niż czyste powietrze do oddychania.

Biblia zwana *Septuagintą*

W III wieku przed Chrystusem siedemdziesięciu Żydów przetłumaczyło z hebrajskiego na grecki Pismo Święte. Tak narodziła się *Septuaginta*, Biblia z Aleksandrii.

Król Egiptu, Ptolomeusz Filadelfos w III wieku przed Chrystusem, pod wpływem kustosza Biblioteki Aleksandryjskiej podjął decyzję o tłumaczeniu Tory na język grecki. Czy była to decyzja promocji prestiżowej polityki kulturalnej? Filonos z Aleksandrii, który opowiada tę historię dwa wieki później, przypomina także gorące pragnienie króla, by poznać Prawo. Czy Ptolomeusz był królem-filozofem? Jakkolwiek by było, język grecki był dla ludów śródziemnomorskich trochę tym, czym dla nas jest angielski – językiem administracji państwowej, armii i interesów. Zhellenizowani Żydzi z aleksandryjskiej diaspory posługiwali się nim biegle, hebrajski rezerwując tylko do studiów i modlitwy.

Przeprowadzono rekrutację „mistrzów literatury judaistycznej, ale także oddanych kulturze helleńskiej. Język grecki w oczach Żydów otaczała specyficzna aura: niektóre ustępy Talmudu potwierdzają, że pisemnych przekładów Tory można dokonywać wyłącznie na grecki. Bowiem Grecy byli potomkami Jafeta, syna Noego i brata Sema, przodka „semitów”. Imię syna Jafeta, Yavan, znaczy po hebrajsku „Grek”. Samo imię Jafet pochodzi od korzenia oznaczającego równocześnie „szerzenie się" i „piękno": „Grecy zajmują szeroką przestrzeń geograficzną, a ich język jest najpiękniejszy ze wszystkich."

Król przyjął z wielką pompą 70 (*septanta*) tłumaczy. Jest to liczba znacząca, symboliczna. W Talmudzie wyrażenie „70 narodów" oznacza całą ludzkość. Warunkiem zasiadania w Sanhedrynie, najwyższym trybunale hebrajskim, była znajomość 70 języków. Jednak obecność króla nie była czysto ceremonialna: chciał on się dokształcić. Zorganizował bankiet. Przez siedem nocy zadał 70 pytań tłumaczom, którzy odpowiadali mu „apoftegmatami pełnymi siły". Następnie tłumacze udali się na wyspę Faros, gdzie zostały dla nich przygotowane „niewielkie pomieszczenia". Twierdzili, że do przetłumaczenia Tory potrzebowali 70 (lub 72) dni. „W rzeczywistości – precyzuje Marguerite Harl – proces tłumaczenia rozciągnął się na dwa i pół wieku". Następujące po sobie korekty czynią z *Septuaginty* tekst ostateczny, którego pierwowzoru nie znamy. Jednak symbolika liczb pokazuje, że był on postrzegany jako „autentyczna forma boskiego objawienia dla Żydów aleksandryjskich, a potem pierwszych chrześcijan."

Dla zhellenizowanego Żyda Filonosa 70 tłumaczy było „hierofantami i prorokami". Aż do II wieku Żydzi będą czytali Biblię tak po grecku, jak i po hebrajsku, a tysiące słów greckich wejdzie do hebrajskiego Talmudu. Jednak później wyklęto *Septuagintę* skażoną poprzez użytek, jaki z niej zrobili chrześcijanie: według Sefer Torsh „siedemdziesięciu starożytnych napisało Torę po grecku i ten dzień był tak samo fatalny dla ludu Izraela, jak i ten, w którym zrobiono złotego cielca."

Według jednego z Ojców Kościoła, Ireneusza, każdy z siedemdziesięciu tłumaczy opracował własny pełen przekład: wszystkie okazały się identyczne. Dla pierwszych chrześcijan *Septuaginta* była po prostu Starym Testamentem, w którym czytanie apologetyczne odnajduje „boski plan" anonsujący Jezusa. „Za cenę wszelkiego rodzaju zabiegów o objaśniających Ojcowie Kościoła odczytują te zapowiedzi w każdej najmniejszej cząstce tekstu: [...] przejście przez Morze Czerwone zapowiada chrzest; każdy drewniany przedmiot zapowiada Krzyż". Także do *Septuaginty* w wersji łacińskiej odwołuje się św. Augustyn. Została ona zdetronizowana dopiero w VII wieku przez Hieronima, mistrza *hebraica veritas*, który przetłumaczył Biblię na łacinę bezpośrednio z hebrajskiego.

Tak więc po okresie chwały *Septuaginta* popadła w powszechne zapomnienie – z wyjątkiem Kościoła obrządku greckiego używającego jej do dziś. Dla biblistów stała się punktem odniesienia pozwalającym wyjaśnić niejasności tekstu hebrajskiego ustalonego w IX wieku. Oznaczało to założenie, że tekst-matka *Septuaginty* był identyczny z hebrajskim tekstem znanym dzisiaj. Różnice przypisywano swobodzie interpretacyjnej tłumaczy *Septuaginty* albo błędom tekstu z IX wieku.

Odkrycie wśród manuskryptów znad Morza Martwego starożytnych tekstów hebrajskich niekiedy bliższych *Septuagincie* niż tekstowi z IX wieku dowodzi, że tłumacze niczego nie zmyślili: wiernie przetłumaczyli tekst, którego my nie znamy: „Nie ma w nim błędów, tylko rozbieżności między dwoma tłumaczeniami". *Septuaginta* powstała ze starej wersji Tory, jednej spośród wielu, które były przepisywane i modyfikowane w ciągu wieków. *Septuaginta* przetrwała do naszych czasów, co też jest rezultatem nieustannego jej przepisywania.

Dla współczesnych wydawców jej francuskiej wersji, *Septuaginta* nie jest jedynie zbiorem odwołań dla erudytów, ale tekstem literackim, aktualnym i wibrującym mistycyzmem.

Dzieje manuskryptów znad Morza Martwego, czyli tajemnice Biblii

Można by sądzić, że historia ta jest scenariuszem filmu Spielberga. Mamy do czynienia ze wszystkimi niezbędnymi składnikami: prowadzonymi w tajemnicy poszukiwaniami, porwaniami, przemytem... Od chwili odkrycia, słynne zwoje z Qumran i ich biblijne sekrety stanowią wyzwanie dla niejednego archeologa, nauka przyznaje również, że rzucają nowe światło na początki chrześcijaństwa.

„Odkrycie starych rękopisów rozbudza najgorsze instynkty" – pisał Umberto Eco w *Imieniu róży*. Nie ma więc nic zaskakującego w tym, że manuskrypty znad Morza Martwego od ich ujawnienia w 1947 roku wyzwoliły potok namiętności i dramatów, przetargów i polemik. Pochodzą one z początku ery chrześcijańskiej i stanowią unikatowe świadectwo źródeł naszej cywilizacji, są jednym z najbardziej niezwykłych znalezisk archeologicznych wszechczasów. Zdaniem wybitnego naukowca, profesora Gezy Vermesa z Oxfordu stanowi ono także zarzewie „największego akademickiego skandalu XX wieku".

Króciutka wzmianka w „Timesie" z 12 kwietnia 1948 roku, zagubiona wśród komunikatów wojennych z Korei, zawierała wiadomość o odkryciu dawnych manuskryptów „w bibliotece klasztoru Świętego Marka". Dyskrecja ta miała z pewnością na celu ochronę miejsca znaleziska. Dzięki takiemu właśnie sposobowi podawania informacji wielka ilość manuskryptów w przedziwny sposób umknęła nie tylko powszechnej ciekawości, ale i zainteresowaniu specjalistów. I nikt nie potrafi powiedzieć, ile z nich zostało zagubionych bądź zniszczonych.

Historia rękopisów z Qumran zaczęła się podobnie jak historia odkrycia grot z malowidłami w Lascaux i jest równie piękna. W dolinie Jordanu, tak zresztą jak i w Perigord, wielkiego odkrycia dokonali mali chłopcy. Wędrowni Beduini z plemienia Tamireh od wieków przemierzają urwiska nabrzeża Morza Martwego na wschód od Jerozolimy. Gorąco i susza czynią z tego niezwykłego pustkowia idealną przechowalnię dla pergaminów.

Mohamed ed-Dib, zwany Wilkiem, trafił do legendy pewnego wiosennego dnia 1947 roku, kiedy wspinając się po skałach Qumran poszukiwał zabłąkanej kozy. Przechodząc koło rozpadliny zauważył odchodzącą od niej grotę, wrzucił więc kamień do środka i usłyszał odgłos tłuczonego garnka: były to gliniane dzbany wysokości 60 centymetrów. Niektóre były jeszcze całe. Zawierały zwoje ze skóry owinięte strzępami tkaniny; pokrywały je napisy w języku hebrajskim i aramejskim. Beduini, zdezorientowani tym przedziwnym łupem, próbowali rozwinąć zwoje na jednym ze swych miejsc postoju. Byli zaskoczeni ich niezwykłą długością: jeden mierzył ponad 7 metrów. Była to kopia Księgi Izajasza, licząca tysiąc lat więcej od najstarszych znanych kopii Biblii hebrajskiej, tych, które zostały ujawnione w XIX wieku w kairskiej *ghenizie*, a pochodzących z wczesnego średniowiecza.

Dziś, po odkryciu dziesięciu innych grot w tej samej okolicy, doliczono się 800 tekstów, z czego jedną czwartą stanowią teksty biblijne. Są wśród nich wszystkie księgi hebrajskiej Tory, z wyjątkiem Księgi Estery. Na resztę składają się pisma zwane „sekciarskimi", o niezwykłym zróżnicowaniu: psalmy, komentarze biblijne, teksty praw i pseudoepigrafy... Niektóre z nich, jak Księga

Enocha, istniały już w innych wersjach. Inne natomiast były całkowicie nieznane.

Dla historyka religii znalezione w Qumran rękopisy mają tym większą wartość, że pochodzą z epoki wstrząsanej wojnami. Można je przyrównać do „teleskopu zaopatrzonego w obiektyw o wielkiej mocy, dający nam bezpośredni wgląd w czasy Drugiej Świątyni, ponad barierą dwóch tysięcy lat" – pisze izraelski archeolog Ygael Yadin. Okres ten jest równocześnie czasem tragicznego przełomu w historii Żydów – Druga Świątynia i Jerozolima zostały zniszczone przez Rzymian w 70 r. n.e. – i czasem narodzin chrześcijaństwa.

Była to epoka wrzenia i mesjańskiej gorączki. Od czasu buntu Asmodejczyków przeciwko helleńskim panom atmosfera stała się wybuchowa i pobożni Żydzi co jakiś czas buntowali się przeciwko „strażnikom świątyni", uznanym za renegatów, skompromitowanym współpracą z ciemiężcami i skłonnym do zbyt liberalnego podejścia do Prawa hebrajskiego. W 37 r. n.e. Rzym mianował Idumeena Heroda królem Judei. W 66 roku całym regionem wstrząsa wielka rebelia. Kończy się ona klęską: zburzeniem świątyni w 70 roku i zbiorowym samobójstwem obrońców Massady cztery lata później.

Rękopisy znad Morza Martwego rzucają na ten okres nowe światło. Nikt dziś nie zaprzecza, że pierwsi chrześcijanie rekrutowali się z dysydenckich odgałęzień judaizmu. Jednak aż do odkrycia zwojów wyłonienie się nowej religii otoczone było mityczną poświatą. „Rok 70 n.e. był jakby nieprzebytym murem dla badaczy – pisze Hershel Shanks – trudno było poznać, co kryło się za nim". Manuskrypty znad Morza Martwego nie tylko dostarczają nam informacji o mieszkańcach wspólnoty z Qumran; mówią też o sytuacji polityczno-religijnej w całym regionie. Przede wszystkim stawiają nowe zagadki historyczne. Jakie były powiązane między mieszkańcami Qumran i mnożącymi się wtedy „sektami" żydowskimi? Czy mieszkańcy Qumran byli esseńczykami, jak sądzi wielu, czy saduceuszami, a może zelotami?

Czy to Jezus był Mistrzem Sprawiedliwym, o którym mówi Pismo z Damaszku odkryte w Qumran? Czy Qumran stanowiło miejsce schronienia „pierwszych chrześcijan"? Czy był tam klasztor, czy może forteca? Prawdziwy „Damaszek" Pawła? Czy archiwa z Qumran były biblioteką Świątyni Jerozolimskiej, ukrytą przez Żydów w czasie wielkiego powstania w 66 roku?

Pewne jest, że w czasach tych istniało wiele odmian judaizmu, których następcy coraz bardziej w przyszłości oddalali się od siebie. Ostateczne zamknięcie biblijnego kanonu przez redaktorów Talmudu jeszcze wtedy nie nastąpiło (dokonało się między 90 i 105 r. n.e.), a liczne wersje Tory inspirowały rywalizujące ze sobą sekty. Synowie Izraela zbuntowani przeciw rabinatowi Świątyni podzielili się na esseńczyków, saduceuszy, faryzeuszy, zelotów... Wszyscy rywalizowali w wierności Prawu i oddaniu wobec Jahwe, mimo różnic w interpretacji Pisma.

Czyżby Jezus był jednym z żydowskich buntowników, jednym z bojowników wiary judaistycznej, a nie słodkim jagnięciem z chrześcijańskich obrazów? „Nie wierzcie, że przyszedłem, by dać ziemi pokój; nie przyszedłem, by zapanował pokój, ale miecz" – mówi Ewangelia św. Mateusza (10,34). Czy bliski był faryzeuszom, którzy dali początek judaizmowi rabinackiemu? A może esseńczykiem z Qumran? Niektórzy badacze widzą w nim reprezentanta saduceuszów odrzucających Prawo przekazywane ustnie. Inni uznają go za zelotę, pobratymca obrońców fortecy Masada. Jakkolwiek by było, tym bożym szaleńcom wcale nie chodziło o stworzenie nowej religii, ale o przywrócenie Torze jej majestatu. W ich oczach kult Boga-Człowieka był bałwochwalstwem, niewybaczalną zbrodnią. Liberalne podejście Pawła do Prawa, ustępstwa tego prześladowcy przemienionego w gorliwego prozelitę wobec ducha czasów mogły ich tylko szokować. Na temat tych wszystkich kwestii istnieją jedynie słabe poszlaki i fragmentaryczne teksty: ścierają się ze sobą sprzeczne hipotezy, często przekonujące, zawsze fascynujące. Stosunek nauki do manuskryptów znad Morza Martwego nie jest bezstronny: dzisiejsze naukowe namiętności są echem tamtej apokaliptycznej gorączki. I wciąż mamy do czynienia z nostalgią – tęsknotą za czasami, w których walką polityczną rządziły zasady religijne.

Natomiast historia samych manuskryptów wygląda jak prześladujący archeologa koszmar. Beduini z Tamireh, nie podejrzewając symbolicznej wartości znaleziska, domyślili się jednak, że zwoje są cenne. Powierzyli je lokalnemu szejkowi, który wszedł w układy z niejakim Kando, dość podejrzanym indywiduum, handlarzem antykami, członkiem syryjskiego kościoła jakobitów. Węsząc okazałą transakcję Kando pokazał dokumenty metropolicie Samuelowi z klasztoru Świętego Marka w Jerozolimie, a ten nie wymyślił nic lepszego od spalenia fragmentu zwoju w celu identyfikacji materiału.

Beduini, jedyni znający dobrze skaliste wybrzeże Qumran, szybko zrozumieli, że korzystniej będzie sprzedawać skarb w częściach, co pozwoli bardziej wywindować ceny. W politycznym zamieszaniu zawiązała się cała przemytnicza siatka. W 1947 roku Qumran bowiem uwolnił się z brytyjskiego protektoratu. Rok później należał tymczasowo do nowego państwa Izrael, wystawionego na cel koalicji armii krajów arabskich. Po zawieszeniu broni stał się terytorium jordańskim i tak było aż do wojny sześciodniowej w 1967 roku. W tym też roku Ygael Yadin odnalazł u niezastąpionego Kando, w pudełku po butach, najważniejszy tekst, dłuższy od zwoju Izajasza, „zwój Świątyni". Zdaniem profesora Stegemana chodzi tu o szóstą księgę Tory, zaginioną od dwu tysięcy lat i przekształcającą tym samym Pięcioksiąg w Sześcioksiąg. W posiadaniu Kando, tym razem w pudełku po cygarach, pod rodzinnym i zdjęciami, znajdowały się jeszcze inne fragmenty...

W miarę upływu lat kampanie poszukiwań, często prowadzonych w anarchiczny sposób, odkrywały nowe groty. Wszystkie zawierały cudowne znaleziska. Nie ma żadnej wątpliwości, że w czasie tych burzliwych lat wiele fragmentów zostało zagubionych. Cudowne archiwa więcej ucierpiały w 1947 roku niż w ciągu dwóch tysięcy lat od ukrycia w grotach Qumran. Od pierwszej chwili poddane były wpływom nieustających przypadków ignorancji, zaniedbania i chciwości. Chcąc sfotografować ogromny fragment Księgi Daniela, Copeland, agent CIA rezydujący w Damaszku wszedł na dach amerykańskiego poselstwa i rozwinął zwój na wietrze: odrobiny pergaminu poodrywały się i zmieszały z ulicznym kurzem. Przez kilka tygodni przechowywano zwoje w wilgotnych piwnicach jednego z banków w Ammanie. Do Jerozolimy wróciły pokryte pleśnią, całych miesięcy trzeba było, by je oczyścić. Fragmenty zakopane przez Kando w wilgotnej ziemi ogrodu zmieniły się w czarną masę, mogącą co najwyżej posłużyć do produkcji papieru z odzysku. Często dwie części tego samego tekstu odnajdują się po dwóch stronach granicy dzielącej Izrael i Jordanię. W czasie poddawania zwojów pierwszym ekspertyzom w Jordanii nie korzystano jeszcze z nowoczesnych metod konserwacji manuskryptów: w pierwszej sali muzeum Rockefelera w Jerozolimie, gdzie pracowano nad nimi, słońce wpadało przez otwarte szeroko okna. Zdjęcia ukazują młodych badaczy trzymających w jednej ręce fragment zwoju, a w drugiej papierosa.

W 1952 roku dyrektorem publikacji zwojów znad Morza Martwego został dominikanin, ojciec de Vaux i pozostał nim aż do śmierci w 1971 roku. Ta malownicza i niekonwencjonalna postać, były członek Akcji Francuskiej, brodacz, namiętny palacz, zawsze w czarnym berecie i białej sutannie, skompletował ekipę na swoją miarę, w znacznej większości katolicką. Aż do 1987 roku nie przyjęto ani jednego Żyda, ani jednego Izraelczyka do tego zamkniętego kręgu pracującego przecież nad tekstami hebrajskimi... Ta „międzynarodowa ekipa" wywodząca się z katolickiej Szkoły Biblijnej z Jerozolimy, powiązana była z Watykanem za pośrednictwem Kongregacji do Spraw Wiary.

Fakt, że mała grupa uprzywilejowanych badaczy przez tak długi czas posiadała niemal całkowity monopol na dostęp do tekstów, w końcu wywołał oburzenie naukowców. W latach osiemdziesiątych doszło do ogólnej mobilizacji. Wściekłość archeologów wywołała przede wszystkim powolność, z jaką Szkoła Biblijna publikowała rezultaty swych prac. Poza tym, mimo nieustannych nalegań, badacze spoza uprzywilejowanego kręgu nie mieli dostępu do oryginałów. Michael Baignet i Richard Leigh cytują liczne opinie rozdrażnionych wybitnych profesorów. „Ekipa ojca de Vaux – piszą w 1991 roku – pracuje od czterdziestu lat i wydała zaledwie osiem tomów, mniej niż 25 procent materiału, jaki ma w swoich rękach".

Skandal wybuchł w związku z czwartą grotą odkrytą w 1952 roku. Jest to prawdziwy sezam: swym niewiarygodnym bogactwem zaćmiewa wszystkie pozostałe. Znaleziono w niej ponad 500 różnych zwojów, tyle że wszystkie rozsypane: ani jednego nieuszkodzonego. Niektóre kawałki pergaminu miały wielkość paznokcia. Stanowiło to niezwykłe wyzwanie dla deszyfrantów mających tu do czynienia z „gigantyczną łamigłówką, a właściwie z pięciuset łamigłówkami, w których braki sięgają 90 procent elementów" – pisze Hershel Shanks w pasjonującej pracy zbiorowej opublikowanej niedawno w Stanach Zjednoczonych, po raz pierwszy prezentującej profanom jasną i kompletną wizję całości prac.

Wiadomo było oczywiście, że na rekonstrukcję tekstów groty czwatrej trzeba lat. Osiem pierwszych prac poświęcono ich inwentaryzacji. Wykonawszy tę pracę „międzynarodowa ekipa" przeciwstawiła się jej publikacji. „Między 1960 a 1990 rokiem – pisze Hershel Shanks – ekipa zadowoliła się wydaniem nie więcej niż 100 tekstów. Nie opublikowane 400 stanowi około połowy wszystkich manuskryptów z Qumran".

Dlaczego tylko tyle? Pytanie to stawiają Michael Baignet i Richard Leigh w Skonfiskowanej Biblii. Reporterzy ci, odznaczający się erudycją w sprawach biblijnych, konstruują hipotezę o konspiracji pod patronatem samego Watykanu. Niektóre ze zwojów odkrytych w Qumran miałyby jakoby zawierać rewelacje na temat pierwszych chrześcijan, które mogłyby zachwiać dogmatami wiary. Czyżby esseńczycy z Qumran – Żydzi nadzwyczaj przywiązani do Prawa Mojżeszowego – mieli być pierwszymi chrześcijanami? Kościół, czując zagrożenie, miałby próbować ukryć niektóre kompromitujące fragmenty i zaprzeczać wszelkim związkom między esseńczykami z Qumran i pochodzeniem chrześcijaństwa, narzucając katolicką interpretację tekstów.

Hershel Shanks całkowicie odrzuca tę naiwnie prowokującą teorię. „Nikt nigdy – tłumaczy – nie zaprzeczał, że manuskrypty z Qumran są niezwykle znaczące tak dla historii narodzin chrześcijaństwa, jak i dla historii judaizmu Drugiej Świątyni. Gmach chrześcijaństwa znakomicie zniósł szok darwinizmu; manuskrypty z Qumran są o wiele mniej groźne od pisma Darwina". Natomiast w sprawie Szkoły Biblijnej, uzurpującej sobie prawo do reprezentowania oficjalnej linii Watykanu, to udało mu się znaleźć wśród jezuitów osobiście związanych z Watykanem, najbardziej zaciekłych jej przeciwników. Jednym z nich jest Robert North, wykładający archeologię w Pontyfikalnym Instytucie Biblijnym. Skąd wobec tego tajemnica i ukrywanie wyników badań? Odpowiedź Shanksa jest prosta i raczej przygnębiająca: „Chcieli dla siebie zachować zabawki. Jak wszyscy posiadacze monopolu poznali smak władzy. Jako wyłączni członkowie zaklętego kręgu, kontrolowali całą dyscyplinę naukową".

„Uzgodnienia" dotyczące groty czwartej natomiast były od 1960 roku przetrzymywane w tajemnicy w piwnicach Rockefeller Muzeum w Jerozolimie: John Strugnell, następca ojca de Vaux, niedawno zdyskredytowany z powodu swoich antysemickich deklaracji, obawiał się, by zagraniczni badacze na podstawie tych „uzgodnień", czyli listy przetłumaczonych terminów, nie zrekonstruowali tekstów, do czego zresztą ostatecznie doszło. Ulegając w końcu zgodnym naciskom rządu izraelskiego, światowej społeczności naukowej i opinii publicznej, Strugnell w 1988 roku opublikował wreszcie „uzgodnienia". Dwa lata później profesor Wacholder z Cincinnati, przy pomocy informatyka, zrekonstruował fragmenty z groty czwartej i rozpowszechnił je w naukowym światku. „New York Times" głosił: „Koniec monopolu na manuskrypty znad Morza Martwego." Naukowcy mogą wreszcie podjąć poważne prace. Filmy Spielberga zawsze kończą się happy endem.

Może być także ciąg dalszy: „W tym regionie wciąż możliwe są nowe odkrycia" – pisze Hershel Shanks – z drugiej strony sądzi się, że dawno odnalezione zwoje mogły zostać zachowane w tajemnicy przez handlarzy antyków i przebiegłych biznesmenów. Według Strugnella, Lankester Harding, były dyrektor jordańskich starożytności, wyznał na łożu śmierci, że istnieją przynajmniej trzy zwoje ukryte w bankach Jordanii. „Jest to lepsza inwestycja niż wszystkie akcje Wall Street . Jeden zwój znad Morza Martwego jest wart obrazu Picassa".

Kto odkrył Brazylię?

Szkolna historia wydaje się nie mieć wątpliwości co do odpowiedzi na to pytanie: tym wielkim człowiekiem był Pedro Alvares Cabral – jeden z żeglarzy portugalskich. Zniesiony przez przeciwne wiatry, płynący w stronę Indii w roku 1500 admirał Cabral był zmuszony lądować na nieznanym mu wybrzeżu po zachodniej stronie Atlantyku.

Czy jednak przed tą datą jakiś inny żeglarz w wyniku podobnych okoliczności nie trafił na wybrzeże brazylijskie, podczas gdy chciał dopłynąć, powiedzmy, do zachodniej Afryki? Przecież wiadomo, że starożytni Rzymianie w okresie rozkwitu Cesarstwa docierali drogą morską do Indii, a nawet do Chin. Z kolei Kartagińczycy w czasach rozkwitu ich państwa prowadzili handel nad Zatoką Gwinejską. Kartagina zaś była stolicą wielkiego państwa, założoną przez Fenicjan – jedyny starożytny naród semicki, który w poszukiwaniu zysków i łupów udał się na morze.

Istnieje kilka przekazów pisanych wskazujących na to, że pierwszymi odkrywcami Brazylii mogli być właśnie Fenicjanie.

W roku 1872 na jednej z plantacji w położonym na północnym wschodzie Brazylii stanie Paraiba, wykopano kamień na którym w języku fenickim wykuto opowieść sprzed wielu stuleci. Przedstawia ona dzieje jednej z najdłuższych wypraw, jaką kiedykolwiek podjęli żeglarze feniccy. Dziesięć statków wypłynęło z Zatoki Akaba i przez Morze Czerwone przedostało się na ocean z zamiarem opłynięcia wybrzeży Afryki. Podczas pokonywania jednego z dalszych odcinków trasy żeglarzy zaskoczyła wielka burza. W jej wyniku jeden ze statków fenickich oddzielił się od pozostałych i został uniesiony tak daleko przez żywioły morskie, że jego załoga nie zdołała już odnaleźć drogi powrotnej do Afryki. Nieznany skryba wykuł w kamieniu następujące słowa: „To z powodu handlu zostaliśmy rzuceni na ten odległy brzeg, do kraju gór".

Od chwili gdy ten tzw. kamień z Paraiby ujrzał światło dzienne, stał się przedmiotem zagorzałych sporów wśród historyków i archeologów. Kilku z nich broniło poglądu, że znalezisko jest prawdziwe. Większość uznała je za znakomity dowcip jednego z badaczy starożytności fenickich, który pewnie sam wyprodukował ten „zabytek", aby potem móc się śmiać do końca życia z naiwnych, którzy uwierzyli w jego autentyczność. Oczywiście byłoby równie wielką naiwnością twierdzić, że większość musi mieć zawsze słuszność tylko dlatego, że jest większością. Z drugiej strony, jeżeli rzeczywiście był to po prostu czyjś oryginalny dowcip, to fałszerstwo musiało zostać dokonane z tak wielką wprawą, że do dzisiaj trudno rozstrzygnąć, czy kamień jest oryginalny, czy też podrobiony. Toteż należy zająć się raczej próbą odpowiedzi na prostsze pytania. Na przykład, czy statki fenickie w ogóle były w stanie pokonywać tak ogromne odległości i to z dala od wybrzeży?

„Ojciec historii" Herodot opisał m.in. jedną z podróży marynarzy fenickich, którą odbyli około 600 r. p.n.e. na polecenie faraona Nechona. Okręty wyruszyły z Fenicji, a następnie przeciągnięto je na dulkach przez Przesmyk Suezki. Przepłynąwszy przez Morze Czerwone skierowały się na ocean wzdłuż wybrzeży Afryki z zamiarem jej opłynięcia. Po trzech latach powróciły drogą prowadzącą przez Cieśninę Gibraltarską. Dzisiejsi żeglarze mogą potwierdzić, że każda jednostka pływająca, która jest w stanie utrzymać się na wodzie płynąc przez trzy lata dookoła Afryki, mogłaby też dzięki pomyślnym wiatrom przepłynąć południowy Atlantyk. Takie czynniki jak płycizny oceaniczne, wir powstający przy rufie i prądy oceaniczne umożliwiają zbliżenie się do brzegu amerykańskiego mimo wzburzonego morza.

Na współczesnych mapach można bez trudności dostrzec prąd morski, który prowadzi od Wysp Kanaryjskich w kierunku Brazylii, nazwany z tego powodu Prądem Kanaryjskim. W przeszłości, w czasach flot żaglowych, jego szlakiem odbywała się wymiana handlowa między Brazylią a Europą. Niedaleko miejsca, w którym znaleziono owo sporne świadectwo niegdysiejszej obecności Fenicjan, wyrosły dwa największe porty Brazylii w epoce żaglowców: Natal i Pernambuco (obecnie Recife).

Inny prąd, który mógł ponieść starożytne statki w kierunku dzisiejszej Brazylii, nosi nazwę Prądu Południoworównikowego. Prowadzi od Zatoki Gwinejskiej do okolic dzisiejszego Rio de Janeiro.

Możliwość sforsowania południowego Atlantyku w czasach starożytnych udowodnił już ponad wszelką wątpliwość słynny Thor Heyerdal. Jego zbudowana z papirusu łódź, wykonana ściśle według wzorów z czasów faraonów, wykorzystując Prąd Kanaryjski i Prąd Północnorównikowy, wypłynąwszy z wybrzeża marokańskiego, dotarła do Barbadosu. Skoro można było tego dokonać posługując się łajbą wykonaną z tak dziwacznego materiału na okręt jak papirus, to tym bardziej nie należy wątpić w możliwość przepłynięcia Atlantyku na statkach fenickich. Tak się bowiem składa, że te ostatnie wykonywano z doskonale trzymającego się na wodzie drewna cedrowego, zaś ich budowa była najdoskonalsza ze wszystkiego, co kiedykolwiek opuściło stocznie w całej starożytności.

Opowieść Herodota nie jest jedynym przekazem pisanym, podającym wiadomości potwierdzające wiarygodność kamienia z Paraiby. Inny starożytny historyk grecki, Diodor, podał w księdze piątej swojego dzieła o historii świata, że Fenicjanie wyruszyli w jednej ze swoich wypraw daleko na zachód. Płynąc z prądem oceanicznym począwszy od zachodniego krańca Afryki, dotarli do „wielkiej wyspy". Ponieważ na tej trasie nie ma (wystarczy prześledzić przebieg Prądu Gwinejskiego i Prądu Południoworównikowego począwszy od Dakaru) żadnych dużych wysp, prowadzi to do wniosku, iż ową wielką wyspą musiał być kontynet Ameryki Południowej.

Najwybitniejszy znawca dziejów Brazylii przed podbojem portugalskim – austriacki profesor Ludwik Schwennhagen – wysunął przypuszczenie, że wyprawa Fenicjan opisana przez Diodora miała miejsce około roku 1200 p.n.e. Jako że upadek Troi, opisywany przez Homera dość powszechnie datuje się na rok 1181 p.n.e., Schwennhagen posunął się jeszcze dalej, twierdząc że pewne poszlaki wskazują na możliwość osiedlenia w tym czasie w dzisiejszej Brazylii uchodźców trojańskich. Jak wiadomo, Fenicjanie byli sojusznikami Trojańczyków w ich walce z Achajami.

Dodatkowy argument, podtrzymujący tezę o obecności Fenicjan na wybrzeżach północno-wschodniej części Ameryki Południowej stanowią następujące wersety Starego Testamentu: „Gdyż król posiadał okręty, które płynęły do Tarszyn morzem wraz z okrętami Chirama; raz na trzy lata przypływały okręty z Tarszyn, przywożąc złoto i srebro, kość słoniową, małpy i pawie" (1 Krl 10,22).

Gdyby w tym ustępie rzeczywiście chodziło o Tars – miasto położone na południowym wybrzeżu Azji Mniejszej, to dlaczego droga stamtąd do portów palestyńskich miała zajm ować aż trzy lata?! Poza tym, kiedy to w Cylicji czy Anatolii (czyli na obszarze dzisiejszej Turcji) bywały małpy i słonie? Na przebycie drogi dookoła Afryki statki fenickie potrzebowały właśnie trzech lat. Każdy, kto choć z grubsza potrafi obliczyć odległości między różnymi punktami wybrzeży, łatwo może sobie uprzytomnić, że odległość jaką trzeba pokonywać żeglując dookoła Afryki jest mniej więcej równa trasie, którą trzeba by przepłynąć (tam i z powrotem) ze wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego do Zatoki Gwinejskiej, a następnie do Ameryki Południowej, korzystając z Prądu Gwinejskiego i Prądu Południoworównikowego.

Schwennhagen podaje dalsze poszlaki, przemawiające za przyjęciem takiego wyjaśnienia tej dziwnej nieścisłości Pisma w odniesieniu do geografii dawnej i współczesnej. Indianie do dzisiaj nazywają Amazonkę Solimoes. Czy nie jest to czasem pamiątka po królu Hebrajczyków, który opłacał fenickie wyprawy w ten rejon świata?

W tym mniejscu można by zapytać: skoro Fenicjanie rzeczywiście dokonali tak wielkiego odkrycia, to dlaczego nie pozostawili o tym żadnej wiadomości dla przyszłych pokoleń, ani nie przekazali jej innym narodom? Odpowiedź jest niezmiernie prosta. Woleli ją zatrzymać dla siebie. Tak się bowiem składa, że w owych czasach znajomość jakiegoś szlaku handlowego, o którym nie wiedziała jeszcze konkurencja, była cenniejsza niż złoto. Platon napisał w swoim dziele *Państwo* o nienawiści, jaką cały świat grecki darzył Fenicjan z powodu ich chciwości i niezmiernego przywiązania do dóbr doczesnych.

W swoim dziele *Historia starożytna Brazylii od 1100 r. p.n.e. do 1500 r. n.e.* (po raz pierwszy wydanym w roku 1928) prof. Schwennhagen zajął się wieloma innymi zagadkami historyczno-archeologicznymi. Znalazła się wśród nich sprawa tzw. Siedmiu Kamiennych Miast.

Owe „miasta" (nie ma zgodności, czy były nimi rzeczywiście) znajdują się w odległości około 160 km od północnego wybrzeża stanu Piaui. Gdyby połączyć za pomocą linijki dwa duże miasta – Fortalezę i Sao Luis, to park narodowy, w którym mieszczą się te zagadkowe obiekty skalne, można by odnaleźć gdzieś na połowie tak powstałej linii prostej.

Wybitny geolog niemiecki, Herbert Wegener – twórca teorii dryfu kontynentalnego, stwierdził liczne podobieństwa w geologicznym ukształtowaniu Sahary i stanu Ceara (najsuchszych terenów Brazylii). Na tej podstawie wnioskował, że około 100 mln lat temu, a może jeszcze wcześniej, obszar dzisiejszej Sahary oraz tereny dzisiejszego stanu Ceara stanowiły jeden wspólny masyw lądowy.

Warto też zaznaczyć, że średnia temperatura lata na Wyżynie Brazylijskiej wynosi 19°C, tj. tyle samo, ile średnia letnia temperatura w Libanie (kraju, który w starożytności był ojczyzną Fenicjan). Jednak w porównaniu do warunków brazylijskich lato libańskie jest bardzo suche. Trwa ono od czerwca do września, a w kraju samby od grudnia do marca. Ten drugi okres to dla większości obszaru dawnej Fenicji pora zimowa. Nie ulega wątpliwości, że posiadanie jakiejś kolonii po drugiej stronie południowego Atlantyku byłoby dla Fenicjan bardzo korzystne również ze względów klimatycznych.

Na podstawie badań terenowych, które przeprowadził na terenie parku narodowego stanu Piaui, prof. Schwennhagen doszedł do wniosku, że istniejące tam obiekty skalne nie są dziełem natury, ale pozostałościami prastarych budowli wykutych ręką ludzką.

Jego zdaniem owe budowle tworzyły ongiś fortecę i siedem miast, osłoniętych od północy linią skał.

Pierwsze (licząc od północy) miasto składa się z dwu równoległych linii skał. Wolną przestrzeń między tymi dwiema liniami zamykają z obu stron zakrzywione kamienie.

Drugie, półtora raza większe od pierwszego, posiada wyraźnie zaznaczoną ulicę główną i krzyżujące się z nią węższe uliczki. W jego wschodniej części skały mają kształt kopulasty. Nie trudno dopatrzeć się w nich podobieństwa do eskimoskich igloo.

W trzecim mieście można wyróżnić trzy różne części. Zamek, wznoszący się na wysokość ponad 22 m, niezwykle przypomina ruiny zamków w Europie. Położona na zachód od niego wielka skała wyraźnie dzieli się na kilka odnóg. Pomiędzy nimi tworzą się w paru miejscach całkiem duże place. Największy z nich Schwennhagen nazwał Salą Wielkiego Zgromadzenia. Do czasu podboju portugalskiego wszystkie plemiona Indian Tupi z Brazylii i Karaibów wybierały tam wspólnego naczelnika. Z kolei trzecia w tym zespole grupa skał służyła tymże Indianom jako świątynia, w której odprawiał obrzędy ich arcykapłan.

Pozostałym czterem miastom Schwennhagen również przypisał cechy świadczące o planowości i celowości umiejscowienia ich dawnych budynków.

Brazylijski geolog Fernando Parents Forts uważa te twiedzenia Schwennhagena niczym nie umotywowane. Jego zdaniem Siedem Miast to wyłącznie wytwór działania wiatru i deszczu na prastare skały piaskowcowe liczące 190 milionów lat, zaś leżąca u ich podnóży, powstała z rozkruszonego piaskowca gleba należy do najstarszych na świecie. Wśród osadów, obecnych między skałami jest również biały piasek pochodzenia nadmorskiego, chociaż do plaży jest stamtąd ponad 100 kilometrów.

Nie powinno być raczej wątpliwości co do tego, że Wyżyna Brazylijska jako jeden z najstarszych geologicznie obszarów świata była też jednym z najwcześniej zamieszkałych. Wskazują na to również rysunki na skałach „siedmiu miast", będące zapewne jakimś rodzajem pisma obrazkowego.

Prof. Schwennhagen utrzymywał, że również późniejsze narody morskie, Rzymianie i Arabowie, odkryły szlak morski do Brazylii, o którym wspomniano wyżej. Jego zdaniem może o tym świadczyć nazwa *Insula Septem Civitatum* (Wyspa Siedmiu Miast), spotykana w dziełach kartografów łacińskich.

Nie zadowalając się przekazami pisanymi austriacki profesor szukał dla swoich odkryć, uważanych w świecie naukowym za nazbyt śmiałe twierdzenie, potwierdzenia również w materiale etnograficznym. Nawiązując do wyżej opisanego ustępu dzieła Diodora, wskazał na istnienie w sąsiadującym z Siedmioma Miastami stanie

Maranhao dwóch miasteczek o tej samej nazwie – Tutoia. Wiadomo, że są to nazwy pochodzenia indiańskiego, a ich początki giną w mrokach przeszłości. Według niego nazwa Tutoia powstała ze zbitki nazw dwóch miast starożytnych: Tur (po fenicku – *Tyr*) i Troja. Jako że tamtejsi Indianie nie wymawiają w swoim języku głoski *r*, przeto Tur-Troja zamieniła się w ich ustach w Tutoię.

A na ile usprawiedliwione wydają się być twierdzenia tego międzywojennego naukowca w odniesieniu do samych obiektów Parku Narodowego Siedmiu Miast? Czy rzeczywiście tamtejsze formy skalne dają aż tak wiele do myślenia?

Droga do wnętrza Parku prowadzi przez tzw. Łuk Triumfalny – zadziwiająco wygładzony otwór w skale. Wspomniana wyżej forteca znajduje się niedaleko za Łukiem. Na obszarze ponad 150 hektarów jest takich osobliwości dużo więcej. Sposób obróbki kamienia w wielu miejscach wykazuje wyraźne podobieństwo do tego, jakim posługiwano się w czasach przedkolumbijskich w takich miastach andyjskich jak Tihuanaco, Cusco, Machu Picchu, a zwłaszcza w twierdzy Sascauaman. Pomnikiem takiego stylu budownictwa jest Skała-Żółw, nazwana tak od swojego kształtu, przypominającego skorupę żółwia. Jest to góra starannie obrobionych z sześciu albo siedmiu stron kamieni, dopasowanych dokładnie jeden do drugiego.

O istnieniu w przeszłości jakichś kontaktów między plemionami czy też wymarłymi cywilizacjami Wyżyny Brazylijskiej a cywilizacją Andów mogą też świadczyć rysunki na Skale Wielbłądziej. Przedstawiają zwierzęta z wyglądu bardzo podobne do lamy. Lama zaś od niepamiętnych czasów jest najważniejszym zwierzęciem pociągowym Andów.

Szczególnie ciekawa jest Skała Napisów, która otrzymała tę nazwę z powodu mnóstwa symbolicznych rysunków, wykonanych na jej graniach, zwykle w kolorze czerwonym i w barwie ochry. Najczęściej powtarzający się motyw to stylizowany szkielet jaszczurki (drabiniasty kształt z „łapkami" na planie krzyża i strzałką kierunkową u dołu), oraz bezgłowe i pozbawione ogonów węże, względnie olbrzymie gąsiennice. W wielu z tych znaków Schwennhagen dopatrzył się podobieństwa do liter alfabetu fenickiego. Ogółem Skała Napisów i inne obiekty Parku zostały przyozdobione około dwoma tysiącami takich rysunków.

Erich von Daniken również odwiedził tę pełną zagadek atrakcję turystyczną. Jeden z rysunków uznał za wyobrażenie maszyny latającej, inny za prymitywny wizerunek astronauty w skafandrze kosmicznym. Daniken stwierdził: „To miejsce było zamieszkane w dwu różnych epokach. Pierwsza była tak pradawna, że nigdy nie będzie można jej odtworzyć, a druga o wiele bliższa naszym czasom, ale jeszcze przedhistoryczna".

Brazylijski specjalista od prehistorii Renato Castelo Branco uważa, że takich epok mogło być więcej. To samo miejsce w różnych czasach zamieszkiwały prawdopodobnie najróżniejsze rasy i narodowości.

Dowodem tego może być leżące obok Skały Napisów łukowate wejście, wycięte w czarnym kamieniu i szczelnie zasłonięte białym kamieniem. Taki styl budownictwa był przyjęty w starożytności na Bliskim Wschodzie.

Archeolodzy brazylijscy przeważnie wolą przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego. Ograniczone fundusze, przeznaczane w tym państwie na badania naukowe, sprawiają, że wolą prowadzić prace wykopaliskowe w miejcach, które dają im większe szanse trafienia na coś naprawdę wartościowego. W wyniku takiego podejścia nikt dotąd nie zbadał, co zawiera ziemia i piasek Siedmiu Miast.

Mimo zupełnego braku bezpośrednich dowodów materialnych pojawiają się dzieła zawierające twierdzenia o wiele dalej idące, aniżeli te przedstawione przez Schwennhagena. W latach osiemdziesiątych trzej Francuzi napisali książkę, która miała wykazać, że starożytni Egipcjanie pochodzili z Brazylii. Jeden ze współautorów – Aleksander Braghine – napisał w tym dziele, zatytułowanym *Cień Atlantydy*: „Fenicjanie w swoich napisach południowoamerykańskich używali tych samych metod, co Egipcjanie w ich pierwszych piktogramach. Te metody były też używane przez Azteków i nieznane ludy, które pozostawiły po sobie napisy na skałach w dorzeczu Amazonii. Mam w ręku dowód na pochodzenie Egipcjan: ich przodkowie wywodzili się z Ameryki Południowej". Jego kolega – Henryk Onfrey de Thoron – uważa z kolei za rostrzygający dowód na rzecz tej tezy pewne podobieństwo, jakiego można się dopatrzyć między staroegipskim a językiem *keczua*, używanym przez Indian w rejonie Andów.

Zagłada Biblioteki Aleksandryjskiej

Biblioteka Aleksandryjska była największym zbiorem ksiąg w starożytności. Liczyła kilkaset tysięcy tomów, zawierając całą bez mała wiedzę ówczesnego świata. Ta nieoceniona, fantastyczna skarbnica wiedzy została bezpowrotnie stracona.

Założenie Biblioteki Aleksandryjskiej przypisuje się Ptolomeuszowi I w III wieku p.n.e., zaś jej całkowite zniszczenie Arabom w 642 r. n.e. Samo miasto, czyli Aleksandria, w którym znajdowała się biblioteka, leży po dziś dzień w delcie Nilu nad Morzem Śródziemnym – zbudowane zostało przez Aleksandra Wielkiego zimą na przełomie lat 331–330 p.n.e. i było prawdopodobnie pierwszym miastem na świecie zbudowanym w całości z kamienia bez użycia drewna w jakiejkolwiek postaci.

Biblioteka składała się z dziesięciu wielkich sal oraz odizolowanych pomieszczeń dla uczonych. Dokładna data jej powstania jest wciąż dyskusyjna, choć wydaje się, że prawdziwym jej fundatorem i organizatorem był człowiek znany pod imieniem Demetriosa Falerońskiego. Demetrios Faleroński, urodzony między 354 i 348 rokiem p.n.e., był obywatelem Aten zamieszkiwanych wówczas przez dziewięćdziesiąt tysięcy obywateli, czterdzieści pięć tysięcy cudzoziemców i czterysta tysięcy niewolników. W 324 roku pojawił się jako publiczny mówca, w 317 został wybrany zarządcą miasta i rządził nim od 317 do 307 roku. Ustanowił wiele nowych praw, w tym jedno dotyczące likwidacji luksusu podczas pogrzebów. Był wyróżniająca się postacią swoich czasów i najprawdopodobniej znał osobiście Arystotelesa. Przedstawiany jest przez historię jako *arbiter elegantiarum*: był pierwszym Ateńczykiem farbującym sobie włosy na blond za pomocą wody utlenionej!

Po wygnaniu z Aten schronił się w Tebach. Napisał tam wiele prac, z których jedna o dziwnym tytule: *W sprawie wiązki światła niebieskiego* może być uznana za pierwsze dzieło traktujące o latających spodkach.

W roku 297 p.n.e. król Ptolomeusz namówił go do zamieszkania w Aleksandrii, gdzie Demetrios stworzył słynną później na cały świat bibliotekę. Zgromadził w niej na początek kilkaset tysięcy ksiąg, a później dokupował nowe. Zakupy ksiąg finansowane były z kasy królewskiej. Zbiory biblioteczne były potem systematycznie powiększane przez kolejnych bibliotekarzy, gromadzących pergaminy, zwoje papirusów, grawiury, a nawet księgi drukowane, jeśli wierzyć pewnym przekazom. Biblioteka zawierać więc musiała dokumenty nieocenionej wartości.

Ptolomeusz I umarł w roku 283 p.n.e., zaś jego syn, Ptolomeusz II, wygnał Demetriosa do Buziris w Egipcie, gdzie zmarł on od ukąszenia jadowitego węża. Demetrios był sławny w Egipcie jako mecenas nauki i sztuki działający w imieniu Ptolomeusza I. Jednakże Ptolomeusz II także interesował się biblioteką i różnymi dziedzinami nauki, szczególnie zoologią, tak więc nie dziwi, że po wypędzeniu Demetriosa mianował nowego zarządcę biblioteki. Został nim urodzony w 327 roku p.n.e. Zenodot z Efezu.

Dzięki zachowanym źródłom pisanym można odtworzyć prawdopodobną listę zarządców Bibliotki Aleksandryjskiej aż do roku 131 p.n.e. (późniejsze informacje są skąpe i niejasne). Zarządzającymi byli kolejno:

Demetrios Faleroński (do 282 roku p.n.e.),
Zenodot z Efezu (282 – około 260),
Kallimach z Kyreny (około 260 – 240),

Apollonios z Rodos (240 – 230),
Eratostenes z Kyreny (230 – 195),
Arystofanes z Bizancjum (195 – 180),
Apollonios Ejdograf (180 – około 160),
Arystarch z Samotraki (około 160 – 131).

Co znajdowało się w tej najsłynniejszej ze wszystkich bibliotek?

Wiadomo, że istniał w bibliotece dział nauk matematycznych, nauk przyrodniczych oraz katalog ogólny. Były tam księgi w języku hebrajskim, perskim, etiopskim, indyjskim i greckim. Były prace fenickiego historyka, Mochusa, któremu przypisuje się wymyślenie teorii atomu. Znajdowały się tam również nadzwyczaj rzadkie i cenne rękopisy indyjskie. W Bibliotece Aleksandryjskiej przechowywana była także całość prac Menethona, współczesnego Ptolomeuszowi I i II kapłana i historyka egipskiego, znającego jak nikt tajemnice Egiptu. Jego imię można interpretować jako „ulubieniec Tota" albo „strażnik praw Tota".

Wśród owych rękopisów znajdowały się też pewne nader zagadkowo przedstawiające się księgi, jak choćby prace babilońskiego kapłana Berososa, w których pisał on o tajemniczych Apkallusach – rybopodobnych, ubranych w skafandry istotach, dzięki którym miała powstać ludzka cywilizacja. Niestety, *Historia świata* Berososa, opisująca te, jak można podejrzewać, pierwsze kontakty ludzi z istotami pozaziemskimi, zaginęła. Pozostało zaledwie kilka fragmentów.

Berosos żył w latach 356-261 w czasach Aleksandra Wielkiego aż po panowanie Ptolomeusza I. Był kapłanem boga Bel-Marduka w Babilonie, historykiem, astrologiem i astronomem. Wynalazł półkolisty zegar słoneczny. Stworzył teorię o konfliktach między promieniami słonecznymi i księżycowymi. Był człowiekiem wiedzącym wszystko o Egipcie, czytał hieroglify, miał kontakt z ostatnimi egipskimi kapłanami. Sam napisał osiem ksiąg i zgromadził w Aleksandrii czterdzieści starannie dobranych zwojów pergaminu, zawierających sekrety

Egiptu, a także prawdopodobnie był w posiadaniu tajemniczej *Księgi Tota* (zob.: *Bez wyjaśnienia. Kolekcja największych zagadek i tajemnic* pod red. Phillipa Morrisa, Pandora Books 1993). Dawna legenda mówi też, że jego córką była słynna wieszczka Sybilla.

Tak przedstawia się w największym skrócie i uproszczeniu katalog niepowetowanych strat, jakie poniosła ludzka kultura na skutek utraty zbiorów Biblioteki Aleksandryjskiej, liczących, jak się podaje, od pięciuset do siedmiuset tysięcy pozycji.

Zaczęło się od Juliusza Cezara w 47 roku p.n.e. Wiadomo, że jeden z bibliotekarzy ostro sprzeciwiał się tej grabieży zbiorów, ale historia nie zachowała jego imienia (w momencie przybycia Cezara do Aleksandrii księgozbiór liczył około siedmiuset tysięcy woluminów). Cezar zrabował pewną liczbę książek, z których część miał spalić, a resztę wywiózł, jednakże między historykami brak jest zgody co do tego epizodu.

Jedni twierdzą, że Cezar nie spalił żadnych książek; co najwyżej jakieś książki mogły spłonąć w magazynie portowym od podłożonego, oczywiście nie przez Rzymian, ognia. Inni sądzą, że ogromna ilość ksiąg została wtedy zniszczona rozmyślnie. Jak było – nie wiadomo. Mogło się zdarzyć, że płomienie z terenu walki, dosięgnęły biblioteki i ta została zniszczona przypadkowo. Zarówno przeciwnicy, jak i obrońcy Cezara nie przedstawiają przekonujących argumentów, współcześni tamtym wydarzeniom milczą, zaś najwcześniejsze prace mówiące o owych wypadkach pojawiły się dopiero po dwóch wiekach. Sam Cezar nie mówi w swych dziełach ani słowa na ten temat. Jak się tylko powiada, „przeniósł" on do Rzymu pewne księgi, które wydawały mu się szczególnie interesujące.

Większość specjalistów od historii Egiptu sądzi, że budynek biblioteki musiał mieć wielkie rozmiary, ponieważ mieścił w sobie siedemset tysięcy woluminów, wiele sal do pracy oraz inne wydzielone pomieszczenia i że tak wielka budowla znajdująca się jedynie na granicy ognia nie mogła ulec kompletnemu zniszczeniu. Możliwe, że pożar strawił jedynie zapasy zboża oraz zwoje niezapisanego papirusu. Brak pewności, czy zagroził on dużej części samej biblioteki, pewne natomiast jest, że nie unicestwił jej całkowicie. Tak czy inaczej biblioteka poniosła straty szacowane na czterdzieści do siedemdziesięciu tysięcy tomów, chociaż z drugiej strony można powiedzieć, że Cezar ocalił dla potomności cząstkę zbiorów, gdyż proces zagłady Biblioteki Aleksandryjskiej dopiero się zaczynał.

Następna, poważna ofensywa przeciw bibliotece została podjęta przez cesarzową Zenobię. I tym razem zniszczenie nie było całkowite, ale kolejne bezcenne księgi zniknęły.

Znane są powody następnej ofensywy podjętej później przez cesarza Dioklecjana (284–305 n.e.). Pragnął on zniszczyć wszystkie księgi zawierające tajemnice produkcji złota i srebra. Słowem, wszystkie podręczniki alchemii. Przypuszczał bowiem, że jeśliby Egipcjanie mogli wytwarzać dowolną ilość złota i srebra, mieliby środki na wystawienie armii zdolnej do pokonania imperium rzymskiego. Dioklecjan, sam syn niewolnika, został obwołany cesarzem 17 września 284 roku. Był, jak się wydaje, urodzonym prześladowcą i ostatni dekret, jaki podpisał przed abdykacją, 1 maja 305 roku, nakazywał zniszczenie chrześcijaństwa. W Egipcie Dioklecjan napotkał zażarty opór i w lipcu 295 roku rozpoczął oblężenie Aleksandrii. Zdobył miasto i stało się to okazją do nieprawdopodobnej masakry. Jednakże, jak podaje legenda, koń Dioklecjana wchodząc do zdobytego miasta potknął się, a cesarz zinterpretował ten wypadek jako znak bogów, nakazujących mu oszczędzić miasto.

Następstwem zdobycia miasta były systematyczne przeszukiwania mające na celu zgromadzenie manuskryptów traktujących o alchemii. Wszystkie znalezione księgi były zniszczone. Jak się wydaje, znajdowały się w nich niezwykle ważne wskazówki, których brakuje dziś do zrozumienia tej nauki – poprzedniczki dzisiejszej chemii. Nie istnieje oczywiście żadna lista zniszczonych wtedy manuskryptów, ale legenda głosi, że niektóre z nich były autorstwa Pitagorasa, Salomona lub samego Hermesa, co przyjmować to należy z pewną nieufnością. Tak czy owak, klucze do zrozumienia alchemii zostały stracone, czego niektórzy nie mogą odżałować po dzień dzisiejszy spodziewając się po wiedzy alchemicznej jakichś nadzwyczajnych rewelacji.

Biblioteka jednak istniała nadal mimo wszystkich zniszczeń i prowadziła dalej swoje dzieło aż do chwili, kiedy to Arabowie unicestwili ją kompletnie w 642 r. n.e. Niszcząc ją wiedzieli dobrze, co robią. Już wcześniej zniszczyli – na przykład w Persji – wielką ilość tajemnych ksiąg traktujących o alchemii, magii i astrologii. Ich hasło brzmiało: „nie potrzeba innych ksiąg poza Księgą", to znaczy Koranem.

Muzułmański historyk Abd al-Latif (1160–1231) pisał: „Biblioteka w Aleksandrii została strawiona przez ogień podłożony przez Amribn-el-Asa, wykonującego rozkazy Omara Zwycięzcy". Ten sam Omar zresztą przeciwstawiał się pisaniu książek muzułmańskich zgodnie z tą samą zasadą, że „Księga Boga nam wystaczy". Był on świeżo nawróconym muzułmaninem, znacznie bardziej fanatycznym od innych, nienawidził książek i niszczył je wielokrotnie, ponieważ nie odwoływały się do nauki Proroka.

W 1692 roku francuski konsul Maillet został akredytowany w Kairze. Sygnalizował, że Aleksandria jest miastem praktycznie wyludnionym i opustoszałym. Nielicznymi mieszkańcami byli głównie rabusie gnieżdżący się w jakichś norach. Ruiny budynków były opuszczone. Jeśli więc jakieś księgi ocalały z pożaru, to najprawdopodobniej w tym czasie nie było ich już w Aleksandrii, lecz zostały z niej wywiezione.

Niektórzy czytelnicy z pewnością .zastanawiają się, czy ocalałe z wielokrotnie niszczonej i plądrowanej Aleksandrii manuskrypty nie znalazły przypadkiem schronienia w tajemnych piwnicach pod piramidami. Czy najświeższej daty odkrycie z kwietnia 1993 r. nieznanego dotychczas korytarzyka w Piramidzie Cheopsa rzuci jakieś światło na interesującą nas sprawę? Zobaczymy.

„Biblioteka Andów" oszustwem

Co jakiś czas sensacyjne książki dostarczają archeologicznych „dowodów" na to, że nasi legendarni przodkowie na długo przed nami znali rzeczy, jakie dopiero zaczynają odkrywać dzisiejsi uczeni. Jak dotąd, zawsze okazywało się to oszustwem, przeważnie dość prymitywnym. Taki los spotkał także słynne kamienie z Ica.

Chodzi o głoszone w książkach i czapismach rewelcje na temat odkrycia w Peru, w rejonie Ica, kolekcji kamieni z wygrawerowanymi fantastycznymi ornamentami przedstawiającymi „prehistoryczne zwierzęta, ludzi walczących z przedpotowymi potworami, mapy zaginionych kontynentów, niesłychane operacje chirurgiczne". Artykuły stanowiły prezentację książki Roberta Charroux *L'Enigme des Andes* (*Zagadka Andów*), która opowiada o odkryciu pewnego miejsca, gdzie przybył na zaproszenie jego odkrywcy, doktora Cabrery. Od 1961 roku Cabrera kolekcjonuje kamienie znalezione w tym rejonie i posiada ich aktualnie wiele tysięcy; niektóre mają rysunek spokojny, osób lub zwierząt, inne natomiast przedstawiają obrazy jakby żywcem wyjęte z filmów science-fiction.

Oceńmy sami: można skompletować pełną listę dinozaurów z ery mezozoicznej i to pomieszanych ze sobą, np. brachiozaura i pteranodona, które faktycznie dzieli trzydzieści milionów lat! Jest sprawą oczywistą, że to nie same dinozaury zaprezentowały się na kamieniach, zrobili to ich „współcześni", mieszkańcy Ica. Jeszcze jedna liczba wydaje się nam niepokojąca: otóż od końca ery kredowej, kiedy to ostatecznie wyginęły ostatnie dinozaury, dzieli nas jakieś siedemdziesiąt milionów lat, natomiast najstarsze szczątki z gatunku sapiens nie sięgają dalej w przeszłość niż 40 milionów lat. Czyżby fauna mezozoiczna przetrwała w Ameryce Południowej aż do czasów populacji z Ica? Byłoby nieprzyzwoitością upieranie się przy tak absurdalnej tezie.

Zgodnie z nią należałoby przyjąć, że istnieli ludzie współcześni wielkim gadom ery mezozoicznej, lub też, że na bardzo ograniczonym obszarze południowego Peru, w pobliżu miasteczka Ocucaje zachowała się populacja dinozaurów. Mamy bowiem obrazy scen heroicznego polowania, ukazujących nieustraszonych rywali Nemroda polujących na diplodoka, uzbrojonych jedynie w siekierki i noże. Zajęcia myśliwskie i prawdopodobnie kulinarne nie przeszkadzały ludziom z Ica w rozwijaniu awangardowych dziedzin wiedzy. Potrafili, jak się okazuje, dokonywać przeszczepu serca, a nawet przeszczepu mózgu równie łatwo, jak my wymieniamy świece zapłonowe w samochodzie. Że też nie pomyśleli, żeby wynaleźć strzelbę myśliwską do walki z potworami żyjącymi wokół nich! I jak to się stało, że ograniczyli się tylko do niezręcznego grawerowania na okrągłych kamykach futurystycznych scen ze swego życia codziennego?

A oto historia odkrycia tego cudownego miejsca.

W 1952 roku francuskiemu archeologowi, Henri Reichlenowi, odbywającemu podróż poszukiwawczą po Peru, pewien *huaquero* (tym mianem określa się nielegalnych poszukiwaczy, licznych w tym kraju i służących równocześnie jako dostawcy handlarzy starociami i jako przewodnicy archeologów) zaproponował kupno okrągłych kamieni. Kamyki miały pochodzić z pewnego miejsca w prowincji Ica na południu kraju. Henri Reichlen zlokalizował miejsce znaleziska. Była nim wyschnięta dolina rzeki Ica, sezonowego strumienia, w pobliżu hacjendy Ocucaje i miasteczka zamieszkałego przez pracujących w nim *huaqueros*. Ponieważ zajęcia zawiodły go w inne miejsca, dopiero dwanaście lat później, w 1964 roku, wrócił w ten rejon wraz z misją archeologiczną CNRS (Francuskiego Ośrodka Badań Naukowych). Ciekawość miejsca rozbudzili w nim przyjaciele z Limy, sygnalizujący pojawienie się w obiegu wielu falsyfikatów pochodzących z Ocucaje, nabywanych przez antykwariuszy lub turystów.

W ciągu dwóch lat miał wiele okazji zwiedzania miejsc wykopalisk archeologicznych i rozpoznał w Ica nekropolię należącą do kultury Paracas, sięgającą początku naszej ery.

Starożytni mieszkańcy doliny kopali dla swych zmarłych groby w twardym piasku, czasem podstemplowywane drewnem i przykrywane pniami oraz ziemią. Zdarzało się, że piasek, przenikając przez to przykrycie, wypełniał całkowicie jamę i pozwalał uniknąć zawalenia się grobu. Takie groby przetrwały aż do naszych czasów wraz z całym nietkniętym wyposażeniem, głównie ceramiką, pozwalającą na ich datowanie.

Wśród przedmiotów złożonych przy ciałach w grobowcach z Ocucaje znajdowano okrągłe kamyki, pochodzące z koryta rzeki Ica, pokryte prostym ornamentem na ogół związanym z życiem codziennym człowieka. Wybór takiego materiału do grawerowania daje się łatwo wytłumaczyć podobieństwem. kształtu kamyka-otoczaka do jajka, a więc do pierwotnej formy człowieka i każdej żyjącej istoty; formy, jaką często nadawano zwłokom grzebanym w pozycji płodowej.

Nekropolię odkryli oczywiście mieszkańcy regionu, organizując nielegalną sprzedaż starożytności. Jest to przestępstwo, które wypada traktować z pobłażliwością, biorąc pod uwagę biedę wynikającą z pustynnego charakteru okolicy. Jednak obawy przed odpowiedzialnością karną, a także być może, wysychanie źródła dostaw, doprowadziły handlarzy starociami z regionu Ica do przekształcenia się w handlarzy falsyfikatami, co jest działalnością nie podlegającą odpowiedzialności karnej. Tak więc, od piętnastu lat produkuje się w okolicy fałszywe wygrawerowane kamyki, których cena zmienia się w zależności od rozmiaru i rodzaju motywu.

Pierwsze kamienie istotnie były kopiami prawdziwych, ale kiedy prostota rysunku zmniejszyła zainteresowanie kupujących, rytownicy postanowili rozszerzyć i wzbogacić repertuar scen, tak by mogły służyć maniakom archeologii do konstruowania tak oczekiwanych dowodów na istnienie pradawnej cywilizacji, co całkowicie obalałoby teorię ewolucji Darwina. Na tym poziomie oszustwa nie mogło być już mowy o skromnej pracy Indian z Ocucaje.

Najpłodniejsi z twórców są absolwentami Szkoły Sztuk Pięknych w Limie, mieszkają w miasteczku Ica i pracują na nowych kamieniach zbieranych w potoku. Kilka autentycznych kamieni z badanym ornamentem, służy im za przybliżony wzór do naśladowania grawerki i strojów. Oprzyrządowanie jest różne: od rylca do dłuta po, jak w przypadku jednego z twórców, wiertło dentystyczne. Wykończone kamienie, czasami spatynowane przez nacieranie tłuszczem, są przekazywane *huaqueros*, którzy je magazynują w kącie domostwa, czasem zakopują w ziemi, w oczekiwaniu na klienta, któremu zostaną pokazane z odpowiednią, by go przekonać, dozą tajemniczości. Dostarcza się je także, co zrozumiałe, Cabrerze dla uzupełnienia jego kolekcji. Z gorliwości wygrawerowno nawet duże kamienie, pozostawiając je na miejscu, co miało stworzyć klimat autentyzmu.

W Laboratorium. Geologicznym ICAL oraz Laboratorium Genetyki i Wydziału Nauk Ścisłych z Orsey poddano analizom wiele wygrawerowanych kamyków.

Zarówno kamienie starożytne, jak i te produkcji współczesnej, były zbierane, jak już sygnalizowaliśmy, w korycie rzeki Ica. Są one zbudowane z drobnoziarnistego piaskowca zabarwionego miką, ze znacznym udziałem tlenku żelaza. Kamyki rzeźbione na początku naszej ery pokryły się jednolitą patyną powierzchniową; zjawisko erozji zatrzymało się w nich w chwili wydobycia ze strumienia. Zarówno powierzchnie grawerowane, jak i nietknięte rylcem, podlegały takiemu samemu procesowi starzenia się: nabrały wyrazistej rdzawej barwy z połyskiem spowodowanym przez koncentrację tlenków metali na zewnętrznej stronie kamienia, na której utworzyły rodzaj powłoki.

Z drugiej strony, zróżnicowane starzenie się składników piaskowca wywołało tworzenie się niewielkich wgłębień rozmieszczonych, podobnie jak patyna równomiernie na całej powierzchni.

Na kamieniach współczesnych te ślady starzenia się są niewykrywalne gołym okiem, a ich brak potwierdzają analizy. Kamień ma barwę matowopiaskową, a materia zachowała gładką powierzchnię świadczącą o niedawnej jeszcze erozji rzecznej. Cząsteczki metali pozostały równomiernie rozmieszczone w całej bryle, a bardzo niedawno zatrzymana erozja sprawiła, że na powierzchni kamienia nie obserwujemy żadnych oznak utleniania.

By zaradzić zbyt świeżemu wyglądowi, niektórzy fałszerze poprawiają im urodę poprzez wcieranie substancji koloryzujących i impregnujących, takich jak wosk lub tłuszcz. Te kamuflaże, aczkolwiek wykrywalne w laboratorium, mogą zwieść ludzi niedoświadczonych.

Wykrycie fałszywej patyny ułatwia fakt, że na ogół chodzi o substancje organiczne ujawniane przy pomocy produktów nieagresywnych w stosunku do minerałów znajdujących się w podłożu. Wystarczy więc to sprawdzić, używając pospolitych rozpuszczalników, takich jak eter, benzyna, aceton czy 95-procentowy alkohol. Wykrywacze kolorowe, normalnie stosowane do tlenków metali, na substancje organiczne nie działają.

Ma to miejsce tylko w przypadku obecności rodnika NH_2 (azot plus wodór), normalnie bezbarwnego, lecz przechodzącego we fiolet w obecności ninhydryny. Tego właśnie testu używa się jako ostatecznie rozstrzygającego.

Kiedy sztuczna patyna opiera się próbom dokonywanym za pomocą pomocy odczynników barwionych i rozpuszczalników, można spróbować użyć sody kaustycznej, która pozwoli stwierdzić, czy użyto wosku.

Inne jeszcze kamienie z Ica, a wśród nich liczne eksponaty z kolekcji Cabrery, zostały zebrane poza strefą ostatnio nawiedzaną wodami strumienia i posiadają w związku z tym autentyczną rdzawo-błyszczącą patynę. Na tym podłożu rysunek został wyryty głównie za pomocą nacięć odznaczających się tą niedogodnością, że są wyraźnie widoczne na powierzchni nie grawerowanej.

Dzięki obserwacji mikroskopowej i porównaniom z technikami stosowanymi w epoce Paracas udało się zidentyfikować technikę grawerowania używaną w starożytności do zdobienia kamieni z Ocucaje. Najpierw zaznaczono wybrany wzór linią lekkiego nacięcia wykonanego przy pomocy obsydianowego rylca (niektóre kamyki nie wykończone mają część rysunku tylko zaznaczoną). Następnie uwydatniano kształt za pomocą następujących po sobie uderzeń. Potem artysta odrywał cieniutką warstewkę kamienia dookoła rysunku techniką stosowaną przy wyklepywaniu przedmiotów metalowych. Wzór otrzymywał więc pewnego rodzaju relief.

Badanie optyczne przy pomocy mikroskopu binokularowego pokazuje, że na kamieniach współczesnych bruzda motywu ma wyraźną linię cięcia. Dno nacięcia, doskonale gładkie, zdradza ślad stalowego nacinaka, użytego do jego wyżłobienia. Natomiast powierzchnia zdjęta dookoła postaci nosi bardzo wyraźne ślady uderzeń dłutem, uwydatniające wzór. Wreszcie, jak wyżej sygnalizowaliśmy, nie sposób w nich wykryć żadnych cech naturalnego starzenia się.

Zostawmy teraz te laboratoryjne argumenty, by przypomnieć, że sama archeologia prekolumbijska, nie mówiąc o paleontologii, jest wystarczająco bogata, by móc wymieść ubóstwo tej żałosnej biblioteki Andów, wymyślonej w XX wieku, wykorzystującej jako wzór prawdziwe wykopaliska.

Najstarsze ślady znanej cywilizacji w Ameryce Południowej, określone pojawieniem się ceramiki, lokalizują się w pobliżu roku 2000 p.n.e. i jest to epoka zwana Purron. To samo zjawisko wcześniej wystąpiło w Ameryce Środkowej i na wybrzeżach kolumbijskich. W czasie następnej fazy, do roku 1500 do 900 p.n.e., zwanej Ajalpan, sztuka garncarska rozwija się i rozupowszechnia; obserwujemy pojawienie się naczyń kulistych i ozdób antropomorficznych, podczas gdy wspólnoty osiadłe grupują się w osadach liczących od dwustu do trzystu mieszkańców zamieszkujących gliniane domostwa.

Urbanistyka pojawiła się w czasie I tysiąclecia w Chavin de Huantar. Kultura Paracas (ta z Ica) odpowiada czasom romańskim w Europie; po niej następowały epoka Nazca i Mochica. Potem pojawiły się bliższe nam kultury z Tiahuanaco (których większość architektonicznych realizacji powstaje między VIII i XII wiekiem), Chimu i efemeryczne imperium Inca, jedyna polityczna jednostka prekolumbijska na kontynencie południowoamerykańskim.

Ludy te nie znając technik rozpowszechnionych w innych miejscach na kuli ziemskiej, takich jak metalurgia żelaza czy koło, były w posiadaniu, czasami bardzo zaawansowanej, wiedzy w innych dziedzinach. W przeciwieństwie jednak do tego, co się gdzieniegdzie pisze, nigdy w tej części świata nie stosowano metalurgii platyny. Czasami można znaleźć na niewielkich posążkach ze złotej blachy niewielkie elementy z platyny (Muzeum Człowieka jest w posiadaniu jednej figurki, której jedno oko jest z platynowej płytki, a drugie z twardego kamienia). Metal ten nie został wytopiony z rudy (platyna topi się w temperaturze 1775^{o}C), a zebrany w postaci małych kropelek znalezionych w piasku złotonośnym w Północnym Ekwadorze i w Kolumbii (tu właśnie Europejczycy odkryli ten metal w 1735 roku). Te drobne fragmenty były kute na gorąco w celu uzyskania formy płytki. Czasem zdarzała się roztarta platyna w złotym proszku i tę mieszaninę wykuwano aż do otrzymania płatka metalu przypominającego srebro. Pracę tę wykonywano po to, by naśladować peruwiańskie wyroby ze srebra, metalu nieznanego w Ekwadorze i uważanego za cenniejszy.

Peruwiańska medycyna starożytna była tą dyscypliną, którą Indianie potrafili rozwinąć i stosować z dokładnością i skutecznością w pełni porównywalnymi z tym, co potrafił świat grecki. Trepanacje czaszki, jedyne obok amputacji zabiegi chirurgiczne pozostawiające ślady na szkieletach, były często wykonywane z pozytywnym rezultatem, jak o tym. świadczą specyficzne objawy, charakterystyczne dla wyłomów kostnych. W czasie perforacji kości czaszki odsłonięte zostają komórki diploidyczne i odkryte pozostają w przypadku śmierci pacjenta, albo jeśli trepanacji dokonywano post mortem; natomiast w przypadku wyzdrowienia następuje wypełnienie się tych komórek masą kostną, a w miejscu zabliźnienia formuje się wałeczek kostny. Na poparcie tego archeologia dysponuje mumiami po trepanacji (mumia Utcubamby w Muzeum Człowieka) i płytkami złota lub srebra używanymi do zasłaniania otworu trepanacyjnego. Znane są również instrumenty chirurgiczne wykonane z champi, stopu złota, srebra i miedzi, a także substancje roślinne stosowane jako środki usypiające i przeciwbólowe.

Łatwo zauważyć, że prekolumbijska archeologia dostarcza wystarczającej ilości zadziwiających rzeczy, a rzeczywistość przynosi ich potwierdzenie, np. donosząc o odkryciu w Peru nowego Machu Pichu. Dla zaspokojenia ludzkiej ciekawości i pasji poszukiwawczych nie trzeba więc odwoływać się do jarmarcznych cudów, jakimi okazuje się historia kamieni z Ica.

Część piąta

Tajemnicze istoty

Postrach Flatwoods

Ktokolwiek go spotkał wpadał w przerażenie. Osoby, które podejmowały się go wytropić szybko przekonywały się, że on naprawdę istnieje. Pozostaje jednakże głęboką tajemnicą, czym był i skąd przybył – postrach Flatwoods.

Był ciepły wrześniowy wieczór 1952 roku. Zaczynało się już ściemniać, gdy piątka dzieciaków przerwała zabawę dla zaobserwowania zjawiska, które powstało nad ich głowami. Iskrzący promieniście przedmiot w kształcie krążka wyraźnie widoczny był na niebie ponad górami. Przez moment kołysał się, następnie powoli ruszył naprzód i zaczął opadać w okolicy jednego ze szczytów, by w końcu osiąść pośród drzew.

Czymkolwiek był tajemniczy przedmiot, pod żadnym względem nie kojarzył się chłopcom z samolotami, jakie wcześniej zdarzyło im się widzieć. Świadomi, że incydent miał z pewnością charakter nadzwyczajny, chłopcy rozpierzchli się do swych domów, by podzielić się nowiną z najbliższymi.

Trzynastolatek Eddie May z młodszym o rok bratem Fredem pobiegli do domu, gdzie zastali matkę – właścicielkę salonu kosmetycznego w maleńkim, bo liczącym zaledwie 300 mieszkańców, miasteczku Zachodniej Wirginii.

Rozgorączkowani, opisali matce coś, co wyglądało jak samolot albo latający talerz, a wylądowało na wzniesieniu nieopodal miasteczka.

Pani May odniosła się do opowieści i z niedowierzaniem. Sceptycyzm musiał jednak ustąpić, kiedy wyszła na dwór, by przekonać się na własne oczy, że oto w oddali, jakieś kilkaset metrów od ich domu, w okolicy szczytu, majaczyło pulsujące czerwone światło. Także i na ziemi znajdowało się coś, o czym wspom niały dzieci. Cóż to mogło być? Pani May pospiesznie posłała chłopców do najbliższego w sąsiedztwie domu, gdzie mieszkał Gene Lemon – siedemnastoletni członek Gwardii Narodowej.

Wziąwszy jedynie latarkę, Lemon poprowadził grupę na wzgórze. Poza panią May i jej dwoma synami w grupie znalazł się jeszcze czternastolatek Neil Nunley i dwóch dziesięciolatków – Ronnie Shaver i Tommy Hyer. Oni także widzieli wcześniej ów dziwny przedmiot.

Zdarzenie, które mieli niebawem przeżyć, sprawiło, że malutka mieścina Flatwoods trafiła na pierwsze strony gazet całego świata.

Lemon i Nunley wyprzedzili grupę o około sto pięćdziesiąt metrów wspinając się porosłym krzewami stokiem. Delikatna mgiełka snuła się wolno ku zbliżającym się chłopcom. Wkrótce ostry odór podrażnił ich nozdrza. U samego szczytu, gdzie odór dał się najsilniej we znaki, dostrzegli lśniący czerwienią przedmiot, który miarowo pulsował… Przypominał on dogasające węgielki. Zapominając przez chwilę o spowijającym ich przykrym zapachu, Lemon i Nunley podeszli do miejsca, z którego można było wyraźniej przyjrzeć się czerwonej masie. Liczyła mniej więcej osiem metrów średnicy i miała około dwóch metrów wysokości.

Podejść czy nie? Lemon i Nunley zatrzymali się z wahaniem. Pani May i reszta chłopców dołączyli do prowadzących.

Uwaga całej grupy koncentrowała się całkowicie na błyszczącyn przedmiocie spoczywającym na ziemi około dwadzieścia metrów dalej. Do tego momentu, nikt nie zauważył czegoś, co leżało wśród krzaków niespełna sześć metrów na prawo od zbitej gromadki.

Towarzyszący grupie przyjaciół pies warknął i zjeżył sierść. Dzieciaki rzuciły się ku niemu. Gene Lemon błysnął światłem latarki w kierunku krzaków. Pani May wydała przenikliwy krzyk. Cokolwiek można by powiedzieć o ich odkryciu, to fakt, że było to coś żywego i potężnego. Latarka oświetliła głowę i ramiona stworzenia, które musiało liczyć około trzy metry wzrostu. Miało jakiś dziwny hełm na głowie, która wyłaniała się z szafirowo-zielonego, czy raczej zielonkawo-szarego korpusu. W świetle latarki cielsko wyglądało jakby galaretowato.

Najbardziej niesamowite wrażenie sprawiała twarz stwora – okrągła i krwistoczerwona z parą zielono-pomarańczowych oczu, które fosforyzowały w świetle latarki przypominając oczy niektórych gatunków ryb albo dzikich zwierząt. Tyle tylko, że owo coś nie było ani rybą, ani dzikim zwierzęciem.

Stworzenie poruszyło się. Dolne partie cielska zasłonięte były dotychczas krzakami i zielskiem: wszyscy jednak zorientowali się, że stwór nie chodził, a raczej pełzał na czymś co mogło być stopami, o ile w ogóle je miał.

Rozległ się świst. Wraz z nim potworny odór panujący dokoła wzmógł się przyprawiając o mdłości.

Pies Lemona rzucił się do ucieczki. Upadła latarka. Owładnięta paniką cała siódemka popędziła na łeb na szyję w dół zbocza. Kiedy już oddalili się od miejsca niesamowitego przeżycia, zadzwonili do szeryfa z Sutton w Zachodniej Wirginii, których jednak nie zastali na służbie. Zarówno szeryf jak i jego zastępca opuścili właśnie posterunek na wiadomość, że gdzieś w okolicy rozbił się samolot. Możliwe, że chodziło o ten sam obiekt, który widziano nad Flatwoods.

Niespełna trzydzieści minut zajęło Lee Stewartowi, wydawcy gazety w Braxton, dotarcie do Flatwoods na wiadomość o wydarzeniu w miasteczku. Panią May zastał w ataku histerii, zaś chłopców – w stanie szoku.

Gene Lemon raz jeszcze poprowadził grupę w pełnym rynsztunku na szczyt wzgórza. Przedziwny mdlący odór utrzymywał się jeszcze. Jednak nie było już ani potwora, ani pulsującego czerwienia obiektu.

Tajemnicza istota zniknęła jednak nie bez śladu. Ekipa poszukiwawcza odkryła w miejscu, gdzie stało przedziwne stworzenie niewytłumaczalne ślady przypominające ślizg. Mogło to być jedynym realnym potwierdzeniem obecności potwora w okolicy Flatwoods.

Szkockie konie wodne

Potwór z Loch Ness nie jest czymś wyjątkowym. Zwierzęta zamieszkujące to jezioro budzą wprawdzie największe zainteresowanie prasy, ale relacje o podobnych bestiach nadchodzą także znad innych jezior zachodniej części szkockich gór. Ponieważ jednak tamte akweny są trudno dostępne, napływa stamtąd mniej sprawozdań naocznych świadków. Poszarzałe, dalekie przestrzenie tych wód obserwują tylko miejscowi farmerzy, a ci bardzo rzadko dzielą się z kimkolwiek swymi wrażeniami. Kiedy zaś decydują się mówić, ich opowieści odbierane są przeważnie nie jako relacje o autentycznych zwierzętach, lecz jako baśnie ludowe o dziwacznych stworach, takich jak wodnik Kelpie czy koń wodny.

Jest to kwestia nastawienia. Posuwając się w głąb szkockich gór, wchodzimy stopniowo w świat coraz bardziej archaiczny (tak było przynajmniej do niedawna, zanim era telewizji wszystko zmieniła). Wkraczamy do krainy leżącej o krok od naszego zurbanizowanego świata, w której granice postrzeganej przez nas rzeczywistości nie zawsze są wyraźne. Poeta z Orkadów, Edvin Muir, pisał o tych wyspach jako o „obszarze, w którym zatarły się granice między otaczającą nas rzeczywistością a bajkową fantazją, gdzie realne życie przeistoczyło się w legendę".

Podobnie jak we wszystkich przedpiśmiennych społeczeństwach, także i w szkockich górach cała kulturowa tradycja przetrwała dzięki ustnym przekazom. Na tamtejszych gawędziarzach ciążył obowiązek wiernego trzymania się treści legend, a każdy z nich mógł ich opowiadać setki. Jeśli nawet życie przeistaczało się w baśń, to ta ostatnia trwała przez wieki w ludzkiej pamięci i niejednokrotnie tkwiła korzeniami w twardym podłożu rzeczywistych zdarzeń.

Opowieści o potworach znajdujemy w niektórych wczesnych opracowaniach histrorii Szkocji. W jednym z nich, wydanym w 1527 roku, Hector Boece wspomina sir Duncana Campbella, który opowiedział mu, że:

„Z jeziora Garloch, w paśmie górskim Argyle, wyszła na brzeg straszliwa bestia wielkości charta, a kształtem przypominająca gąsiora, i swym długim ogonem obalała wielkie drzewa. Uśmierciła też rychło trzema ciosami trzech myśliwych, a gdyby pozostali nie schronili się na drzewach, to i oni padliby od jej razów. Gdy potwór ukatrupił tych trzech, pośpiesznie umknął do jeziora. Roztropni mężowie powiadają, że pokazanie się bestii wróży Szkocji nadejście ciężkich czasów, tak jak to już bywało w przeszłości".

Nie był to jedyny niebezpieczny potwór grasujący w średniowiecznej Szkocji. W roku 1590 Timothy Pont w opisie szkockich gór, mówiąc o jeziorze Lochbar, przydaje wiarygodności poprzedniej relacji: „W niewielkim kraju mieszkańcy okolic jeziora Lochaber, zwanych Lochferia i Mamor, zbudowali drewnianą siedzibę na małej wysepce w pobliżu największej osady Ardgour. A zrobili to, aby zapewnić panującemu, jego rodzinie i otoczeniu schronienie przed wrogami. I zdarzyło się że w czasach gdy w jeziorze przebywało jakieś potworne stworzenie, na wyspie zgromadziła się większość mieszkańców. Wtedy owa straszliwa i mocarna bestia zniszczyła wyspę, a wszyscy zginęli pożarci przez potwora".

To ostatnie wydarzenie, niezależnie od jego widocznych związków z opowieścią o Beowulfie było powszechnie znane w okolicy. Dyrektor szkoły w Rothiemay pisał w 1944 roku o Ardgour, że „pierwsi mieszkańcy tej wyspy byli, według przekazu, prześladowani przez potwora".

Inna historia Szkocji, *The Chronicles of Fortingale* (*Kroniki z Fortingale*), przedstawiając wydarzenia roku 1570, podaje: „W Lochfyne widziano ogromną rybę, która miała w głowie wielkie oko. Wychylała się ona czasem nad wodę na wysokość okrętowego masztu; miała też rzeczona ryba na czubku głowy dwie korony... powiadali też o niej mędrcy, że była kiedyś zwiastunem gwałtownych zmian w tym królestwie".

Nasz potwór z „bestii wielkości charta" w 1527 roku wyrósł na bestię „straszliwą i mocarną" w roku 1590. Pojawia się więc przesada i zaciemnienie obrazu, zwyczajność przechodzi w baśniowość. Mimo przeraźliwego strachu, jaki odczuwano przed potworami, było w tym jednak coś więcej. Nie można wykluczyć, że zwierzęta te wychodziły na brzeg (tak jak się to dzieje z pewnością w Loch Ness) i że mogły powodować spustoszenia pośród wątłych, plecionych z wikliny domostw i w młodych zagajników.

Na znajdującej się obecnie w zbiorach Biblioteki Bodleya w Oksfordzie czternastowiecznej mapie Szkocji widnieje łacińska uwaga dotycząca Loch Tay:

In isto lacu tria mirabilia
insula natans
pisces sine intestines
fretum sine vento

(Trzy cuda w tym jeziorze:
poruszająca się wyspa,
ryba bez płetw,
fale bez wiatru)

Atlas sporządzony przez Bleau w 1653 roku podaje, że na jeziorze Lomond występują „fale bez wiatru, ryba bez płetw oraz pływająca wyspa". Te nie wywołane wiatrem fale są zapewne obserwowanymi także na Loch Ness śladami po pływających obiektach albo dziwną siatką fal, jakie opisuje Maurice Burton w książce *Elusi-*

ve Monster (*Zwodniczy potwór*). Jeśli niedawni świadkowie rozprawiali nad podobieństwem garbatego grzbietu potwora do małej wysepki, to równie dobrze gładki kształt można było nazwać „rybą bez płetw".

Wydawca atlasu dodaje inteligentnie, że „ta ryba, o której mówią, że nie ma płetw, jest odmianą węża, a zatem niczym nadzwyczajnym". I słusznie. Wielu dawnych autorów zdradza zakłopotanie, gdy stają przed koniecznością właściwej identyfikacji zwierząt, które opisują. Timothy Pont, na przykład, pisze o przeświadczeniu mieszkańców okolic Loch Awe, że żyją w nim ogromne węgorze, „wielkie jak niewiarygodnej długości konie", co jest przyczyną braku ryb w tym akwenie. Do dnia dzisiejszego panuje przekonanie, że w Loch Awe mieszka potężny potwór, zwany po celtycku *Beathach Mor Loch Abha*. Podobne opowieści krążą wśród ludności zamieszkującej wybrzeże jeziora Rannoch.

Następnym etapem narastania tradycji są ludowe baśnie. Boswell i Johnson w czasie wycieczki po Hebrydach w 1773 roku odwiedzili wysepkę Rosay, na której poznali dwa jeziora. Nad jednym z nich, Loch na Mna, Boswell zanotował następującą historię opowiedzianą im przez przewodnika:

„Opowiedział on, że w jeziorze żył dziki zwierz, koń morski, który pożarł córkę pewnego człowieka. Później ojciec rozpalił wielkie ognisko, a nad nim upiekł maciorę, aby jej zapachem wywabić z wody potwora. W ognisko wetknął ostry rożen. Następnie ukrył się za niskim kamiennym murkiem, który ciągnął się od ogniska, poprzez szczyt wzgórza, aż do samej wody. Gdy nadszedł potwór, mężczyzna zabił go rozżarzonym do czerwoności rożnem. Przewodnik pokazał mi małą kryjówkę tego desperata, a także rząd kamieni tworzących murek. Opowiadając tę historię, zachowywał całkowitą powagę".

Należy zauważyć, że szkockie góry dopiero w XIX wieku stały się terenem modnym turystycznie. Szkocja i jej mieszkańcy zdobyli popularność w Anglii za sprawą królowej Wiktorii. W ślad za pierwszymi turystami ruszyli karnie wiktoriańscy folkloryści, którzy wcześniej słyszeli coś o takich stworzeniach jak wodnik Kelpie czy koń wodny. Wszystko to jednak zbladło po pojawieniu się pierwszych współczesnych relacji na temat potworów.

Podczas wycieczki po szkockich górach w 1800 roku John Leyden, mijając Loch Vennachair, odkrył, że „mieszkańcy doliny byli nie na żarty zaniepokojeni pojawianiem się tej niewyobrażalnej istoty – konia wodnego (each uisge). Potwora obarczano odpowiedzialnością za utonięcie przed kilku miesiącami grupy przepływających jezioro dzieci. James Hogg w przypisie do jednego ze swych wierszy w tomie *The Mountain Bard* (*Piewca gór*) w 1807 roku stwierdził, że „mieszkańcy niektórych części szkockich gór żyją w okowach nieustannego strachu przed urojonym stworzeniem zwanym koniem wodnym". Choć w 1893 roku koń wodny został nazwany przez powieściopisarza „baśniowym chochlikiem", to inny autor w *Bradford Antiquties* (*Starożytnościach bradfordzkich*) w lipcu 1903 roku dał do zrozumienia, że za góralskim wierzeniem kryje się coś groźniejszego, twierdząc, iż koń morski jest „elfem, który żąda przynajmniej jednego życia ludzkiego rocznie".

Nie ma wątpliwości, że konia wodnego wyobrażano sobie w postaci końskiej. Trudniej było zidentyfikować Kelpiego. Etymologia tego wyrazu jest niejasna. Sugeruje się tu celtyckie słowa cailpach, co oznacza źrebię albo wół – ale, jak twierdzi *Oxford English Dictionary*, „nie ma na to przekonywającego dowodu". W każdym razie Kelpie funkcjonuje na szkockich nizinach jako nazwa oznaczająca wodnego potwora o czarnym grzbiecie, który pokazuje się na powierzchni w postaci dużego zwierzęcia.

Powiadają, że nawiedza on strumienie i rzeki, topiąc w nich lekkomyślnych wędrowców. W *Popular Superstitions of the Highlands* (*Ludowych wierzeniach szkockich gór*, 1747) Collins opowiada o człowieku utopionym przez rozzłoszczonego Kelpiego, a z listu Roberta

Burnsa do jego przyjaciela Cunninghama z 10 września 1792, dowiadujemy się, że Kelpie straszył w okolicy i na promie w Ayrshire. Aczkolwiek Walter Scott wspomina o tym potworze w *Lay of the Last Minstreal* (*Pieśni ostatniego minstrela*) w 1805 roku, to około roku 1813 James Hogg w *The Queen's Make* (*Dziele królowej*) powiada, że: „posępne rozlewisko [...] nie było już Kelpiego domem".

W odleglejszych częściach szkockich gór takie legendy pozostają czymś więcej niż tylko poetyckim konceptem, a koń wodny więcej niż mitem O ciekawym dowodzie na jego istnienie dowiadujemy się od Walter Scotta, który jako jeden z pierwszych poważniej zainteresował się tradycjami tej krainy. Oto co 23 marca 1810 roku pisał w liście do Surteesa: „Gdybym choć przez chwilę uwierzył w tę legendę, obejmującą niemal wszystkie szkockie jeziora – czy to w górach, czy na nizinach – oświadczyłbym zdecydowanie, że ta ich rzekoma wszędobylska krowa jest hipopotamem.

Ale też – wziąwszy pod uwagę konsekwencję tej legendy, zarówno w odniesieniu do natury, jak i do sposobu pojawiania się zwierzęcia, nie byłbym ani trochę zdziwiony, gdybyśmy, po wypuszczeniu wody z któregoś jezior, do czego pewnego dnia doprowadzić może pasja ciągłego dociekania, ujrzeli szkielet owej bestii z księgi Hioba".

W pięć lat później w liście do lady Compton Scott był nieco bardziej konkretny: „Ostatnio różne osoby widziały potwora, o którym powiadają, że zamieszkuje niewielkie, leżące w sąsiedztwie jezioro Cauldshields. Gdyby nie to, że pływająca w wodzie wydra sprawia wrażenie bardzo dużego stworzenia, zgoła nie wiedziałbym, co o tym sądzić, ponieważ naprawdę trzeźwo myślący człowiek powiedział mi, że widział to w biały dzień. Z pogardą odrzucił mój pomysł z wydrą i wyjaśnił, że zwierzę to przypominało bardziej konia lub krowę".

Na kolejny spacer wokół jeziora sir Walter Scott „raczej instynktownie" zabrał ze sobą strzelbę. Na koniec w swoim dzienniku pod datą 23 listopada 1823 roku zapisał następującą anegdotę: „Opowiedział nam Clanronald (żywy przykład góralskiej łatwowierności), że kilku jego krewnych – między innymi Borradale – w przekonaniu, że legendarna krowa wodna mieszka w jeziorze opodal jego domu, postanowiło wywabić potwora na powierzchnię. W tym celu rozłożyli się obozem na brzegu jeziora, w którym jako nocną przynętę umieścili dwie kotwiczki z nadzianym na nie mięsem zabitego psa. Wodna krowa, która to pożre, miała być nazajutrz wyciągnięta na brzeg. Rano jednak – ku rozczarowaniu myśliwych – przynęta była nie naruszona.

Nie była to ostatnia próba wyłowienia potwora ani też odosobniony przypadek „góralskiej łatwowierności".

Jeden z pierwszych zbieraczy szkockich baśni ludowych – John Francis Campbell z Islay – w 1860 roku napisał, że „w szkockich górach ludzie nadal wierzą w istnienie konia wodnego, a w Sutherland oraz wielu innych częściach kraju dużo ludzi utrzymuje, że widziało ostatnio te „wyimaginowane stworzenia".

„Słyszałem – ciągnął dalej – o angielskich myśliwych, którzy puścili się za nimi w pościg, a więc relacje ludzi, utrzymujących, że coś widzieli, mają charakter przypadkowy.

Istnieje tak duża liczba świadków, a ich zeznania są tak ze sobą zgodne, że musi istnieć jakieś głęboko zakorzenione celtyckie wierzenie, które każdemu ciemnemu obiektowi nadaje przerażającą formę *each uisge* (konia wodnego)".

Gdybyż to było takie proste! Dwa lata później sam Campbell zanotował dziwną opowieść o tajemniczym zwierzęciu, które nazwał *boobrie*. Wyglądało ono na podgatunek konia widzianego w jeziorze w Argyle.

Znajomy Campbella ścigał potwora brodząc w wodzie. W końcu w odległości około osiemdziesięciu metrów od niego zwierzę dało nurka i zniknęło mu z oczu. Miało w sobie coś z wielkiego północnego nura, wyjąwszy białą pręgę wzdłuż szyi i torsu. Szyja ta miała dziewięćdziesiąt centymetrów długości i pięćdziesiąt dziewięć centymetrów w obwodzie". Zadziwiająca to precyzja jak na warunki, w których dokonano oceny. Dziób zwierzęcia, „długości około czterdziestu pięciu centymetrów, zakończony był jak u orła", co według mnie oznacza, że wierzchnia jego część wystawała nad dolną. Stworzenie miało czarne, krótkie i silne nogi, zakończone dużymi pazurami, a palce stóp zrośnięte błoną na odcinku dwunastu centymetrów. Zmierzone w północnej części jeziora odciski tych stóp pozostawione w błocie zajmowały przestrzeń pary dużych jelenich rogów. Zwierzę wydawało z siebie ryk rozjuszonego byka – a więc dźwięk zupełnie nie ptasi – i podobno żywiło się jagniętami i wydrami. Campbell ubolewał, że jego przyjaciel nie miał przy sobie łuku, gdyż była to sposobność zdobycia okazu boobrie. Zwierzę to widziały również i inne osoby.

Jest absolutnie nieprawdopodobne, aby to był rzeczywiście ptak. Jakiż bowiem ptak – poza może wymarłym gatunkiem ogromnego pingwina – miałby cztery metry długości? Inni świadkowie uznali, że długa szyja tego wodnego potwora przypomina łabędzia albo wielkiego nura, co jest porównaniem bardziej obrazowym dla Szkota, gdyż są to czarne ptaki o takich właśnie szyjach. Na sporządzonym w 1919 roku przez Mackintosha Bella interesującym rysunku, przedstawiającym węża morskiego o długiej szyi, widzianego w pobliżu Orkadów, autor obdarzył go wybitnie ptasim profilem. Pozostała część opisu – głos, pazury, odsciski stóp oraz kształt głowy – pasuje do morskich potworów widywanych gdzie indziej. Przytaczamy tę historię tak szczegółowo, aby wykazać, że nie wszystko, co się kojarzy z folklorem, jest owocem wyobraźni. Również przybysze z Anglii poddają się sugestii dowodów na istnienie potworów w szkockich górach.

A o tym, że one nie istnieją, miałaby świadczyć notatka, zamieszczona gdzieś na samym dole i wewnątrz numeru „Timesa" z 6 marca 1856 roku, dyskretnie zatytułowana *Wąż morski w szkockich górach*. Jest to najwcześniejsza wzmianka o potworze w Szkocji na łamach krajowej prasy:

„Wioska Leurbost w probostwie Lochs na wyspie Lewis jest ostatnio teatrem niezwykłych wydarzeń. Chodzi tu ni mniej, ni więcej jak o pojawianie się w jednym ze śródlądowych jezior słodkowodnych zwierzęcia, które ze względu na swoje rozmiary stanowi dla naszych przyrodników niemałą zagadkę. Jedni przypuszczają, że jego wygląd pokrywa się z opisem mitologicznego dotąd wodnika Kelpiego, podczas gdy inni widzą w nim „węża morskiego", który co jakiś czas ożywa na łamach naszej prasy. Zwierzę to widziane było wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni i to przez tłumy ludzi, przybyłych często z najodleglejszych zakątków okręgu w celu obejrzenia tego niezwykłego spektaklu. Niektórzy porównują wygląd stworzenia do wielkiej bryły torfu, inni zaś zapewniają, że między jego potężnymi płetwami, które były chwilami widoczne, mogłaby przepłynąć sześciowiosłowa łódź. Jednakowoż wszyscy zgadzają się w swych opisach co do tego, że ma ono kształt węgorza. Słyszeliśmy też z ust wiarygodnego świadka, że długość zwierzęcia ocenia on na około dwunastu metrów. Prawdopodobnie nie jest to nic innego niż węgorz morski. W górskich jeziorach Szkocji chwytano już zwierzęta o takim wyglądzie i tak pokaźnych rozmiarów. Ostatnio donoszą, że zwierz ten połknął koc pozostawiony na brzegu przez roztargnioną pasterkę bydła, zaś w pobliżu jeziora przyczaił się na cały dzień pewien myśliwy z dubeltówką, licząc, że mu zwierzę wyjdzie na strzał, ale bez rezultatu".

Śmiałek ten jest chyba jednym z dżentelmenów wspomnianych wcześniej przez Campbella. Rzecz ciekawa, że powyższa relacja była przedrukiem (dokonanym również przez wiele innych gazet) z „Inverness Courier", w którym zamieszczono ją na siedemdziesiąt lat przed pojawieniem się potwora z Loch Ness!

Jest to więc zapewne jedyna relacja. W „Timesie" na temat potwora nie było już nic więcej, co trochę zaskakuje, ponieważ działo się to niedługo po aferze „Daedalusa" z wężem morskim, która zaostrzyła czytelnikowi wiktoriańskiej prasy apetyt na wszelkiego rodzaju potwory. Zaniedbanie to jest niewątpliwie skutkiem braku łączności z wyspą Lewis.

Pewien czytelnik z Londynu, który przeczytał tę notatkę, napisał do „Inverness Courier", potwierdzając jego relację: „Mam zaszczyt poinformować Państwa, że w 1821 roku, podczas polowania na wyspie Lewis ja i czterej inni dżentelmeni widzieliśmy to samo zwierzę i niewykluczone, że na tym samym jeziorze. Przez kilka godzin usiłowaliśmy bezskutecznie ustrzelić to stworzenie. Tamtego wieczoru jedliśmy obiad w towarzystwie pana Mackenzie ze Stornoway, któremu napomknęliśmy o naszej przygodzie. Pan Mackenzie wyraził spore zdziwienie, choć oświadczył, że kiedy po raz pierwszy przybył na wyspę Lewis, żywa tu jeszcze była opowieść o schwytanym w tym właśnie jeziorze podobnym zwierzęciu, które przypominało wielkiego morskiego węgorza. Aby je przetransportować do Stornoway, trzeba było aż chłopskiej fury. A zdarzyło się to przed siedemdziesięciu, osiemdziesięciu laty".

Niezbyt wiarygodne wydaje mi się zdarzenie oparte na pogłosce sprzed roku 1780. Ale nie jest to jedyna relacja o ujęciu podobnego zwierza. Jak opisuje to w liście do kapitana Lionela Leslie pani Cameron z Corpach koło Fort William, pod koniec ubiegłego stulecia czyszczono tam śluzę Kanału Kaledońskiego. W czasie tych prac jeden z robotników zabił zwierzę znalezione w stawidłach. „Wyglądem przypominało węgorza, choć było znacznie większe od jakiegokolwiek znanego okazu i posiadało długą grzywę". Obecni tam sądzili, że mogło ono przypłynąć z Loch Ness, które i wówczas uważane było za legowisko niesamowitych zwierząt. Ale i to twierdzenie oparte jest na wątłych podstawach.

Wróćmy jednak do czasów wiktoriańskich. Lord Malmesbury – angielski polityk i właściciel posiadłości w Szkocji – w swym pamiętniku, oprócz notatek na temat gabinetowych rozgrywek czy rewolty sipajów, pomieścił też informacje o wodnym koniu, o którym słyszał podczas pobytu w Achnacarry w 1857 roku:

„3 października. Dziś rano mój myśliwy i jego pomocnik opowiedzieli mi o tajemniczym stworzeniu, które żyje w Loch Arkaig i które nazywają koniem z jeziora. Chodzi tu o to samo zwierzę, o którego pojawianiu się w górskich jeziorach od czasu do czasu czytamy w gazetach, a także o którego istnieniu w jeziorze Assynt ciekawy artykuł napisał nieżyjący już lord Ellesmere. Dotychczas jednak historię tę traktowano jako wytwór fantazji. Teraz wszakże jestem przekonany o jej prawdziwości. Mój myśliwy, John Stuart z Achnacarry, widział to zwierzę dwukrotnie i za każdym razem działo się to w promieniach wschodzącego słońca, u progu jasnego letniego dnia, kiedy woda była gładka jak stół, bez jednej zmarszczki. Stworzenie to wylegiwało się na powierzchni. Stuart widział tylko jego głowę i tylne partie, świadczące o tym, że jego grzbiet był zapadły, co nie jest charakterystyczne ani dla jakiejkolwiek ryby, ani dla foki. Jego głowa przypominała końską. Zwierzę widziały również przechadzające się po plaży dzieci. Leżało ono wówczas bez ruchu, w odległości około trzydziestu metrów od brzegu, zapewne pogrążone we śnie, tak że zrazu dzieci wzięły je za występ skalny. Kiedy się jednak doń zbliżyły, podniosło głowę, wzbudzając takie przerażenie, że rzuciły się do ucieczki w stronę domu, do którego dotarły w stanie najwyższej trwogi. Gdy dzieci opowiadały tę historię, ich zachowanie było zupełnie naturalne. Pragnęły nawet złożyć pisemne oświadczenie na temat tego incydentu. Wśród mieszkańców szkockich gór panuje wiele zabobonów związanych z tym stworzeniem. Są oni przekonani, że w danej chwili istnieje zawsze tylko jedno jego wcielenie, a naturze potwora przypisują pewne diaboliczne cechy, bo gdy zdradziłem chęć ustrzelenia tego stwora, myśliwy rzekł posępnie: Oby pańska strzelba nie wypaliła. Nie jest chyba zupełnie niemożliwe, aby foka, idąc w górę rzeki Lochy, przedostała się do jeziora Arkaig".

Pół wieku później sir Herbert Maxwell, znakomity dziad pisarza Gavina Maxwella, zanotował zupełnie inny opis „potwora" w Loch Arkaig. Oto czterech dżentelmennów przepływało jezioro parową szalupą, kiedy na powierzchni pojawiło się duże zwierzę. Można było odnieść wrażenie, że stacza ono walkę, tak że spowodowane tym zamieszaniem fale nałożyły się na kilwater ich łodzi. Jeden z członków tej grupy, „godny zaufania i inteligentny człowiek" bez skłonności do fantazjowania, opowiedział później sir Herbertowi, iż widzieli oni „wielkie nieznane zwierzę". Sir Herbert był skłonny uwierzyć swemu staremu przyjacielowi.

Trzy tygodnie później spotkał on myśliwego, który towarzyszył wówczas owym dżentelmenom w łodzi i zadał mu pytanie na temat tego zdarzenia. Okazuje się, że człowiek ten dostrzegł zwierzę zanim uczyniła to reszta grupy. „I cóż to mogło być?" zapytał sir Herbert. „Wydra" usłyszał w odpowiedzi. Myśliwy był świadkiem dyskusji, którą ci panowie wiedli na temat „wielkiego nieznanego zwierzęcia". Zgodnie jednak z przyjętym wówczas zwyczajem, nie pytany o zdanie, nie wyraził swej opinii w tej sprawie.

Czy wydrą był również koń wodny opisany przez lorda Malmesbury'ego? Nie wydaje się to możliwe. To prawda, że wydry mogą się kryć za niektórymi relacjami na temat potworów z jeziora. Ich sposób pływania w jednej linii oraz skakania w stylu delfinów w pogoni za rybami mogłyby stwarzać wrażenie jakiegoś „wielkiego nieznanego zwierzęcia". Optymizmem napawa jednak fakt, że z całą pewnością nie wszystkie sprawozdania dadzą się wyjaśnić w ten sposób.

Angielscy turyści przywieźli ze Szkocji opowieści o koniu wodnym, żyjącym w Loch Beiste na półwyspie Greenstone w hrabstwie Western Ross, o czym wspomniano w „Punchu" w latach pięćdziesiątych.

Właścicielem terenu, na którym leży Loch Beiste jest Anglik o nazwisku Bankes. On również próbował on schwytać konia wodnego spuszczając wodę z jeziora (dokładnie tak jak to przewidywał Walter Scott). Kiedy ten sposób okazał się nieskuteczny, Bankes, również bez rezultatu, usiłował otruć zwierzę, zaprawiając wodę niegaszonym wapnem.

Wyspa Skye była świadkiem innej próby schwytania konia wodnego, tym razem na Loch nan Dubrachan. W 1870 roku według Mary Donaldson, pisarki mieszkającej na Skye, która o sprawie tej usłyszała od pewnego starca, miejscowy ziemianin MacDonald próbował z powodu bestii zbagrować całe jezioro. Zwierzę widziano raz na brzegu i w pierwszej chwili wzięto je za martwą krowę, dopóki nie ruszyło w stronę wody, a potem popłynęło trzymając głowę nad jej powierzchnią. Łowy na konia wodnego były wielkim świętem: dzieci zwolniono z lekcji, a tłumy ludzi zjechały wozami i konno, „zaś whisky polało się więcej niż na stypie". Wszyscy mieli uciechy co niemiara. Dwie łodzie ciągnęły przez jezioro długą sieć. Kiedy zaczepiła ona o pniak, tłum – przeświadczony, że to potwór – rzucił się do ucieczki. Ostatecznie właściciel jeziora, ku swemu zmartwieniu, złapał jedynie dwa szczupaki.

Geolog Archibald Geike w swych *Scottish Reminiscences* (*Szkockich wspomnieniach*, 1904) napomyka, iż na Skye natrafił na oznaki głęboko zakorzenionego wierzenia, że w jeziorach na południe od Strath żyje koń wodny lub krowa wodna. Powiadano, że koń wodny porywa młode dziewczęta, choć Geike nie spotkał nikogo, kto by widział choć jedno z tych stworzeń.

Innym udało się znaleźć takich ludzi. Brat Alan McDonald, ówczesny proboszcz na wyspie South Uist, przeprowadził wywiad z takim człowiekiem. Folkloryści, jak wiadomo, mają skłonnność do uznawania autentycznych relacji o nieznanych zwierzętach za ludowe baśnie. Ta opowieść, cytowana w książce *Strange Things* (*Dziwne stworzenia*) Johna Lorne'a Campbella i Trevora Halla, pochodzi z folklorystycznego notatnika księdza McDonalda.

5 czerwca 1897 roku niejaki Ewen MacMillan opisał bratu Allanowi, jak to przed czterema laty, również

w czerwcu, wyruszył na poszukiwanie swego zaginionego konia. Dotarł do Loch Duvat, na wyspę Eriskay.

„Na północnym brzegu jeziora ujrzał jakieś zwierzę, które wziął za swoją kobyłę, ruszył więc w jego kierunku i zbliżył się doń na odległość około dwudziestu metrów, ale wskutek zamglenia nie mógł rozróżnić koloru zwierzęcia, choć wydało mu się ono większe niż konik z Eriskay. Kiedy poszedł jeszcze bliżej, zwierzę wydało z siebie paskudny, nieprawdopodobny krzyk, co przeraziło nie tylko MacMillana, ale także pasące się na zachodnim brzegu jeziora konie, które natychmiast ruszyły galopem przed siebie. MacMillan również przebył biegiem całą drogę do domu".

Brat Allan nazwał to zwierzę koniem wodnym, a wskutek swego głębokiego zainteresowania okultyzmem uznał, że jest to jakieś ciało astralne. Nic jednak nie świadczy o tym, żeby to nie było zwierzę z krwi i kości. Jest ono z pewnością niezwykłe, ale też i zupełnie realne. Ów niesamowity krzyk, przydający tej opowieści przyjemnego dreszczyku grozy, usłyszymy jeszcze przy innej okazji.

Historia ta w interesujący sposób pokazuje, jak zwyczajność przeistacza się w baśniowość, o czym pisał poeta Muir. To niezwykłe spotkanie, wzbogacane w trakcie kolejnych przekazów o coraz to nowe szczegóły, mogłoby się z powodzeniem przekształcić w jedną z tych egzaltowanych opowieści, które były już przytaczane. Pod koniec ubiegłego stulecia Szkocja stała się sławna z powodu potworów zamieszkujących tamtejsze jeziora. Przyjrzyjmy się teraz najświeższym śladom istnienia tych stworzeń.

Zacznijmy od wyspy Lewis, skąd w 1856 roku nadeszła najwcześniejsza relacja. W roku 1941 zoolog Norman Morrison zameldował Cyrylowi Dieckhoffowi, że w małym jeziorze na tej wyspie widywane jest zwierzę przypominające wyglądem wywróconą łódkę, a miejscowi nazywają je *searrach uisge* (wodny źrebak).

Jeszcze później, 27 lipca 1961 roku, dwaj wędkarze widzieli potwora na Loch Urbhal w pobliżu wioski Achmore. Byli to dwaj rodowici tubylcy, nauczyciele Ian McArthur i Roderick Maciver. mówili właśnie na mieliźnie, gdy Maciver zerwał się na równe nogi z okrzykiem: „W tym jeziorze coś jest!“ Zwierzę znajdowało się na płytkiej wodzie, w odległości czterdziestu metrów od nich. Pokazało się na powierzchni trzykrotnie. Miało garb, a około dwóch metrów od niego widać było coś w rodzaju głowy lub płetwy. Zwierzę płynęło jak delfin, to znaczy pionowym ruchem falowym, było jednak znacznie większe od delfina. Świeciło ostre słońce, a na jeziorze panowała cisza. McArthur wycelował już aparat fotograficzny, gdy zwierzę zanurzyło się po raz trzeci i ostatni.

Ponieważ Loch Urabhal jest jeziorem słodkowodnym, McArthur uznał za mało prawdopodobne, aby mogło się do niego przedostać jakieś morskie zwierzę. Dowiedział się też od swego ojca, że z akwenem tym nie wiążą się żadne legendy i że najpewniej widzieli oni wydrę. Jednak McArthur zwrócił uwagę na specyficzny sposób pływania tego zwierzęcia, różniący go od wydry.

Historyk wyspy Lewis, Donald MacDonald, powiedział dziennikarzowi, że nie zna żadnych legend związanych z tym konkretnym jeziorem. Jedyne jezioro, któremu przypisuje się tam potwora, to Loch Suainbhal leżące w pobliżu Uig. Według legendy, zwierzę to żywiło się kiedyś rzucanymi mu w ofierze jagniętami.

Wróćmy jednak na stały ląd zachodniej Szkocji. Tu siedliskiem szczególnie przerażających koni wodnych miało być Loch Treig, leżące u podnóża szczytu Ben Nevis. Te przyczajone demony odżyły w 1933 roku. Inżynier B. N. Peach, główny projektant hydroelektrowni na jeziorze, utrzymywał, że niektórzy pracujący pod jego kierownictwem nurkowie po powrocie na powierzchnię opowiadali o potworach widzianych rzekomo w głębinie. Część z nich odeszła w końcu do innej pracy.

Napłynęły również nowe relacje z innych jezior, z którymi wiązały się legendy o koniach wodnych. Alexander Graham z Duchray, pisząc w 1724 roku o Loch Lomond (tym z rzekomą „pływającą wyspą“), twierdził, że „w okolicach ujścia rzeki Enrick do tego jeziora, kilometr na zachód od kościoła w Buchanan, mieszkańcy widują czasem hipopotama albo wodnego konia".

22 września 1964 roku małżeństwo Haggerty z Helensburgha widziało długi garbaty grzbiet, przesuwający się w górę jeziora. Tego samego lata maszynista wraz z palaczem, kiedy pociąg wynurzył się z tunelu na odcinek toru biegnący wzdłuż jeziora, dostrzegli na wodzie duży kształt, „większy niż długa łódź i poruszający się z prędkością torpedy".

Choć z kilkoma jeziorami nie wiążą się żadne legendy, to jednak niewątpliwie żyją w nich potwory. Przykładem może tu być Loch Quoich. Miał tam zwyczaj łowić ryby pewien lord. Pewnego dnia on i jego dwaj pomocnicy ujrzeli leżącego na wodzie potwora. Kiedy historia ta nabrała rozgłosu, lord zaprzysiągł swych pomocników, by dochowali tajemnicy, w przeciwnym bowiem wypadku wszyscy zostaną posądzeni o pijaństwo. W tym samym okresie krążyła pogłoska o potworze, który miał zwyczaj towarzyszyć pływającym po jeziorze rybackim łodziom.

W 1933 roku specjalny wysłannik „Northern Chronicle" spłodził kilka opowiastek o tym samym zwierzęciu, nie wykraczają one jednak poza niezbyt udokumentowane pogłoski. Cyryl Dieckhoff słyszał zeznania na temat potwora w Loch Lochy, o którym również pisał ów korespondent.

W 1930 roku mieszkaniec Lochyside przestrzegł swą żonę przed praniem bielizny w jeziorze. Indagowany o przyczynę wyznał, że widział tam dziwne zwierzę i chociaż wyglądało ono niegroźnie, to lepiej go nie prowokować. W roku 1929 dwaj doświadczeni leśnicy ujrzeli coś, co uznali za lekko zaokrągloną kłodę drewna. Jednak za pomocą teleskopu wkrótce skonstatowali, że było to jakieś duże zwierzę, którego poruszenia mogli obserwować na przestrzeni półtora kilometra, dopóki się nie zanurzyło.

Nie wiemy, jakim dowodem dysponował Dieckhoff, ale obecnie nie ma pewności, czy ów potwór wciąż się tam jeszcze znajduje. W marcu 1960 roku Maurice Burton otrzymał od pewnego korespondenta znalezioną w rodzinnym albumie fotografię, a na niej rzekomego potwora, który się wynurza z Loch Lochy. „Powiększenie zdjęcia – pisze Burton w „The Elusive Monster" – pokazuje ciemny, nieregularny kształt pośród piany i bąbelków". W kilka sekund po zrobieniu zdjęcia obiekt zniknął. Burton uznał ostatecznie, że „potwór" w tym przynajmniej wypadku, jest jednym – jak to on mówił – zbrylonych, oślizłych śmietników.

Jednak 15 lipca 1960 roku Erich Robbins z żoną i przyjaciółmi ujrzeli coś, co uznali za potwora. Zrazu zobaczyli dwie nieruchome fale – niewątpliwie owe „fale bez wiatru", o których wspomina atlas Bleau. Ruszyły one przez jezioro, wybrzuszając się ponad powierzchnię i tworząc szeroki grzbiet. Obiekt zaczął się następnie przesuwać po wodzie. W momencie gdy wykonał zwrot, cała śledząca go przez lornetki trójka dostrzegła u jego boku „coś w rodzaju płetwy". Od spodu stworzenie miało jaśniejszą barwę. Długość grzbietu oceniono na cztery i pół metra, a całego zwierzęcia – oddalonego o ponad dwieście metrów od brzegu – na dziesięć, dwanaście metrów. Wcześniej grupa dziewięciu innych osób obserwowała niepokój w wodzie oraz fale rozbijające się u ich stóp.

Świadectwo pochodzące z Loch Oich, które leży między Loch Ness i Loch Lochy, zrazu pozornie wiarygodne, po głębszej analizie okazuje się niepewne. Wśród autorów panuje powszechna zgoda co do tego, że istnieją legendy na temat potwora w Loch Oich. „W szkockiej dolinie Great Glen, a głównie w Inverness – pisał w 1937 roku Alister MacGregor – mamy podania o bestii zamieszkującej głębinę Loch Oich, ale mimo iż wielu tubylców, a także niemało podróżników twierdzi, że ją widziało, to pozostaje ona w cieniu sławniejszego sąsiada z Loch Ness". Brzmi to dość dobitnie, choć sam autor nie przytoczył w końcu żadnego dowodu.

W 1934 roku w artykule o potworze z Loch Ness Oudemans opowiada wartą odnotowania dziwną historyjkę o Loch Oich. Duże rozlewisko rzeki Garry, która wpada do tego jeziora, okoliczni mieszkańcy nazwali „Dziecięcą sadzawką".

Podanie głosi, że przed wielu laty kilkoro dzieci z Inchlaggan bawiło się w zakolach rzeki Garry, kiedy na brzegu pojawiła się duża bestia o kształcie zdeformowanego kucyka. Dzieci – zaciekawione, czy stworzenie jest rzeczywiście konikiem, na którym mogłyby sobie pojeździć – podeszły do niego i stwierdziły, że bestia jest tak łagodna, iż jedno z nich odważyło się jej dosiąść. Gdy tylko to nastąpiło, potwór wraz z jeźdźcem i innym jeszcze wczepionym w jej grzywę dzieckiem pogrążył się w wodzie. Nigdy nie znaleziono ciał tych tajemniczych topielców.

Choć większość czytelników potraktuje tę historię jak folklorystyczną bajeczkę, Oudemans podszedł do niej zupełnie poważnie. Na zdrowy rozum, jeśli te zwierzęta są rzeczywiście odmianą dużego ssaka spokrewnionego z foką, to naprawdę w opowieści tej nie ma niczego niezwykłego. Zniekształcony kucyk z grzywą doskonale pasuje swym wyglądem do dobrze już nam znanego zwierzęcia. Doświadczenie uczy jednak, że do pełnego wyjaśnienia tej historii nie wystarczą dociekania o charakterze lokalnym.

Jeden z podróżników, o których wspomina MacGregor, widział potwora latem 1936 roku. A. J. Robertson płynął po południowo-zachodniej części jeziora w kierunku Lochy. Początkowo zauważył w wodzie niepokój. Nad powierzchnię wyrosła część czarnego wężowego ciała, a następnie o metr od niego pojawiła się głowa przypominająca nieco psa.

Loch Oich łączy się poprzez rzekę z Loch Ness, jest więc możliwe, że zwierzę przedostało się z większego jeziora. J. W. Herries, jeden z pierwszych dziennikarzy, który badał sprawę potwora w Loch Ness w 1933 roku, nadal był zainteresowany tym problemem. W czasie późniejszej bytności nad jeziorem zajął się pogłoskami na temat potwora z Loch Oich.

„Rozmawiałem z trzema młodymi ludźmi, którzy widzieli, jak obiekt ten przemieszczał się z Loch Ness do

Loch Oich. Później zaś spotkałem dozorcę południowej śluzy na Loch Oich (to znaczy tej, która wiodła z Kanału Kaledońskiego do Loch Oich). Człowiek ten widział zwierzę z bardzo bliskiej odległości. Córka dozorcy zwróciła uwagę na dziwne stworzenie, które siedziało w niemal zamkniętej zatoczce tuż obok ich domu. Kiedy wyszedł, ujrzał pływające prawie dwumetrowej długości zwierzę, podobne nieco do wydry, choć znacznie od niej większe. Dozorca posłał córkę po strzelbę, zanim jednak zdążyła wrócić, zwierzę zanurzyło się. Dozorca, mimo że nic, co związane z wodą i jej mieszkańcami, nie było mu obce, nie potrafił porównać tego zwierzęcia do niczego, co widział dotychczas".

Nie ma wątpliwości, że gdyby to była wydra, dozorca rozpoznałby ją natychmiast. Jedynym zaś do niej podobieństwem, jakie zauważył u tego zwierzęcia, było jego przystosowanie do wodnego trybu życia. Niewielkie rozmiary Loch Oich sprawiają, że jest ono terenem niezwykle sprzyjającym dalszym badaniom.

Należy teraz wspomnieć o propozycji Angusa Rossa z Uniwersytetu w Edynburgu, zawartej w jego liście do „New Scientist" z 1 grudnia 1960 roku. Utrzymuje on, że przed laty donoszono znad Loch Oich o istnieniu jakiegoś stworzenia: „Naoczni świadkowie nie budzili najmniejszych zastrzeżeń, lecz ich zeznania nie były tak jednoznaczne, jakby się tego pragnęło. Z drugiej strony, na wykonanych przez nich rysunkach widnieje stworzenie zastanawiająco podobne do ogromnej kałamarnicy. Różnice między tą ostatnią a zwierzęciem są albo wynikiem niedoskonałości tych rysunków, albo też rzeczywiście istnieją".

Ross nie miał wątpliwości, że jedna kałamarnica żyje w Loch Oich, a druga w Loch Ness.

Nie była to nowa teoria. Posłużył się nią w 1883 roku Henry Lee dla wyjaśnienia problemu węża morskiego. Niezależnie od wartości tej koncepcji w tamtym kontekście, jest ona bezużyteczna w wypadku potwora w jeziorze, ponieważ wielka kałamarnica nie wyżyłaby w słodkiej wodzie. Nie udało się wytropić rysunków, o których mówi Ross, lecz podejrzewam, że pokazują one zjawisko „łańcuszka boi", czyli szeregu garbów z czymś na podobieństwo głowy na przedzie. Warto by je było obejrzeć, gdyby się gdzieś jeszcze zachowały.

8 lipca 1961 szkocki „Daily Express" zamieścił zdjęcie czegoś, co nazwano figlarnie „Malcem Oichy". Okazało się, niestety, że ów „potwór" jest tylko zręcznym oszustwem. Dziennikarz Jonathan Routh z kilkoma przyjaciółmi zmajstrowali urządzenie, które puszczone na wodę wyglądało jak duże zwierzę. Zajętych robieniem zdjęć oraz wysyłaniem tej relacji oszustom zaskoczyła grupa studentów, którzy wykradli atrapę, przypisując w ten sposób sobie główną rolę w tej aferze.

Niedobrze się stało, że mistyfikatorzy wybrali akurat to jezioro, z którym wiązały się zarówno stare legendy o potworze, jak i przekazy pochodzące z czasów współczesnych. W tej sytuacji wszelkie relacje pochodzące z Loch Oich będą analizowane w sposób szczególny, a potem prawdopodobnie dyskwalifikowane.

W czasie powtórnej podróży przez szkockie góry warto dowiedzieć się czegoś więcej o obserwacjach dozorcy śluzy. Bez trudu odnaleźć można jego chatę. Okazało się jednak, że pracę swą objął dopiero w 1939 roku i nie przypomina sobie żadnych relacji o potworze w Loch Oich. Dziś nie mamy wątpliwości, że w 1936 roku angielscy turyści coś w jeziorze widzieli. Ciekawe, czy był to przypadek, o którym miejscowa ludność zachowuje milczenie. Sprawa zaczęła się wikłać, gdy wyszło na jaw, że poprzedni dozorca śluzy nie miał córki. Może więc ta dziewczynka była jego siostrzenicą? Ugrzęźliśmy w gąszczu rodzinnych powiązań, co mimo mojego irlandzkiego doświadczenia okazało się nie do rozwikłania. A zatem niczego nowego w tej sprawie. Jedyne co się zgadzało z relacją Herrisa, to owa zamknięta niemal zatoczka poniżej Oich Bridge.

Po powrocie ze Szkocji odkryliśmy, że obecny dozorca śluzy z Oich Bridge mylił się. Zwierzę z Loch Oich było naprawdę widziane 19 września 1936 roku przez niejakiego Simona Camerona, dozorcę mostu na kanale w Laggan. Cameron mówił, że zwierzę wynurzyło się na powierzchnię w pobliżu jego domu i następnie za pomocą szybkich i mocnych uderzeń przednich kończyn żwawo ruszyło we wschodnim kierunku i zniknęło mu z oczu. Stworzenie miało około dwóch metrów długości oraz głowę przypominającą psa. Zapytany przez dziennikarza, czy mogła to być wydra, Cameron odpowiedział, że „takiej wydry nie ma na świecie". A zatem Herries nie mylił się również co do samego świadka. Taki jest więc stan świadomości w tej dziedzinie, reprezentowany przez dzisiejszych mieszkańców tamtych okolic.

Na zachodnich krańcach Szkocji, wokół Loch Shiel i Loch Morar, legendy są konkretniejsze, a relacje bardziej aktualne i prawdziwsze.

Poszukując materiałów do książki o potworze z Loch Ness, brat Cyryl Dieckhoff korzystał z każdej sposobności, by zanotować relacje o potworach ze szkockich gór. W czasie pełnienia swych obowiązków duszpasterskich w zachodniej części gór, a zwłaszcza w katolickim okręgu Morar, trafił na kilka opowieści o potworze z Loch Shiel.

W grudniu roku 1933 Dieckhoff usłyszał od starego mieszkańca okolic Shiel Bridges, że pewien człowiek widział kiedyś bestię z Loch Shiel w pobliżu Dalilea (*gum faca fear beist loch Seile faisg air Dalilea*). Nieco później, również w grudniu, Dieckhoff dowiedział się od listonosza z Glenuig o starej kobiecie, która widziała zwierzę w roku 1874 i tak je opisała: „Miało ono trzy garby i posuwało się bardzo szybko".

Dozorca posiadłości Francisa Camerona-Heada, Ewan MacIntosh, opowiedział mu o swojej przygodzie z 1905 roku. Otóż wraz z dwoma chłopcami i starszym mężczyzną o nazwisku Ian Crookback płynęli przez jezioro parowcem „Clan Ronald", kiedy ujrzeli wyłaniające się z wody trzy garby, które śledzili przez teleskop.

Niejaka Ann Mor MacDonald opowiada, że w 1962 roku jej brat, Ronald MacLeod widział Seileaga, bo tak miejscowa ludność nazywa to zwierzę. Celtycki tej starszej niewiasty jest chwilami niezrozumiały. Powiada ona, że MacLeod widział, jak zwierzę wychodziło z wody na półwysep Sandy Point między trzecią a czwartą po południu (*tighinn amach as an uisge aig a Rudha Ghainmheach*). W ramach swej ówczesnej funkcji obserwował je przez teleskop i ocenił, że było nie większe niż parowiec „Clan Ronald". Zwierzę miało chropowatą i długą szyję oraz szeroką głowę z wielką paszczą; na grzbiecie widać zaś było siedem „żagli", z których środkowy był największy. Przy innych okazjach MacLeod widywał tylko trzy garby, choć zawsze środkowy był najokazalszy.

Czyżby Ann Mor MacDonald chciała powiedzieć, że jej brat rzeczywiście widział zwierzę wypełzające z jeziora na brzeg Sandy Point? Tak to chyba należy rozumieć. Francis Cameron-Head rozmawiał z dwoma świadkami, Ronaldem MacLeodem i Sandym MacKellaigiem na temat ich obserwacji. MacKellaig próbował strzelać do Seileaga z łódki, jednak kobiety, które uprzednio zabrał ze sobą odwiodły go od tego zamiaru, argumentując, że potwór nie wyrządził mu żadnej krzywdy. Bratanek MacKellaiga, właściciel hotelu w Glenfinnan w górze jeziora, opowiadał Dieckhoffowi w 1933 roku, że według jego stryja i kuzyna „potwór wychodził na brzeg sporadycznie".

Zarówno Loch Shiel, jak i Loch Morar to niesamowite jeziora o długich, nie zabudowanych brzegach i nie zbadanych głębinach. Loch Morar, najgłębsze jezioro na Wyspach Brytyjskich, jest dziwne i odpychające. I znów Cyryl Dieckhoff notuje wiadomości o tym akwenie. Tak pisze w swoim dzienniku: „27 marca 1934 roku. Jeden z moich przyjaciół, Charlie MacDonald, leśnik, wyszedł z domu, aby zajrzeć do trzymanych w szopie saren. Zbliżał się właśnie do celu, kiedy ujrzał jakieś zwierzę, gwałtownie wynurzające się z wody. Jego szyja grubości ludzkiej ręki sterczała pionowo. Stworzenie przypominało węgorza, choć ten nigdy nie przyjmuje takiej postawy.

Sądząc po wzburzeniu wody, MacDonald ocenił, że musiało to być bardzo duże zwierzę".

Legendy o potworze z Loch Morar sięgają bardzo dawnych czasów. „Któż nie słyszał o Mhoragu?" – zapytuje w 1907 roku miejscowy pisarz, James MacDonald. Była to złowroga bestia. Pewien skrupulatny młodzieniec z „Guardiana" wyszperał w starych zbiorach szkockich pieśni wierszyk o tym stworzeniu:

Morag zwiastunem jest śmierci,
Wielki pływak głębin Moraru,
Zielonego jeziora bez dna...
To tam potworny żyje Morag.

Mówiono, że pojawienie się Moraga zapowiada śmierć w rodzinie MacDonnellów. I rzeczywiście – na trzy tygodnie przed zgonem jednego z ostatnich MacDonnellów z Brinogary widzieli Moraga pasażerowie łodzi płynącej po jeziorze. Pisarz James MacDonald błogosławił los za swoje nazwisko, kiedy sam spotkał bestię. Zdarzyło się to styczniowej nocy 1887 roku, gdy przepływał on na drugi brzeg jeziora, by tam, na stokach gór nad Raitlan, uprawiać kłusownictwo polując na zwierzynę płową. Stworzenie to wystawiło nad powierzchnię wody trzy fragmenty swego ciała, co – jak głosi legenda – symbolizowało śmierć, trumnę i grobowiec rodziny MacDonnellów.

Choć potwór miał tak fatalne właściwości, to jednak w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku widziało go podobno wielu ludzi, zaś pierwsza pełniejsza relacja pochodzi z roku 1895. Tego lata sir Theodore Brinckman wraz z małżonką oraz pomocnikiem MacLarenem łowili na jeziorze ryby. W pewnym momencie pani Brinckman zwróciła uwagę na długi, ciemny kształt, podobny do wywróconej łodzi, pytając, czy to jest właśnie ów lunch, na który się nastawili. „Nie – odparł MacLaren. – To tylko potwór". Następnie wyjaśnił tym dwojgu, że jest to zwierzę dobrze tutaj znane, choć nie widuje się go zbyt często.

Sprawa Loch Ness zwróciła uwagę świata również i na Moraga, ale było to zainteresowanie krótkotrwałe, choć jeszcze w 1946 roku zdarzyło się coś interesującego. Aleksander MacDonnell przewoził wówczas grupę uczniów, uczestników obozu wypoczynkowego w Inverilot. Płynęli oni z Morar do Moeble. Gdy łódź mijała Bracorina Point, na północnym brzegu jeziora, któreś z dzieci wykrzyknęło: „Patrzcie, co takiego wielkiego, tam na drugim brzegu?“ MacDonnell powiada, że ujrzał wówczas zwierzę rozmiarów hinduskiego słonia, które z ogromnym pluskiem zwaliło się ze skały do wody. Jest to chyba jedyna relacja znad Morar, mówiąca o tym zwierzęciu widzianym na brzegu. (Pewnie jego szyja wygięta jest sinusoidalnie, czym nasuwa się skojarzenie z trąbą słonia; również matowy, szary kolor skłania do porównań z tym zwierzęciem, co też czyni wiele osób opisujących te stworzenia).

W 1948 roku widzieli Moraga pasażerowie statku, a spotkanie to odbiło się wówczas szerokim echem w prasie. Była to grupa turystów, głównie z Liverpoolu, którzy pod kierunkiem Johna Gilliesa odbywali całodzienną wycieczkę wokół jeziora. W drodze powrotnej jeden z gości zwrócił uwagę, że za ich burtą dzieje się coś dziwnego. „No i była tam ta Kaśka – opowiadał Gillies pani Whyte – około dziesięciometrowej długości i o czterech garbach wystających na pół metra z wody. Nie dostrzegłem głowy, było to jednak w odległości prawie kilometra. Po upływie sześćdziesięciu sekund zwierzę zniknęło. Rozwijało ono sporą szybkość i wytwarzało silne fale“.

Od tego czasu zwierzę widywano na jeziorze dość często. Pewne angielskie małżeństwo, właściciele domku w Swordlands, tak przywykło do ciągłego pojawiania się tego stworzenia, że w końcu przestało je obserwować. W większości wypadków był to kształt „wywróconej łodzi“.

We wrześniu 1958 roku nad Morarem spędzał swój urlop w towarzystwie rodziny wybitny naukowiec, George Cooper. Malował on właśnie akwarelami pejzaż zachodniej części jeziora, przedstawiający wyspy, na których zachowały się pozostałości starej kaledońskiej puszczy, kiedy zauważył coś, co początkowo wydawało się dużą, wolno dryfującą w dół jeziora kłodą. Obiekt ten po godzinie obserwacji gwałtownie zniknął. Cooper przypomina sobie, że przez pewien czas jeden jej koniec wystawał nieco wyżej. Powierzchnia tej kłody była raczej chropowata, w każdym razie z całą pewnością nie błyszczała. Po zniknięciu obiektu dr Cooper namalował go pośpiesznie akwarelami. (Obrazek znajduje się obecnie w obserwatorium Loch Morar). To interesujące malowidło jest, jak to podkreśliła Elisabeth Montgomery Campbell, „prawdopodobnie jedynym istniejącym portretem potwora, nie tylko z Loch Morar, ale z wszystkich szkockich jezior.".

W sierpniu 1968 roku John MacVarish, miejscowy pracownik hotelowy, podróżując z Bracora do Lettermore, zobaczył wynurzające się z wody głowę i szyję. Szyja, długości półtora metra do metra osiemdziesięciu i około pół metra grubości – zwężała się w płaską, wężową, małą główkę. Skóra była czarna i gładka. Stworzenie posuwało się niezbyt szybko do przodu, a widoczny przy jego bokach ruch wody sugerował czynności wiosłowania za pomocą płetw. Kiedy MacVarish zapalił silnik, aby zbliżyć się do zwierzęcia, stworzenie odpłynęło na głębszą wodę i zniknęło z pola widzenia. (MacVarish widział później kilka garbów oraz wywoływane przez nie fale).

Następny sezon letni jest punktem zwrotnym w historii Moraga. Chodzi o wydarzenie, które poznamy za chwilę. Najpierw przyjrzyjmy się dwóm ciekawym relacjom z zatoki Moeble z lipca 1969 roku. Bob Duff, który systematycznie odwiedzał Loch Morar, płynął przez zatokę z szybkością około dwóch węzłów. Woda była w tym rejonie tak czysta, że na głębokości około pięciu metrów widać było wyraźnie liście leżące na białym piaszczystym dnie. Wyjrzawszy zza burty,

„Duff ujrzał coś, co określił jako leżącą na dnie potworną jaszczurkę. Nie miała ona więcej niż sześć metrów długości, była nieruchoma i patrzyła na niego z dołu. Powodowany szokiem, Duff zwiększył obroty i umknął stamtąd tak szybko, jak to tylko było możliwe, wskutek czego zachował tylko migawkowy obraz tego stworzenia. Jak wynika z jego opowiadania i wykonanego przezeń rysunku, wyraźnie widział on tylko przednią część zwierzęcia. Wężową głowę charakteryzowała szeroka paszcza i wąskie szparki oczu. Wskutek obserwacji z góry szyja była raczej niewidoczna, co uniemożliwiało ocenę jej długości. Zwierzę miało cztery odnóża, z których przednie z całą pewnością zakończone były trójpalczasto. Korpus, części tylne oraz ogon widać było tylko bardzo niewyraźnie. Stworzenie miało kolor ciemnobrązowy, szorstką skórę, fakturą przypominającą wypalony żużel".

Kiedy Duff, opanowawszy nerwy, zawrócił, by je odnaleźć, zwierzęcia już nie było. Niemniej jednak w kilka tygodni później sklepikarz z Mallaig, wyglądając za burtę łodzi przepływającej niemal w tym samym miejscu, ujrzał na dnie niewyraźny zielony kształt. Był przekonany, że jest to coś niezwykłego, lecz jego bojaźliwy przyjaciel nie zgodził się zatrzymać i zbadać dokładniej tajemniczej istoty.

Są to wyjątkowo interesujące relacje, a zwłaszcza wzmianka Duffa na temat trzech palców u przednich odnóży zwierzęcia. Jest szczegół znany nam już z Loch Ness, a spotkamy go również i w przyszłości. Swojsko także wyglądają wąskie szparki oczu stworzenia. Na Loch Ness zaobserwowano, że zwierzę pojawia się najczęściej na płytkiej wodzie, w pobliżu rzecznych ujść. Nic zresztą dziwnego, że ów fokopodobny rozbójnik w takich właśnie miejscach zasadza się na zmierzające w górę rzek i strumieni pstrągi, łososie i węgorze. Teoria ta umożliwiła zresztą Malcolmowi Irvine'owi nakręcenie filmów na Loch Ness. Było więc oczywiste, że należy wykorzystać zwyczaje potwora, organizując stałe patrolowanie zatoki Moeble, działania te nie przyniosły rezultatu. Kiedy nad Loch Morar powstał odpowiednik Biura

Badawczego Loch Ness, to jego działanie było podobne. Znów stanowiska kamer usytuowano wzdłuż brzegu, co przecież już uprzednio nie zdało egzaminu. Jedno z nich znalazło się co prawda w zatoce Moeble, ale zorganizowane tak, że kamera śledziła raczej odległy koniec jeziora aniżeli samą zatokę.

Zaangażowanie zespołu znad Loch Morar wydatnie wzrosło wskutek sensacyjnej przygody dwóch mężczyzn. Zdarzyło się to wieczorem 16 sierpnia 1969 roku. Duncan MacDonnell i William Simpson powracali motorówką z wędkarskiej wyprawy. Dochodziła dziewiąta, gdy mijali wysepki leżące w zachodniej części jeziora. Na prymusie gotowała się woda na herbatę. Usłyszawszy jakiś hałas za rufą, MacDonnell odwrócił się i w odległości około dwudziestu metrów ujrzał zmierzające w ich kierunku duże zwierzę, które za chwilę uderzyło w motorówkę. Później MacDonnell doszedł do wniosku, że nie był to atak zamierzony. Z prymusa spadł czajnik z wodą, więc Simpson wskoczył do kabiny, żeby wyłączyć gaz. Tymczasem MacDonnell usiłował odpędzić zwierzę za pomocą starego wiosła, które mu pękło w rękach. Korpus zwierzęcia był w dotyku całkiem solidny i nie ustępował pod razami. W tym momencie pojawił się Simpson z naładowaną strzelbą i wypalił do zwierzęcia, które zwaliło się za rufę i zniknęło im z oczu.

A oto co zaobserwowali dwaj wędkarze: zwierzę miało osiem do dziesięciu metrów długości i trzy garby (albo też wygięcia grzbietu powstałe wskutek falowania ciała) oraz chropowatą, brudnobrązową skórę. W czasie wymachiwania wiosłem MacDonnell dostrzegł czubek wężowej głowy zwierzęcia. Wystawał on pół metra nad wodą i miał szerokości około trzydziestu centymetrów.

Duncan MacDonnell nie po raz pierwszy w życiu zobaczył potwora. Poprzednio widział szyję i głowę, a innym razem komplet garbów. Nie miał większej ochoty rozwodzić się nad tymi zdarzeniami na użytek ośrodka badawczego nad Loch Morar, z którego archiwum zaczerpnęliśmy powyższe dane, twierdząc, że wielu innych ludzi miałoby również o czym opowiadać, ale tego nie czyni, aby nie uchodzić za kłamców.

Ostrożność MacDonnella była usprawiedliwiona sensacyjnym sposobem, w jaki agencja informacyjna opisała jego i tak przecież przerażającą przygodę. O zdarzeniu tym wszyscy dowiedzieli się z depeszy agencyjnej UPI, którą zamieściła prasa całego świata. A więc w ujęciu tej enuncjacji zdarzenie było jeszcze bardziej dramatyczne niż w rzeczywistości: rozwścieczony potwór odgryzł koniec wiosła, a sam zionął wielką dziurą w swym boku, bo został postrzelony przez Simpsona. Amerykanizmy tego tekstu zdradzają pióro żądnego sensacji nowojorskiego redaktora. Depesza jest typowym przykładem waty wypełniającej tylne strony gazet dla ubarwienia codziennego serwisu wiadomości. Roi się od podobnych, nie w pełni autentycznych historyjek. Ostrożny czytelnik będzie je mógł potraktować jako pikantne ciekawostki. Pamiętajmy jednak, że MacDonnell i Simpson naprawdę widzieli potwora z Loch Morar, niezależnie od owych późniejszych sensacyjnych domieszek.

W latach 1970-1972 ośrodek obserwacyjny nad Loch Morar zorganizował własne badania jeziora. Trzykrotnie członkowie zespołu widzieli duży garb (przy drugiej okazji spóźniając się ze zrobieniem zdjęcia). Pełny protokół z tych badań znajduje się w książce pod tytułem The Search for Morag (W poszukiwaniu Moraga) Elisabeth Montgomery Campbell i Davida Solomona. Obecnie zespół znad Loch Morar tymczasowo zawiesił działalność. Zdano sobie bowiem sprawę z tego, że pożądane wyniki może przynieść tylko należycie sfinansowana i ciesząca się oficjalnym poparciem wyprawa naukowa. Taki jest dotychczasowy stan naszej wiedzy o Loch Morar.

Największe, jak wiemy, zainteresowanie badaczy wzbudziło Loch Ness i przynajmniej tam osiągnięto pewien postęp w kierunku rozwiązania zagadki. Jednakowoż nie można odrzucić czy zlekceważyć wszystkich tych fragmentarycznych, drobnych, dziwacznych informacji, pochodzących z innych szkockich jezior.

Można by dowodzić, że legenda o koniu morskim stawia w wątpliwym świetle współczesne relacje o potworach, które należałoby uznać za skutek ulegania sugestiom płynącym z tych zamierzchłych przekazów. Jest chyba przeciwnie: to właśnie dzisiejsze raporty dowodzą prawdziwości starych podań o Kelpiem i wodnym koniu. Gdziekolwiek więc znajdujemy podobne legendy o potworach, oznacza, że trafiamy na trop jakiegoś nieznanego zwierzęcia.

Ludzie-zwierzęta

Pierwsza relacja na temat tego typu stworzeń pochodzi z roku 1161, kiedy to pewnego dnia podczas sztormowej pogody angielscy rybacy u wybrzeży Oxfordu w hrabstwie Suffolk złapali w swoje sieci, jak to określili, „dzikiego człowieka". Angielski historyk tamtych czasów, Ralph z Coggshall opisał to stworzenie słowami: „Wszystkie członki jego ciała przypominały ludzkie. Głowę pokrywały długie i gęste włosy, miał też długą, szpiczastą brodę. Piersi stwora były porośnięte bujną i szostką w dotyku szczeciną".

Rybacy natychmiast zabrali swoją zdobycz do pana na zamku oksfordzkim, który to zdecydował przetrzymać stwora przez pewien czas. Nakazał też swoim żołnierzom torturować go, aby nakłonić do mówienia. Przez ten czas „dziki człowiek", jak nazwano stwora, karmiony był surowym mięsem oraz rybami, które rozgniatał w dłoniach przed zjedzeniem. Po pewnym czasie postanowiono przenieść go do morza, tak aby można było obserwować stworzenie w jego naturalnym środowisku. Pomimo specjalnie skonstruowanej do tego celu sieci o potrójnym splocie, „dziki człowiek" zdołał się uwolnić i odpłynął. Niebawem jednak powrócił znowu w tamte okolice, aby dobrowolnie oddać się w niewolę. W końcu, jak podaje Ralph z Coggshall, „znużony swym samotnym życiem zbiegł do morza i słuch o nim zaginął".

Pomimo pewnych podobieństw przytoczonej powyżej starej opowieści ludowej do współczesnych relacji na temat ludzi-zwierząt, występuje między nimi wiele różnic. 21 sierpnia 1955 roku w okolicach miasteczka Dogtown w stanie Indiana wydarzył się dziwny i niewytłumaczalny wypadek. Dwie mieszkanki pobliskiego Evansville, Darwin Johnson i Chris Lamble, pływały w rzece Ohio, około pięciu metrów od brzegu, gdy nagle coś podpłynęło z tyłu do pani Johnson i chwyciło ją za lewą nogę. Nie mogąc nic spostrzec, jako że napastnik poruszał się pod wodą, poczuła jednak owłosioną i uzbrojoną w pazury dłoń zaciskającą się na jej kolanie. Zaraz potem mocnym pociągnięciem została wciągnięta pod wodę. Broniąc się resztkami sił zdołała wypłynąć na powierzchnię, po czym znów zniknęła pod wodą.W tym czasie jej towarzyszka, choć sama nie była zagroona siedząc bezpiecznie w pontonie, zaczęła głośno krzyczeć myśląc, że w ten sposób wystraszy napastnika. Wynurzając się po raz kolejny z wody, pani Johnson chwyciła się pontonu i zdołała uderzyć nogą swojego prześladowcę. „Dopiero wtedy – jak przyznała poszkodowana – poczułam, że uścisk na nodze rozluźnił się na tyle, że mogłam się wyswobodzić". Po dopłynięciu czym prędzej do brzegu, przyjaciółka pomogła opatrzyć jej nogę, w której odczuwała dziwny, kłujący ból. Wezwany na miejsce wypadku lekarz udzielił jej pierwszej pomocy oraz podał środki uspokajające, jako że pani Johnson dostała na skutek przykrego zajścia ataku histerii. Przez kilka dni po tym wypadku na nodze poszkodowanej dał się zauważyć wyraźny siniak zielonego koloru. Nikt więcej nie zobaczył już tego tajemniczego stworzenia, lecz ofiara napaści powiedziała po wypadku: „Cokolwiek mogło to być, miało bardzo silny uścisk i było na całym ciele pokryte owłosieniem. Jestem pewna jednak, że już nigdy więcej nie będą kąpała się w tej rzece".

Historię tę opisano na drugi dzień w lokalnej gazecie „Evansville Press". Zaraz potem zgłosiło się kilka osób, które twierdziły jakoby zaobserwowały połyskujący przedmiot o owalnym kształcie unoszący się około stu metrów nad ziemią w czasie odpowiadającym opisanemu wydarzeniu. W jakiś czas potem państwo Johnson byli szczegółowo przesłuchani przez przedstawiciela Amerykańskich Sił Powietrznych w randze pułkownika, który nakazał im nie rozgłaszać publicznie okoliczności tego wydarzenia.

Kolejny tego typu przypadek przytrafił się 7 listopada 1969 roku Charlesowi Buchanan, który biwakował na brzegu jeziora Worth w Texasie. Obudził się on około drugiej w nocy i ku swemu przerażeniu zobaczył nad sobą owłosionego stwora, który wyglądał jak skrzyżowanie istoty ludzkiej i goryla. Buchanan, który spał w swojej furgonetce, został natychmiast zrzucony przez bestię na ziemię. Niewiele myśląc złapał torbę, w której znajdowały się resztki kurczaka z kolacji, i rzucił ją w stronę napastnika. Stworzenie pośpiesznie włożyło zawartość torby do pyska i wydając gardłowe dźwięki oddalił się w stronę rzeki. Wskoczył następnie do wody i zaczął niezwykle sprawnie płynąć w kierunku położonej nieopodal wyspy Greer, rozgarniając wodę mocnymi pociągnięciami ramion.

Najlepiej udokumentowany przypadek spotkania z człekokształtnym stworem miał miejsce tuż po północy 25 czerwca 1977 roku niedaleko miasta Murphysboro w południowo-zachodniej części stanu Illinois. Randy Needham i Judy Johnson, których jacht zakotwiczony był w pobliskiej przystani, skąd można było dopłynąć rzeką do miasta, zostało nagle przerażonych niezwykłymi krzykami i wrzaskami dobiegającymi z pobliskiego lasu. „Okrzyk ten – zgodzili się później – był kilka razy głośniejszy od tego, jaki wydaje dziki ryś amerykański, często występujący w tych okolicach. Ten wrzask jednak był w o wiele niższym tonie". Nagle oczom przerażonych ludzi ukazało się stworzenie, które niezdarnym krokiem na tylnych kończynach zbliżało się do nich, w dalszym ciągu wydając coraz bardziej potworne wrzaski o zmieniających się tonach. Nie był to z pewnością ludzki głos.

Randy i Judy zgodnie opisali wygląd stworzenia. Miało ono około siedniu stóp wysokości, natomiast krótka szczecina okrywająca całe jego ciało pokryta była szlamem i błotem.

Kiedy odległość między ludźmi a stworem zmniejszyła się do około siedmiu metrów, przestraszona jego widokiem para czym prędzej oddaliła się i oboje pobiegli do pobliskiego posterunku policji w Murphysboro.

Meryl Lindsey i Jimmie Nah – oficerowie będący w tym czasie na służbie, udali się niezwłocznie na miejsce i jak stwierdzili w raporcie służbowym, odnaleźli odciski stóp pozostawione na grząskim podłożu. Wymiary tych śladów wynosiły w przybliżeniu dwadzieścia pięć centymetrów długości i osiem szerokości. Randy – jeden ze świadków spotkania ze stworem – opisał te ślady twierdząc, że mógł pozostawić je ktoś, kto miał na sobie buty. Wiadomo jednak, że napotkane stworzenie nie nosiło butów, natomiast odciski palców u stóp mogły nie pozostawić śladu na miękkim gruncie.

O godzinie drugiej w nocy Nash Lindsey, Needham oraz zastępca szeryfa Bob Scott powrócili na to samo miejsce. Również i tym razem odkryli nowe ślady, które w dużym stopniu przypominały poprzednio opisane w raporcie. Były one jednak nieco mniejsze i głębiej odciśnięte. Policyjny raport stwierdził tym razem pewien zastanawiający szczegół. Rozmieszczenie odcisków stóp w błotnistym gruncie było dość dziwne, jako że nie znaleziono ani jednej pary śladów, która byłaby pozostawiona w jednakowej odległości jeden od drugiego. Niektóre oddalone były od siebie o półtora metra, a czasami można było znaleźć kilka tuż obok siebie.

Kiedy Lindsey poszedł po aparat fotograficzny, aby utrwalić te ślady jako dowód, pozostała trójka mężczyzn podążyła za nimi. Kiedy byli pochyleni, aby móc dokładniej przyjrzeć się odciskom stóp, dobiegł do nich „najbardziej niesamowity i okropny wrzask, jaki kiedykolwiek słyszeli", jak określił to później Nash. Prawdopodobnie stwór ukryty był w pobliskich drzewach oddalonych nie więcej niż sto metrów od ludzi. Po krótkim namyśle postanowiono wycofać się do samochodu policyjnego. Po kilku godzinach dobiegł ich odgłos jakby rozpryskiwanej wody. W ciągu dnia nie odnaleziono już więcej śladów, lecz wraz z nastaniem zmroku stwór znów powrócił.

Pierwszą osobą, która go ujrzała tego wieczoru był czteroletni Christian Baril, który powiedział swoim rodzicom, że zobaczył „białego ducha przed domem". Naturalnie nikt nie dał wiary jego słowom, lecz około dziesięciu minut później, kiedy Randy Creath i Cheryl Ray zobaczyli w tym samym miejscu postać podobną do tej opisanej przez malca, rodzice chłopca i policja szybko zmienili zdanie.

Około godziny 22.30 Randy i Cheryl siedzieli na werandzie z tyłu domu Cheryl, gdy usłyszeli jakby coś przedzierało się przez drzewa rosnące za wysoką trawą. Oczom ich ukazał się stwór, który wyszedł już z ukrycia i patrzył teraz na nich świecącymi, różowymi oczami. W rozmowie Cheryl podkreślała, że oczy potwora świeciły własnym a nie odbitym światłem, jako że dookoła panowała ciemność i w związku z tym nic nie mogło wywołać efektu odbicia światła w oczach stworzenia.

Był to prawdopodobnie ten sam lub bardzo podobny stwór do tego, jakiego poprzedniej nocy napotkali Randy i Judy. Był jasnego koloru, lecz o przybrudzonym owłosieniu na całym ciele. Waga tej istoty mogła dochodzić do 150 kilogramów, a w postawie wyprostowanej mógł mierzyć ponad dwa metry wysokości. Miał również dużą, okrągłą głowę. Cheryl sugerowała, że ramiona stwora mogły mieć podobną długość jak u małpy człekokształtnej, lecz nie miała pewności, jako że stwór stał w trawie sięgającej mu do pasa.

Randy zbliżył się nieco, aby dokładniej móc przyjrzeć się postaci, natomiast Cheryl weszła do domu, aby zapalić światło na werandzie. Nie było ono jednak na tyle jasne, aby móc zobaczyć coś więcej niż poprzedno. W końcu po pewnym czasie stwór oddalił się i zniknął wśród drzew, czyniąc przy tym dość znaczny hałas.

W jakiś czas później, gdy przeszukiwano to miejsce, odkryto ślady przygniecionych i podeptanych chwastów oraz połamanych krzaków. Były równie ślady pozostawione na ziemi chociaż zbyt słabe, aby móc zrobić z nich gipsowe odlewy.

Matka Cheryl, pani Harry Ray, zadzwoniła po policję i w czasie, gdy wszyscy czekali na jej przybycie, poczuli dobiegający ich niezwykle silny odór, który przypominał ścieki. Przykry zapach utrzymywał się jeszcze przez pewien czas a wkrótce oficerowie Nash i Ronald Manwaring zatrzymali się przed domem państwa Ray. Późniejsze wypadki zostały szczegółowo opisane w sprawozdaniu Lorena Colemana: „Policjanci przeszukujący teren, na którym widziano stwora, odkryli połamane bądź przygniecione krzewy i chwasty oraz coś w rodzaju ścieżki zrobionej przez kogoś, kto tamtędy przechodził. Na miejsce wypadku został sprowadzony pies, który był specjalnie przeszkolony w odnajdywaniu i tropieniu śladów. Pies niezwłocznie pobiegł za tropem w dół zbocza, gdzie ostatnio widziano stworzenie. Po drodze znajdowano resztki dziwnej substancji przypominającej szlam. Pozostawiona była ona w miejscach przez które z pewnością przechodziło dziwne stworzenie. Za każdym razem, gdy pies odkrywał pozostawiony szlam zatrzymywał się i był zdezorientowany. Przewodnik psa Jerry Nellis stwierdził rozcierając dziwną maź w dłoni, że jest ona czarna i pozostawia takie same plamy na skórze.

Kiedy policjanci zeszli już ze zbocza, podążyli dalej dookoła pobliskiego stawu, aż do położonej nieco na południe gęsto zalesionej skarpy, w które to miejsce próbował pójść pies. Ponieważ okolica była bardzo trudna do tropienia, Nellis wraz z psem wrócili do samochodu policyjnego, natomiast pozostali ludzie za pomocą latarek przeszukali dokładnie cały teren.

Oficer Nash i Jerry Nellis wraz z psem podążyli następnie dalej w kierunku południowym, zaczynając od miejsca, gdzie przerwano poszukiwania. Był to teren położony na końcu drogi prowadzącej na zachód za skrętem w drogę Westwood Hills. Byli około kilometra na południe od stawu za Westwood Lane.

Nellis i pies zaczęli ponownie przeszukiwać okolice, aby sprawdzić czy pies na nowo podejmie trop. Doszli wreszcie do opuszczonej szopy, gdzie Nellis wezwał oficera Nasha, jako że pies zachowywał się dziwnie i nie chciał wejść do środka. Kiedy wepchnięto go na siłę do szopy, pies zdołał uciec a dwaj mężczyźni przeszukali szopę, niczego jednak nie znajdując. Nellis zdziwiony zauważył, że pies był specjalnie szkolony do przeszukiwania budynków i nigdy przedtem nic nie wywołało u niego podobnej reakcji. Nie potrafiono znaleźć logicznego i zadowalającego wyjaśnienia, dlaczego pies nie chciał wejść do środka ani czego się przestraszył. Pozostali oficerowie kontynuowali poszukiwania, lecz nie mogli już odnaleźć śladów tajemniczego stworzenia".

Doniesienia o pojawieniu się potwora z Murphysboro zanotowano jeszcze dwa razy w roku 1973. Wieczorem, podczas obchodów święta 4 lipca, w parku miejskim nieopodal rzeki, obsługa, twierdziła, że widziała podobnego stwora, gdy ten obserwował znajdujące się nieopodal kucyki. Trzy dni później, 7 lipca Nedra Green usłyszała głośny i przerażający wrzask, który dochodził ze stodoły położonej na jej farmie. Nie wyszła jednak, aby sprawdzić pochodzenie tego niesamowitego odgłosu.

Stwór pojawiał się jeszcze kilka razy w lipcu w latach 1974 i 1975.

Cóż więc to było? Władze lokalne przyznają otwarcie, że nie mają pojęcia. Szef miejscowej policji Toby Berger stwierdził: „Wiele rzeczy w życiu pozostaje na zawsze zagadką i to jest właśnie jedna z nich. Nie wiemy, kim był tajemniczy stwór, nie ma jednak żadnych podstaw, by nie dać wiary naocznym świadkom tych zdarzeń. Wszyscy ci ludzie to porządni i uczciwie obywatele. Z pewnością widzieli coś, co naprawdę istnieje. Czy był to niesmaczny kawał? Któż dla kawału przebierałby się i przechodził przez kanały ściekowe?"

Soe-Orm i *Skrimsl*

Skandynawowie od zamierzchłych czasów uważali istnienie potworów jezior za rzecz całkowicie naturalną. W 1765 roku korespondenta „The Gentelman's Magazine" zaskoczyły poglądy Szwedów na temat wodnych potworów: „Po Sztokholmie krążą pogłoski, że w pobliskim jeziorze gnieździ się wielki smok Necker, który chwyta i pożera kąpiących się tam chłopców". W związku z tym pewnego upalnego dnia wierni próbowali odwieść biskupa M. Hueta z Avranches od zamiaru pływania w jeziorze Malern. Dzielny duchowny nie dał się jednak powstrzymać i „wszyscy byli nad wyraz zaskoczeni widząc, że z tej opresji wraca cały i zdrowy".

Mimo, że biskup Huet nie spotkał Neckera – nordyckiego odpowiednika *piasta* czy wodnego konia – to jednak potomstwo potwora przetrwało do dziś, nie tylko w szwedzkich jeziorach, ale także gdzie indziej – w Islandii i Norwegii.

Na długo przed rokiem 1765 Skandynawia uchodziła za obszar nawiedzany przez węża morskiego, zwanego norweskim wężem morskim, czyli *Soe-Ormem*. Wikingowie ozdabiali dzioby swych statków rzeźbami straszliwych smoków o haczykowatych pyskach i długich szyjach (przykładem – statek z Gokstad). Słynna łódź Wikingów nosiła nazwę „Morski Smok". Tradycja ta podtrzymywana jest do dziś. Niedawno zwodowana szwedzka łódź podwodna została ochrzczona mianem „Węża Morskiego".

W mitologii nordyckiej znajdujemy legendy o bohaterach uśmiercających wodne potwory, jak na przykład opowieść o Sigurze zabijającym Fafnira. Legendy te stały się inspiracją dla angielskiego duchownego, twórcy poematu Beowulf, pełnego złowrogich potworów czyhających na moczarach. Badacze zwrócili uwagę, że dla pierwszych odbiorców tego poematu potwory, o których opowiada autor, były czymś zupełnie realnym. Poza Grendal i jej potomstwem poeta wspomina niemal mimochodem „owe stworzenia, które muszą pływać w lodowatych prądach odrażających jezior", co odebrać można jako oczywistą aluzję do jakichś ciepłokrwistych potworów żyjących w jeziorach, podobnie jak wzmiankę o prawdziwych wężach morskich, które swymi zwyczajami bardzo przypominają foki.

Z drugiej strony, dysponujemy jedynie tak niepewnymi wzmiankami o tych zwierzętach jak legenda o bogu Thorze, łowiącym węża Midgarda. Na znalezionych w szwedzkim mieście Uland pamiątkowych płytach widzimy rycerzy walczących ze sztucznymi potworami, wykonanymi z wikliny, takimi jak te, których jeszcze do niedawna w wielu europejskich miastach w dniu św. Jerzego używano w inscenizacjach jego walki ze smokiem. Ludowe widowiska to ostatnie ślady dawnego obrzędu, z którego wywodzi się cała smocza mitologia. Figury dziobowe stały się z czasem symbolem mitycznych potworów, ale pierwotnie z całą pewnością spełniały funkcje totemiczne, chroniły przed atakiem węża morskiego.

Najwcześniejsze wiarygodne relacje o wężu morskim, pochodzące od poważnych świadków, zanotował w *Natural History of Norway* (*Przyrodzie Norwegii*, 1752) biskup Erik Pontoppidan. Wyznaje on tam również, że „nie lekceważyłby tego, co się opowiada o wężach wodnych, widywanych w jeziorach śródlądowych (ze stworzeń tych słyną zwłaszcza Uland i Sundifjord), po których okoliczna ludność nie ma odwagi pływać łodziami".

Historyk Olaus Magnus już w 1555 roku pisał o potworach w fundamentalnym dziele o ludności Skandynawii: „W mieście Moos (a konkretnie w jeziorze Mjosa) żyje też inny wąż niewiarygodnej wielkości. Potwór ten – podobnie jak kometa, która zwiastuje zmiany na całym świecie – zapowiada poważne wydarzenia w królestwie Norwegii. Węża widziano w roku 1522. Unosił się wysoko ponad wodą i toczył jak kula. Miał podobno pięćdziesiąt łokci długości (dwadzieścia pięć metrów). Po jego pojawieniu się król Christiernus został skazany na banicję i odbył się sąd nad biskupami; była to również zapowiedź zniszczenia Countrey".

Olaus zauważa również, że „wąż morski wychodzi ze swych jaskiń tylko w czasie letnich nocy i przy pięknej pogodzie, a czyni to, by pożerać cielęta, jagnięta i świnie". Przypomina to potwora połykającego kozła, o którym mówią Arthur Grant, a także kojarzy się z rozważaniami Oudemansa z 1934 roku. W roku 1884 pewien holenderski dziennikarz po powrocie z Norwegii opowiadał Oudemansowi, że występujące czasem na powierzchni jeziora Mjosa dziwne falowanie tamtejsza ludność przypisuje przemieszczaniu się „węża morskiego", który wciąż jeszcze jest widywany.

Norweska folklorystka Elisabeth Skjelsvik, po przejrzeniu mnóstwa najstarszych skandynawskich ksiąg oraz lokalnych kronik, zebrała legendy również na temat innych jezior. W *Hammer Chronicle* (*Kronice diecezji Hammer*) na przykład, obejmującej lata 1617-1624, znajdujemy jeszcze jedną wzmiankę o potworze z jeziora Mjosa, tym razem zwiastującego uwięzienie przez luteran ostatniego norweskiego biskupa katolickiego. O tym samym potworze wspomina też Jacob Ziegler w dziele Schondia (1532), gdzie mówi, że pojawianie się zwierzęcia zapowiadało zmiany w królestwie Norwegii, tak jak się to zdarzyło przed śmiercią króla Christiana II. „Jego ciało – pisze Sklelsvik – mieniło się wszystkimi barwami, a oczy były jak wielkie obręcze". Potwór żyjący w głębinie jeziora Lunda w Dalane, na granicy Rogolandem, również pokazywał się przed zgonami norweskich królów. Wydaje się jednak, że był on raczej konserwatystą, gdyż za panowania Bernadotte'ów przestał się pojawiać.

Tak to wyglądało w legendach. W Islandii zetkniemy się z bogatszym materiałem na temat potworów. Jak twierdzi Boswell, doktor Johnson znał na pamięć cały rozdział Przyrody Islandii, który brzmiał następująco: „W Islandii węże nie występują". Tę omyłkę natury naprawił *skrimsl*.

Znali go już pierwsi norwescy osadnicy, ponieważ wspomina o nim *The Landanamabok*, historia wczesnej Islandii, a także kilka sag. *Kronika Islandii* odnotowuje pojawienie się w roku 1345 „w Lagarflot czegoś zdumiewającego, co jest uznawane za żywe stworzenie. Raz wygląda to jak duża wyspa, kiedy indziej znów pojawiają się oddzielone wodą garby. Nikt nie zna prawdziwych rozmiarów tego stworzenia ponieważ nikt nie widział ani jego łba, ani ogona, nie ma zatem pewności, czy ono w ogóle istnieje". Lagarflot jest słodkowodnym jeziorem o wydłużonym kształcie, leżącym we wschodniej Islandii.

Jon Arnarson przytacza w *Thjoth Sogur* opis *skrimsla*, przekazany mu przez naocznych świadków, którzy go widzieli w Lagarflot w latach 1749-1750. Byli to ludzie wykształceni, a wśród nich prawnik o imieniu Peter wraz z dwoma znajomymi.

„Przyrównali oni wielkość potwora do rozmiarów sporego, szybko poruszającego się statku. Po dokonaniu obserwacji mężczyźni udali się pod wieczór do farmy Arneither-stede, gdzie opowiedzieli o swych przeżyciach. W tym czasie potwór wynurzył się z jeziora naprzeciwko farmy. Był chyba bardzo długi i odsłaniał okazały garb. Jednemu z patrzących wydało się, że pod powierzchnią dostrzega poruszający się ogon potwora. Stworzenie to widzieli wszyscy bez wyjątku pracownicy farmy. Później zaś mieszkańcy Hrafnagorthis mogli przez cały dzień obserwować trzy wynurzone z wody garby".

Po jakimś czasie na powierzchni Lagarflot widziano tajemnicze zwierzę ponownie, a po raz kolejny – w roku 1819, także w pobliżu farmy Arneither-stede.

Należy pamiętać, że w tamtych czasach Islandia była odizolowana od świata i zamieszkała przez nieliczną ludność, żyjącą głównie w oddalonych od siebie farmach. Społeczność ta jednak bardzo sobie ceniła zdobywanie i przekazywanie informacji, dzięki czemu mamy dziś możliwość poznania tych historii.

W roku 1860 dwudziestodziewięcioletni badacz starych sag oraz członek Norweskiego Towarzystwa Literackiego, wielebny Sabine Baring-Gould, objeżdżał odległe zakątki Islandii, malując akwarelami wulkany, gejzery i lodowce. Pod koniec podróży przybył pewnego wieczoru do niewielkiej prowincjonalnej osady.

„Ku naszej obopólnej radości spotkaliśmy się w Skogkotr z Martinem i pewnym Jankesem, którzy wrócili właśnie ze Skoradalsvatn, gdzie spędzili tydzień na łowieniu ryb. Mieli oni wiele informacji na temat pojawiania się skrimsla, półbaśniowego potwora, który rzekomo zamieszkuje islandzkie jeziora i uważany jest powszechnie za wytwór wyobraźni. Tak się złożyło, że na dzień przed ich przybyciem nad jezioro na jego powierzchni widziano figlującego potwora, dzięki czemu zdobyli sporo ciekawych wiadomości na jego temat. Pewnego ranka farmer i jego rodzina dostrzegli podnoszącą się z wody wielką głowę, która przypominała łeb foki. Za nią pojawił się grzbiet albo garb, a dalej – następny. Stworzenie poruszało się leniwie, jakby rozkoszując się słońcem".

Jeden z tych dwóch podróżników, którzy byli nad Lagarflot, przesłał Baring-Gouldowi następujący opis zwierzęcia: „*Skrimsl* mierzy czternaście metrów długości, jego szyja metr osiemdziesiąt, korpus sześć metrów siedemdziesiąt, a ogon pięć i pół metra. Jest to ocena farmerów mieszkających nad brzegami jeziora. Potwora widziano w przeddzień naszego przyjazdu do Grudd. Opowiadanie miejscowego farmera, a także jego opis były tak zajmujące, że zaczęliśmy rozpytywać dokoła o dalsze szczegóły i dzięki temu natrafiliśmy na kilka osób, które również widziały potwora.

W jednym wypadku obserwowało go trzech miejscowych farmerów. Dwóm z nich zadałem pytania na ten temat. Jeden pokazał mi swój szkic, który wykonał, w czasie gdy zwierzę baraszkowało na powierzchni, co trwało pół godziny.

Całą historię włożyłbym między bajki, gdyby nie to, że wszystkie relacje zgadzały się ze sobą bardzo dokładnie oraz że potwora widziano podobno nie tylko w jednej części jeziora, ale także i w innych jego miejscach".

Szkic, o którym mówi relacja, znalazł się w książce Baringa-Goulda. Ten naiwny rysunek ma wielką wartość jako dowód, gdyż jest najwcześniejszym znanym nam świadectwem istnienia potwora, i to wykonanym przez człowieka, który nie miał najmniejszego pojęcia o wyglądzie innych wężów morskich. Mimo że widzimy tam głowę i garby wspomniane w opisach, to jednak szyja jest chyba zbyt krótka; nie pasują też do relacji farmera proporcje zwierzęcia przedstawione na szkicu. Jednak para wspaniałych wąsów sugeruje, że mamy do czynienia ze ssakiem i że można by się domyślać jego pokrewieństwa z foką lub wydrą.

Należy dodać, że inne dowody świadczą o występowaniu w przybrzeżnych wodach Skandynawii dwóch rodzajów węży morskich: typu o długiej szyi, tak dobrze nam znanego z Loch Ness, i drugiego – z długim, ostro zakończonym ogonem (jak to widzimy na rysunku farmera) i krótką szyją, przypominającego superwydrę Heuvelmansa. Jest zupełnie prawdopodobne, że ten drugi typ przedostał się w jakiś sposób do islandzkiego jeziora.

Po powrocie do Reykjaviku Baring-Gould poszerzył swą wiedzę o *skrimslu* dzięki islandzkiemu naukowcowi, doktorowi Hjaltalinowi, który zwierzył mu się, że przez wiele lat uważał to zwierzę za stworzenie bajkowe. Zmienił jednak zdanie, gdy obejrzał szczątki i kości wyrzucone na brzeg jeziora Lagarflot. Otóż kości te w niczym nie przypominały wieloryba i Hjaltalin nie potrafił skojarzyć ich z żadnym innym znanym zwierzęciem morskim, żyjącym w północnych wodach.

Hjaltalin był prawdopodobnie jedynym naukowcem, który kiedykolwiek badał szczątki rzekomego monstrum z jeziora. Ciekawe też, co się z nimi stało oraz czy uczony opublikował gdzieś ich opis. Chociaż doktor Hjaltalin należał do czołowych islandzkich intelektualistów tamtych czasów, należy przypuszczać, że nie napisał na ten temat nic, a same szczątki dawno już gdzieś przepadły.

Jeden z następców Pontoppidana na biskupstwie w Bergen, doktor Neuman, również był przyrodnikiem. W latach 1820-1845 przeprowadził wśród podległego mu duchowieństwa wywiady na temat pojawiania się węży morskich.

Norwegowie posunęli się aż do przeprowadzenia sądowych dochodzeń w sprawie relacji na temat węży morskich. W tym celu wzywano naocznych świadków, aby przedstawiali dokładne sprawozdania z tych wydarzeń. Jedna z takich wypraw odbyła się w lipcu 1867 roku. Chodziło tu o dokonaną przez kilka osób obserwację potwora w jeziorze Mannesfjord. Zeznania świadków przed sądem niczego jednak konkretnego nie przyniosły.

Precedens ten sprawił, że dochodzenia sądowe weszły w zwyczaj, dzięki czemu nasza dzisiejsza wiedza na temat wielu norweskich jezior opiera się nie na jakich pogłoskach, ale „na świadectwie danym przez powszechnie znane i szanowane osoby różnych profesji". Niebawem duch naukowości, jakim przeniknięta była atmosfera ubiegłego stulecia, sprawił, że kilku uczonych podjęło nawet w tej dziedzinie własne badania. Do tego jednak powrócimy później.

Jedno z dochodzeń przeprowadzono w sprawie relacji o potworze z Lake Suldal, podłużnego górskiego jeziora w norweskim okręgu Rogoland. Nadeszła stamtąd wiadomość o stworzeniu mającym wielkość szarobrązowej wysepki, błyszczącym jak gdyby było pokryte śluzem. Inni widzieli czarne zwierzę z białymi dodatkami, rozmiarami dorównujące czterowiosłowej łodzi. Dodatkowe szczegóły to „spiczasty jak miechy" łeb oraz duże oczy. Relacje stanowiły mieszaninę prawdopodobieństwa z fantazją. Jeden człowiek zeznał, że kiedy wiosłował przez jezioro, sto metrów od niego pojawiła się ciemna głowa o wielkich oczach, która zniknęła w chwili gdy dopłynął do brzegu. Ktoś inny opowiadał, że stworzenie to chwyciło go za ramię, a puściło dopiero wówczas, gdy odmówił modlitwę. Całą rękę pokrytą miał śluzem. Tego typu nieprawdopodobne relacje szerzyły w okolicy niepokój.

Latem 1892 roku nad jezioro przybył okręgowy inspektor szkolny, A. J. Olsen (jednocześnie przewodniczący zarządu muzeum w Stavanger), który wprowadzony w sprawę przez zaufanych przyjaciół, zapragnął zbadać ją osobiście. Podejrzewając, że rzekome obserwacje potwora można objaśnić złudzeniem, postanowił dotrzeć do źródeł relacji. Osoby, z którymi rozmawiał, zgodne były co do tego, że działo się to zazwyczaj przy ciepłej pogodzie i spokojnym jeziorze: woda zaczynała się burzyć i kipieć, a po chwili spod powierzchni wyłaniało się ciemne, duże cielsko w kształcie wywróconej łodzi. Po kilkuminutowym pluskaniu się obiekt znikał.

Olsen pojechał tam, gdzie potwora widywano najczęściej, a więc w pobliże ujścia do jeziora dwóch rzek niedaleko farmy Roalkvam. Na brzegach obu rzek stały tartaki. Ku swemu zadowoleniu Olsen stwierdził, że rzekomy potwór mógł powstać z naniesionych prądem rzek trocin, wyrzucanych przez tartaki. Na dnie jeziora trociny zmieszane ze szlamem, ulegając fermentacji, wybuchałyby nad powierzchnię.

Taka była teoria Olsena, ale nikt z tubylców nie dawał mu wiary. Przewodniczący miejscowej rady w porozumieniu z wpływowymi lokalnymi osobistościami zorganizował dochodzenie. Jesienią na sesji wyjazdowej zarząd muzeum w Stavanger zaprosił na swe obrady kilku świadków. Jednak nawet ich zaprzysiężone zeznania nie skłoniły nikogo do zmiany poglądów w tej sprawie. Wysunięto zatem propozycję schwytania stworzenia i zwrócono się do muzeum z prośbą o sfinansowanie tego przedsięwzięcia, w zamian za co mogłoby ono go wypchać i włączyć do swej ekspozycji. Jednak nieufny zarząd odrzucił propozycję.

Następny rok przyniósł dalszy ciąg sprawy. Pewnego wiosennego dnia miejscowy nauczyciel, pan Roalkvam, obserwował wraz ze swym bratem jezioro. W pewnej chwili w odległości około dwudziestu metrów od brzegu zauważyli niezwykłe poruszenie na powierzchni. Wzburzona, mętna woda pokryta była masą białej piany i nagle wypłynęła jakaś duża kłoda.

Czyżby potwór? Natychmiast powiosłowali w to miejsce, by znaleźć jedynie plamę piany, która została po całym zdarzeniu. Mieli jednak szczęście, gdyż po chwili woda zaczęła kipieć w innym miejscu i wreszcie na powierzchnię wynurzył się obiekt w kształcie wywróconej łodzi. Pokołysał się trochę na wodzie, a następnie z wolna pogrążył, tak że widoczny był tylko sam jego czubek. Zapanował spokój, a obiekt znieruchomiał. Mężczyźni znów powiosłowali w jego kierunku. Jakież było ich zaskoczenie, gdy ostatecznie stwierdzili, że była to „jednolita masa złożona z trocin, sosnowego igliwia, kawałków drewna oraz szlamu z dna jeziora. Próbowali doholować ją do brzegu, ale nie dali rady".

To interesujące sprawozdanie (jest ono wyciągiem z raportu w sprawie potwora z Lake Suldal, sporządzonego w 1897 roku przez A. J. Olsena dla rocznika wydawanego przez muzeum w Stavanger) dostarczyło Mauricowi Burtonowi sztandarowego przykładu „mat roślinnych", którymi tłumaczył on relacje pochodzące znad Loch Ness. Choć prawdą jest, że pierwsze publiczne sprawozdania o pojawieniu się potworów w norweskich jeziorach i rozpoczęcie pracy rzecznych tartaków zbiegły się w czasie, przecież może to być tylko zwykły przypadek. A czy na przykład w 1533 roku w Mjosa też były tartaki? Bo doprawdy nie wiadomo, jak tłumaczyć te wszystkie podawane wcześniej typowo zwierzęce szczegóły – gdyby potworem była jedynie kupa śmieci.

Elizabeth Skljelsvik wydobyła z archiwów instytutów folklorystycznych w Oslo szczegółowe dane o norweskich jeziorach, nawiedzanych rzekomo przez potwory. Tu jednak znów wracamy do świadectw opartych na pogłoskach, do mglistych legend, w większości pozbawionych jakichkolwiek szczegółów. W niektórych jednak legendach znajdujemy konkrety. Na przykład zwierzę ze szwedzkiego jeziora Bullare było wielkości rocznego cielęcia z trzyipółmetrową szyją. Stworzenie z jeziora Rommen miało głowę podobną do cielęcej, a także ciało jak kłoda drewna. Potwór z Odergardskilen był również wielkości bala, potrafił się jednak wyginać i miał spiczasty język. W Sorsasjoen przebywało zwierzę podobne do brązowej kłody trzydziestocentymetrowej szerokości. Stworzenie zaś widziane w 1868 roku w Ringsjoen łyskało białymi zębami w końskim łbie takich rozmiarów, że „mógłby tam wleźć kot".

Niejaki Samuelson opisał zwierzę z Bergso jako posiadające szyję złożoną z siedmiu lub ośmiu stalowoszarych, metrowych członów grubości ludzkiego uda. Samuelson podał też, że zwierzę z Oyvanna miało łeb cielęcia i oczy „wielkości dłoni".

O zwierzęciu z Krodern mówiono, że ma głowę jak mały domek, co jest nonsensem, miało też jednak duże oczy oraz podobno ryczało jak krowa, co brzmi już bardziej prawdopodobnie. Relacje bardzo ucierpiały wskutek tego, że spisywali je dziennikarze. Na szczęście Ivar Wiel, pisząc w norweskim czasopiśmie geograficznym, wykazuje pewne umiarkowanie: informuje bowiem, że zwierzę z Tyrifjorden miało od dwóch do ośmiu metrów długości.

Folklorysta zaś znów sprowadza wszystko do absurdu, pisząc, że zwierzę w Stuvsfjordhylen miało pięć i pół metra długości, ogon „jak wierzeje stodoły, zaś oczy jak łopaty", co oznacza, że ogon był rozdwojony, a oczy nie większe niż szparki.

Wszystkim zwierzętom w małych jeziorach w Deblemyren w pobliżu Mandal, Repstadvanet, Tinnkjodnet i Sogne rosły na karkach końskie grzywy. Tymczasem stworzenie w Lundevatnet miało osiem lub dziewięć garbów oraz poruszało się szybciej niż motorówka; to z Mosvatnet było czarne z odcieniem brązu i miało foczy łeb z białym kołnierzem oraz korpus jak nieregularną kłodę drzewa akacjowego; jeszcze inne – z Ormsjoen (czyli Jeziora Potwora) było podobno również brązowe, jednak z barokowymi ozdobnikami w postaci kolców oplecionych wodną roślinnością.

W Krovatnet tajemnicze stworzenia były szare w małe i duże ciapki. W Storevatn mieszkało dziesięciometrowe, lśniące czernią zwierzę. Potwór z Torfinnsvatnet miał łeb smoka, wielką paszczę i krokodyle kończyny. Według autora z 1872 roku, monstrum ze Skodje dorównywało swoim obwodem ludzkiej talii, miało łeb konia, grzywę i oczy jak talerze. Ktoś powiedział, że mierzyło sześć metrów długości. Ale jeden okaz w Sandstavatnet miał mieć sześćdziesiąt metrów, podczas gdy inny – w Jolstravatnet – osiągnął ponoć osiemset metrów długości!

Niektóre szczegóły w tym niesamowitym zamęcie pobrzmiewają swojsko, większa jednak część relacji jest zbyt podbarwiona, aby miała jakieś praktyczne znaczenie. Norweskie relacje to oczywiście coś więcej niż świadectwo obserwacji roślinnych mat, ale większość z nich wymaga jeszcze skrupulatnych badań, zanim się je zaakceptuje. Panna Skjelsvik pisze, że potwór z Kro w Orekram widywany jest głównie latem, inny, w jeziorze Somma – około połowy lata, jeszcze inny, z jeziora Sansa – podczas bezwietrznej pogody, zazwyczaj o świcie. Dodaje ona, że „pojawianiu się potwora towarzyszy zwykle wzburzenie i niepokój w wodzie". Autorka uważa, że wszystko to wzmacnia teorię roślinnych mat. Ale wiemy również, że wszystkich tych szczegółów można także użyć dla poparcia teorii istnienia nieznanego zwierzęcia. Bo też i nie ma najmniejszych wątpliwości, że w jeziorach norweskich jest coś więcej niż roślinne maty.

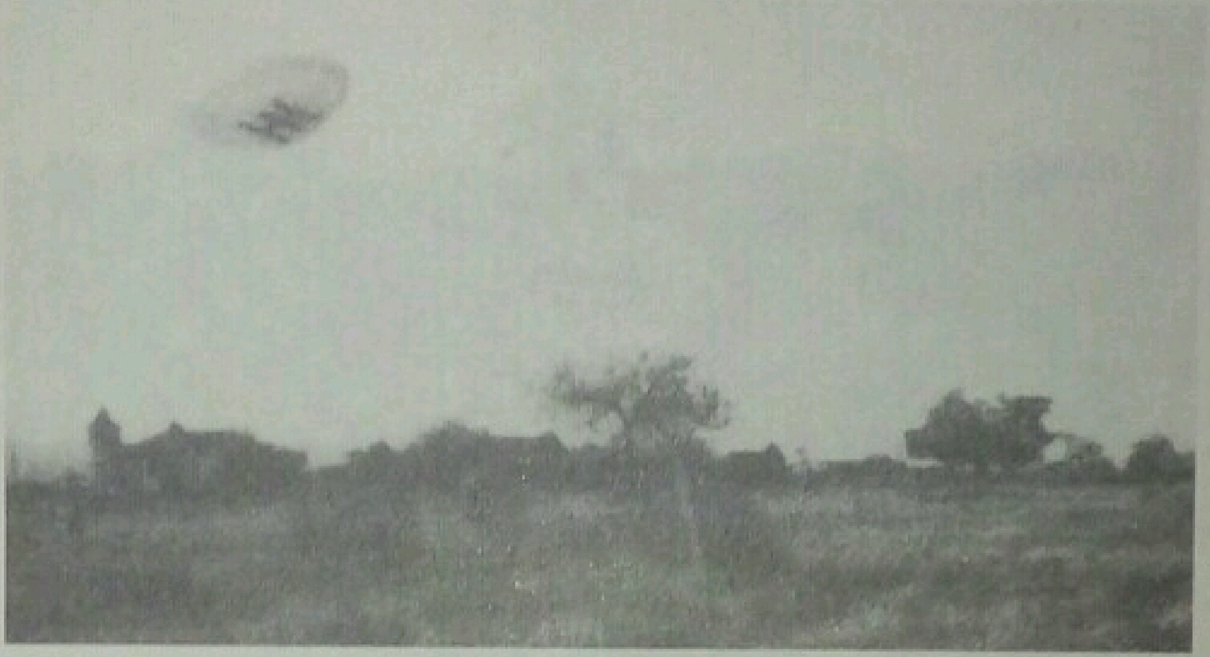

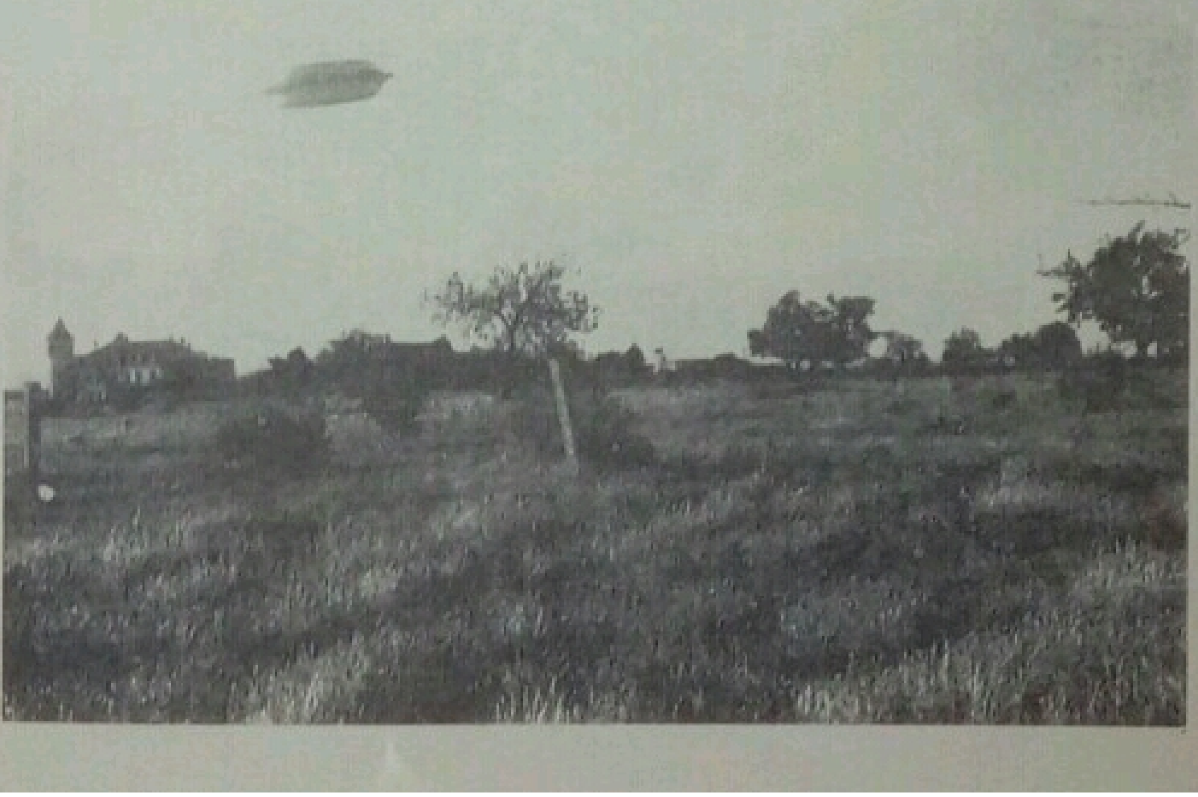

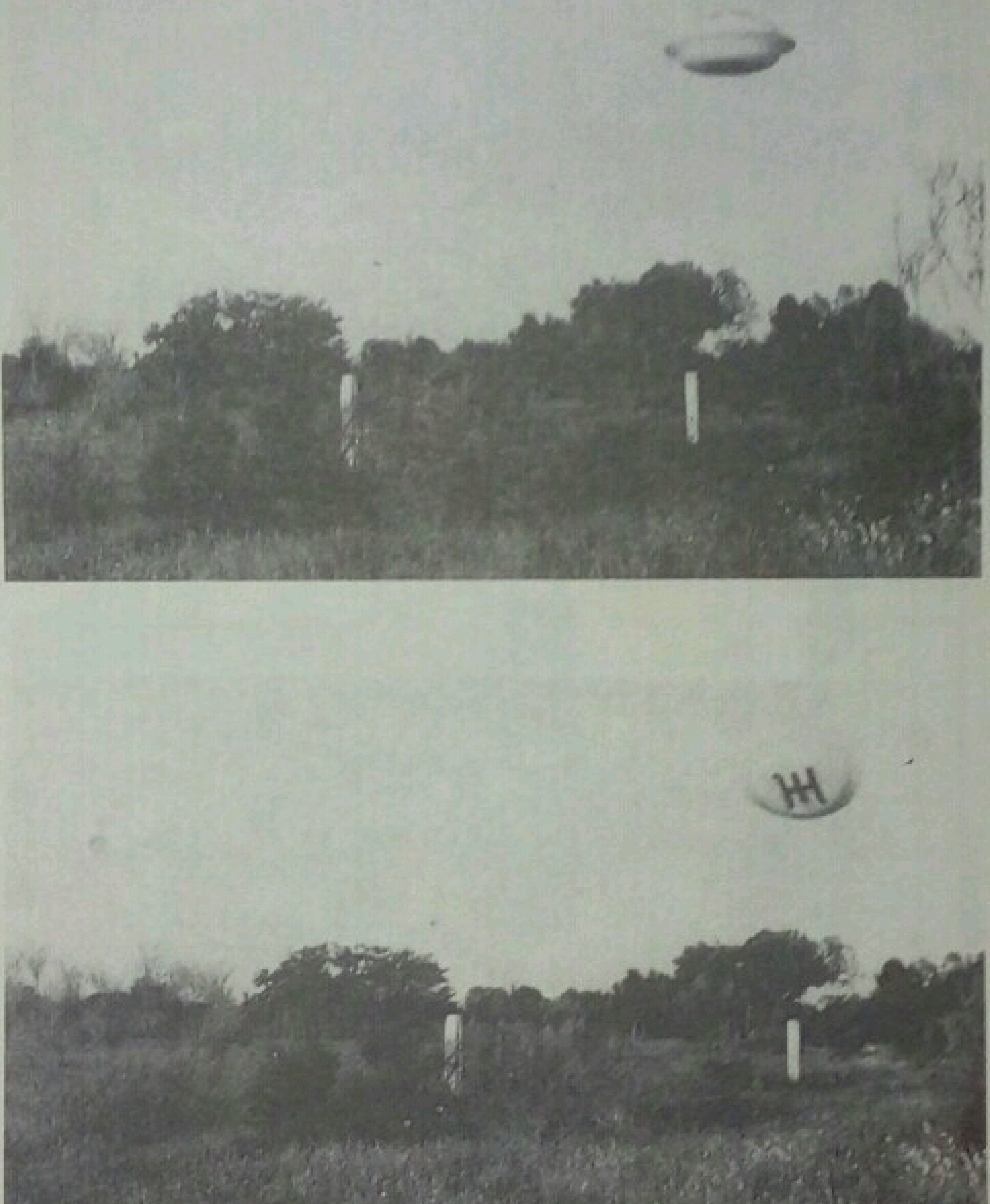

Fotografie UMMO z charakterystycznym znakiem opisywanym przez świadków. *Tajemnica UMMO.*

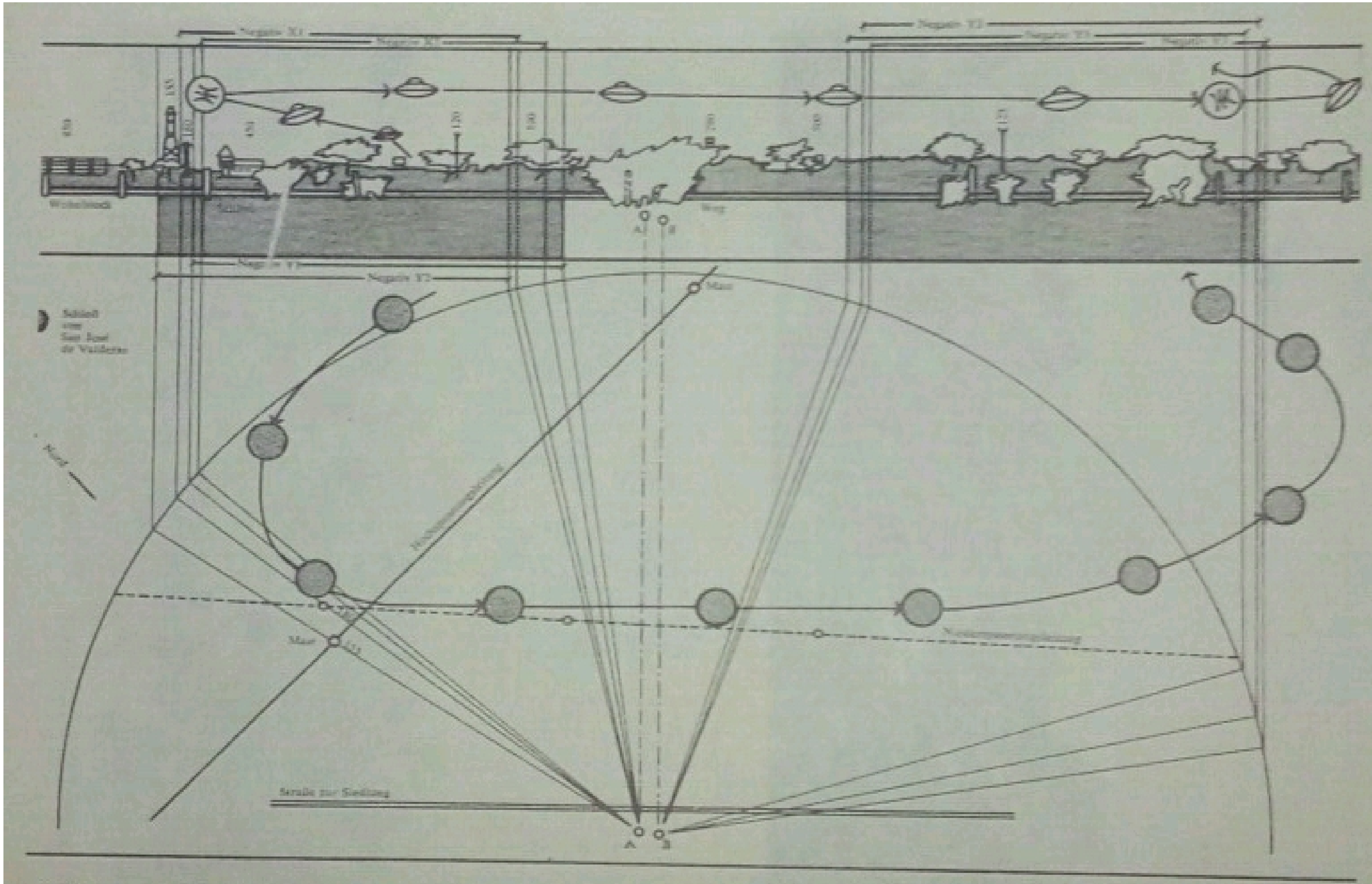
Negativ X1
Negativ X2
Negativ Y1
Negativ Y2
A
B
Mast
Weg
Nord

Szkic przedstawiający tor lotu oraz miejsca, w których wykonano zdjęcia UMMO.
Tajemnica UMMO.

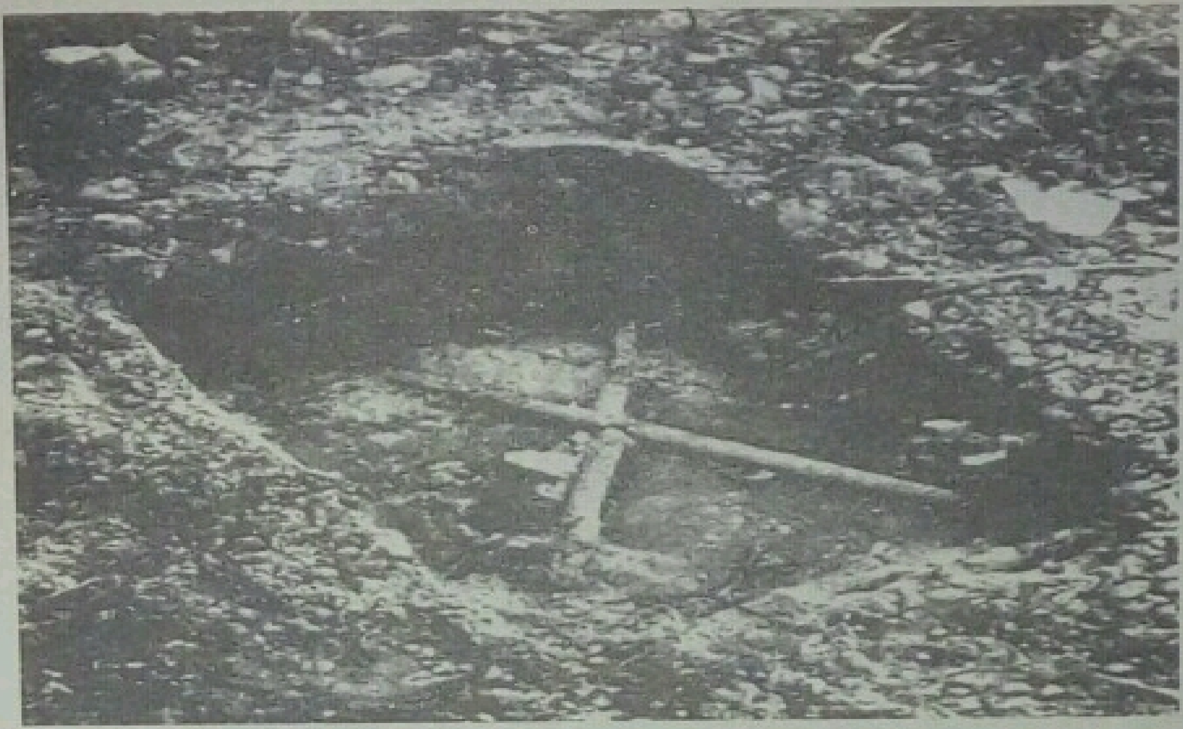

Ślad na ziemi spowodowany przez obiekt latający w miejscowości Aluche.
Tajemnica UMMO

Pręt niklowy i pasek plastiku pozostawiony przez przybyszów. *Tajemnice UMMO*

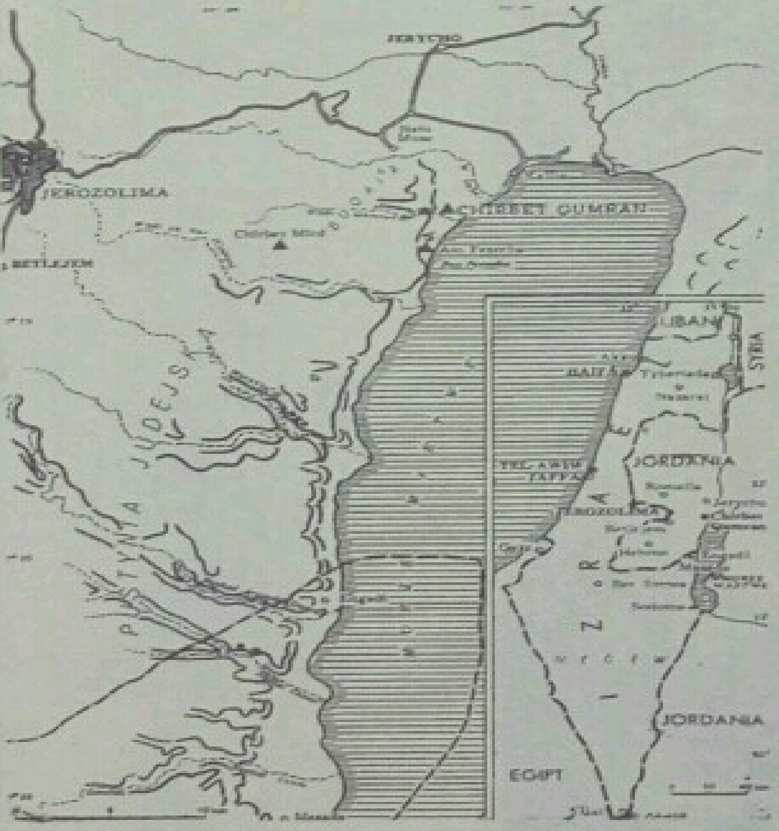
JERYCHO
JEROZOLIMA
BETLEJEM
CHIRBET QUMRAN
PUSTYNIA JUDEJSKA
LIBAN
SYRIA
HAIFA
JORDANIA
TEL-AWIW JAFFA
JEROZOLIMA
JORDANIA
EGIPT

Mapy znalezisk biblijnych w okolicach Qumran.
Ile jest jeszcze podobnych miejsc?
Dzieje manuskryptów znad Morza Martwego czyli tajemnice Biblii

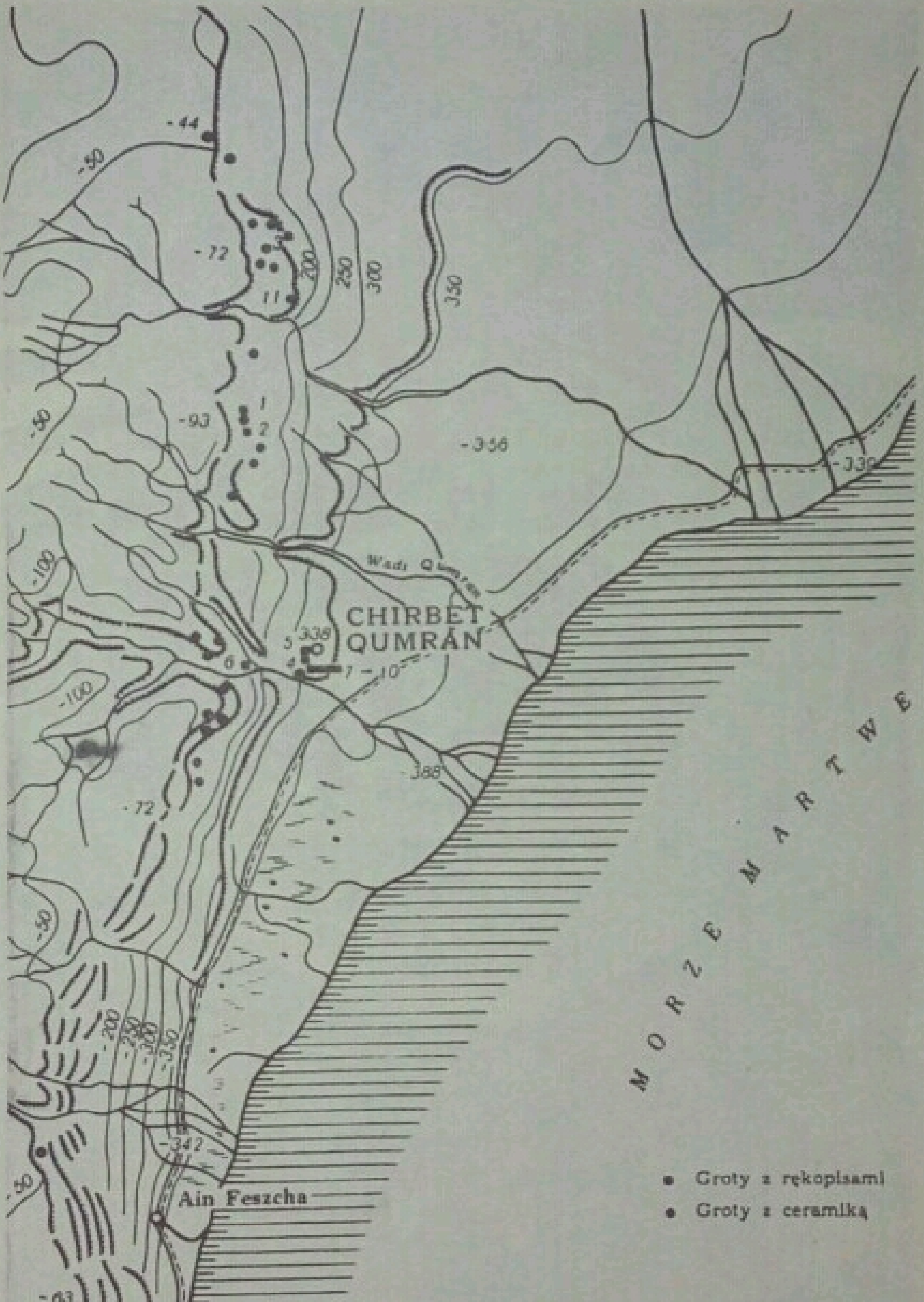
-44
-50
-72
11
200
250
300
350
-90
-93
1
2
-3.56
-330
Wadi Qumran
CHIRBET QUMRĀN
5
338
4
7
-10
6
-100
-100
-72
-388
MORZE MARTWE
-50
-200
250
300
330
-342
Ain Feszcha
-50
-63
RAS FESZCHA
● Groty z rękopisami
● Groty z ceramiką
0
1km

PAPERBACK LIBRARY 54-678
#4 IN A SERIES 75¢
THE COSMIC FORCES OF MU
James Churchward
A startling occult study of an ancient super-civilization more scientifically advanced than our own.

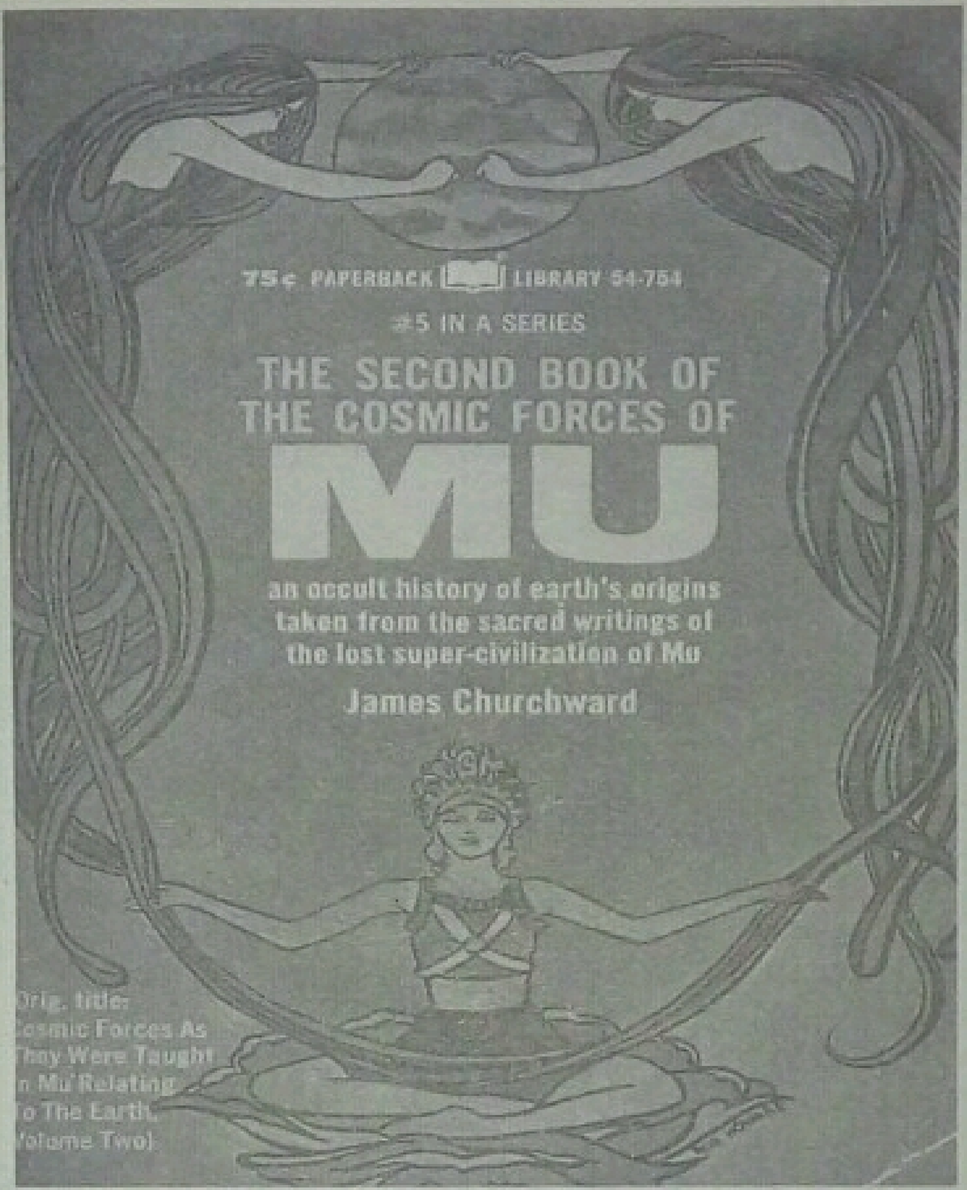
75¢ PAPERBACK LIBRARY 54-754
#5 IN A SERIES
THE SECOND BOOK OF THE COSMIC FORCES OF
MU
an occult history of earth's origins taken from the sacred writings of the lost super-civilization of Mu
James Churchward
rig. title: osmic Forces As They Were Taught n Mu Relating To The Earth, olume Two)

Okładki najsłynniejszych bodaj książek o tajemniczym kontynencie Mu autorstwa pułkownika J. Churchwarda, postaci kontrowersyjnej.
Miał on otrzymać od kapłanów tybetańskich dowody na istnienie w odległej przeszłości zaginionej dziś i zapomnianej prakultury w postaci tabliczek z pismem Mu
Zaginiony Kontynent Mu
Dzień Mu
Święte symbole Mu
Kosmiczne siły Mu

Fotografia „ściany w Bimini" wykonana z wysokości kilku metrów nad poziomem morza.

Przejrzysta woda pozwala na obserwację niezwykłego ukształtowania dna morskiego, które wynurzyło się z powodu wstrząsów tektonicznych

Widok „ściany w Bimini" z przejściem pośrodku konstrukcji. Mury Atlantydy czy naturalnie ukształtowane dno morza?

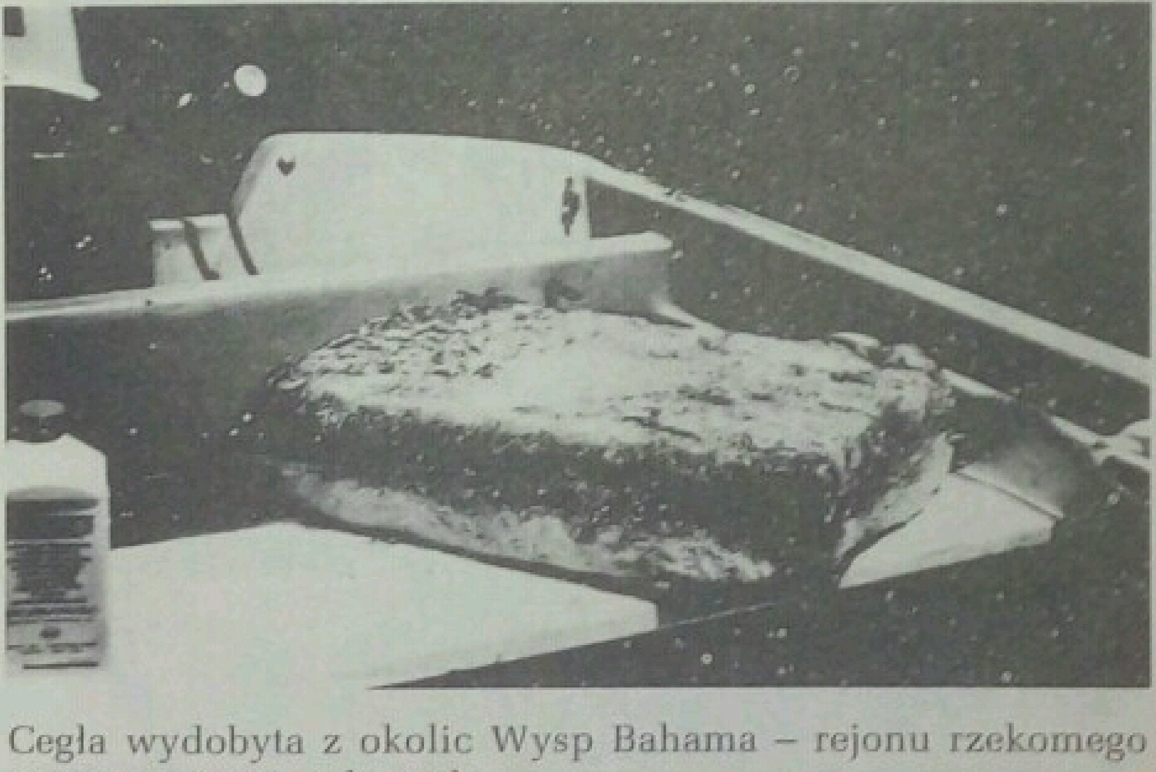

Cegła wydobyta z okolic Wysp Bahama – rejonu rzekomego wynurzania się Atlantydy

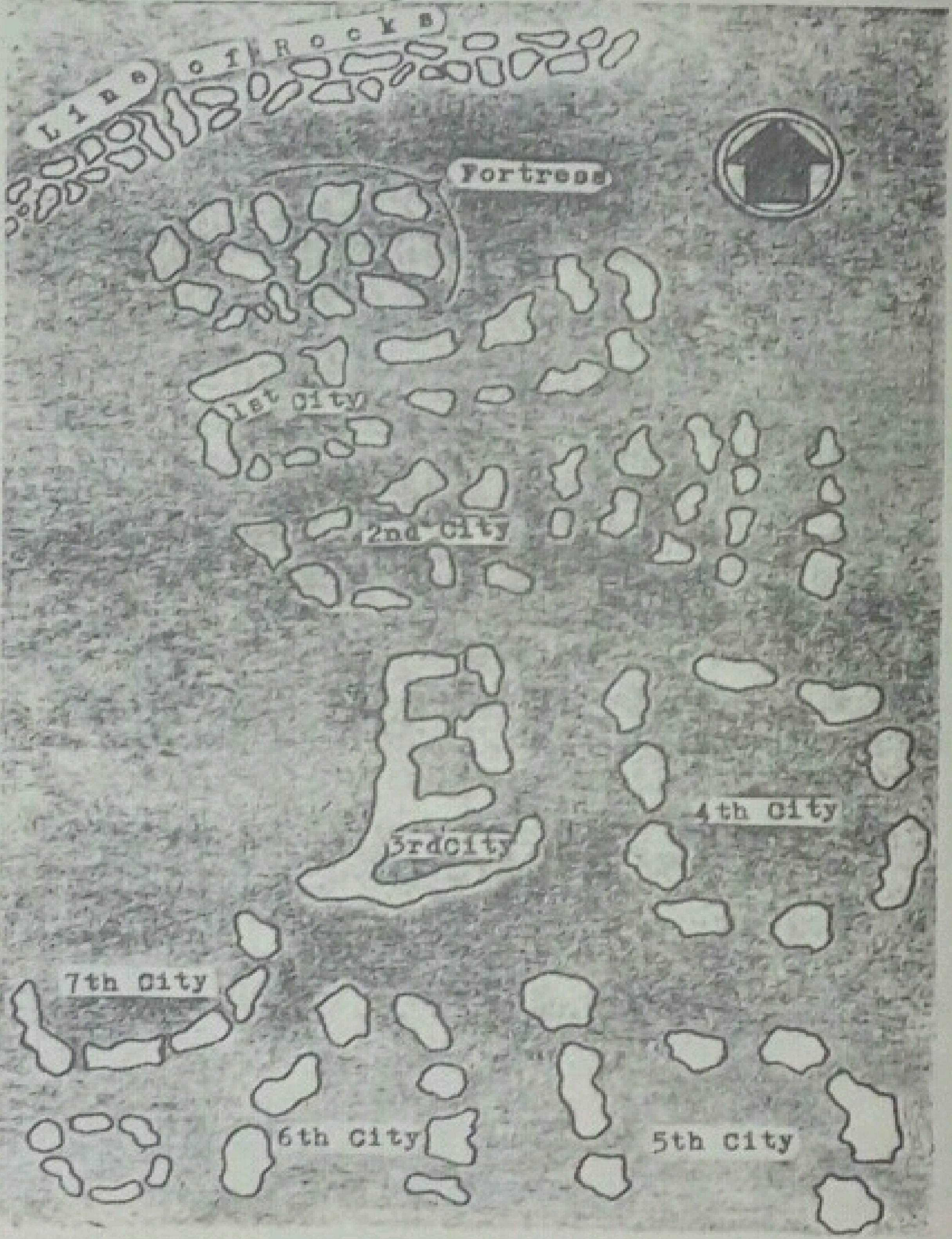
Line of Rocks
Fortress
1st City
2nd City
3rdCity
4th City
5th City
6th City
7th City

Mapa Siedmiu Kamiennych Miast. Czy są to ślady pradawnych osiedli ludzkich czy jedynie kaprys natury?
Kto odkrył Brazylię?

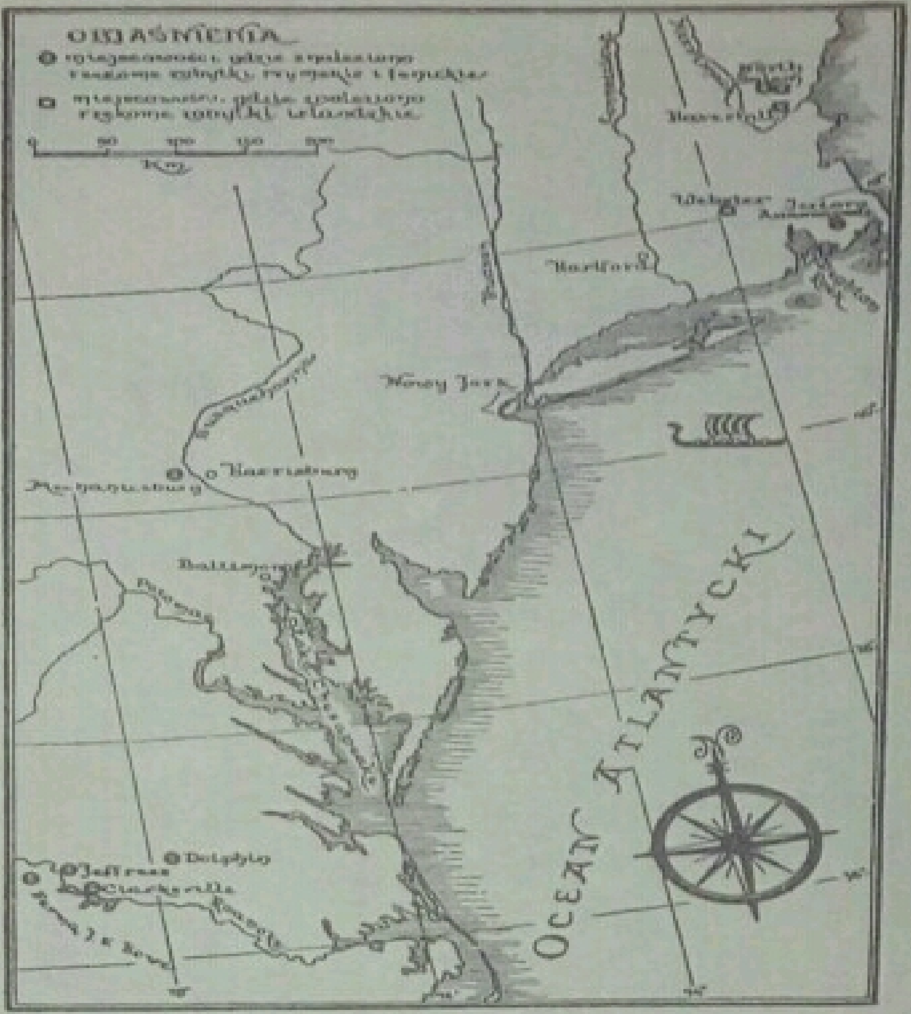
OBJAŚNIENIA
Km
Hartford
Nowy Jork
Harrisburg
Baltimore
OCEAN ATLANTYCKI

Znaleziska rzekomych zabytków fenickich na obszarze USA.
Kto odkrył Brazylię?

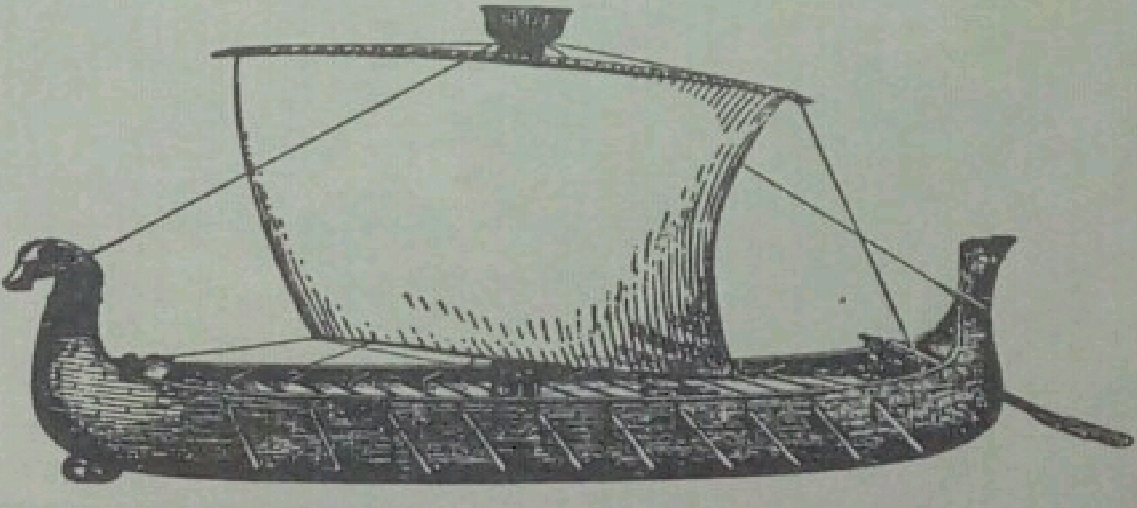

Statek fenicki. Czy był on zdolny przebyć Atlantyk?
Kto odkrył Brazylię?

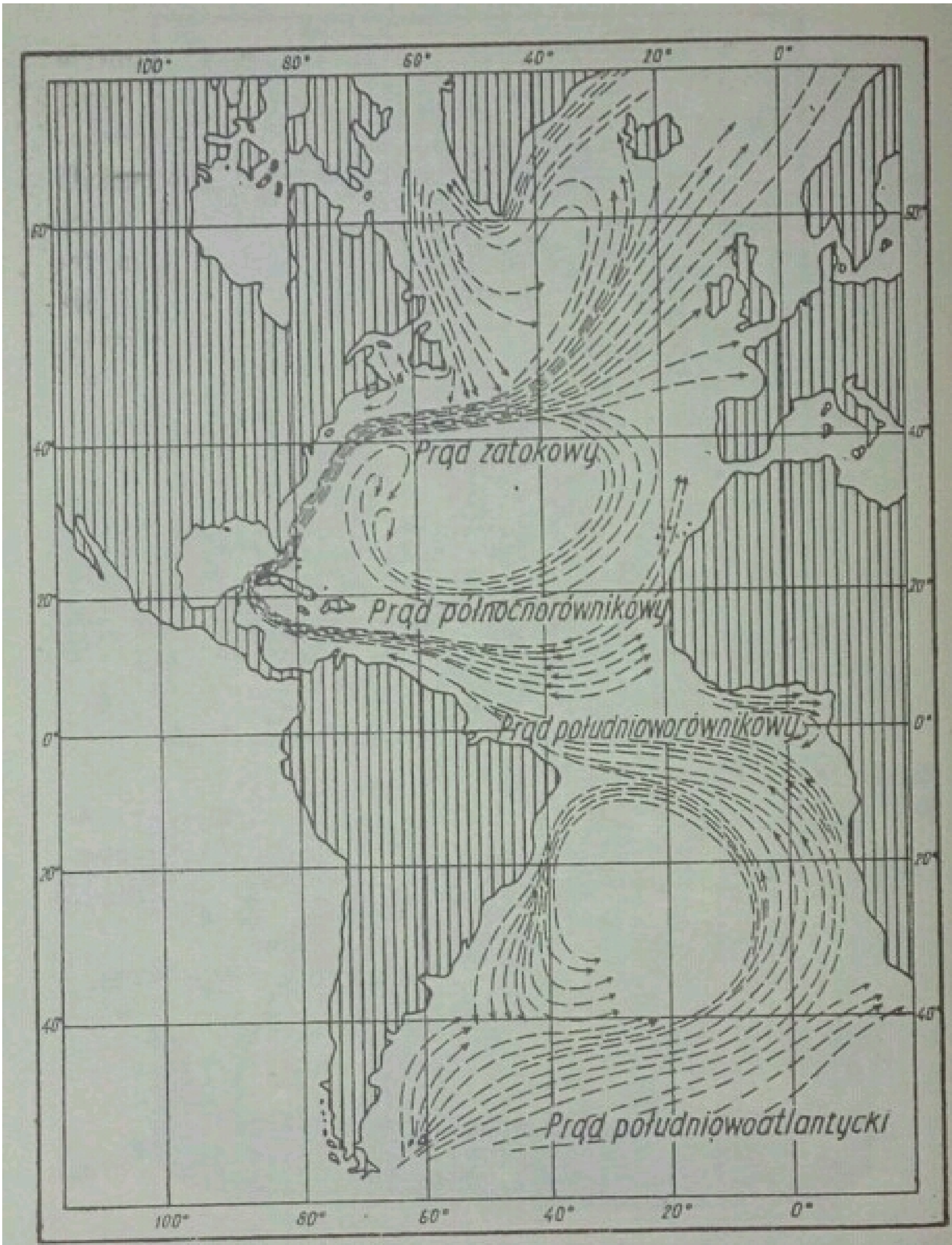
100°
80°
60°
40°
20°
0°
60°
40°
20°
0°
20°
40°
Prąd zatokowy
Prąd północnorównikowy
Prąd południoworównikowy
Prąd południowoatlantycki

Mapa prądów na Oceanie Atlantyckich. Czy pomogły fenickim żeglarzom dopłynąć do brzegów nieznanego lądu? *Kto odkrył Brazylię?*

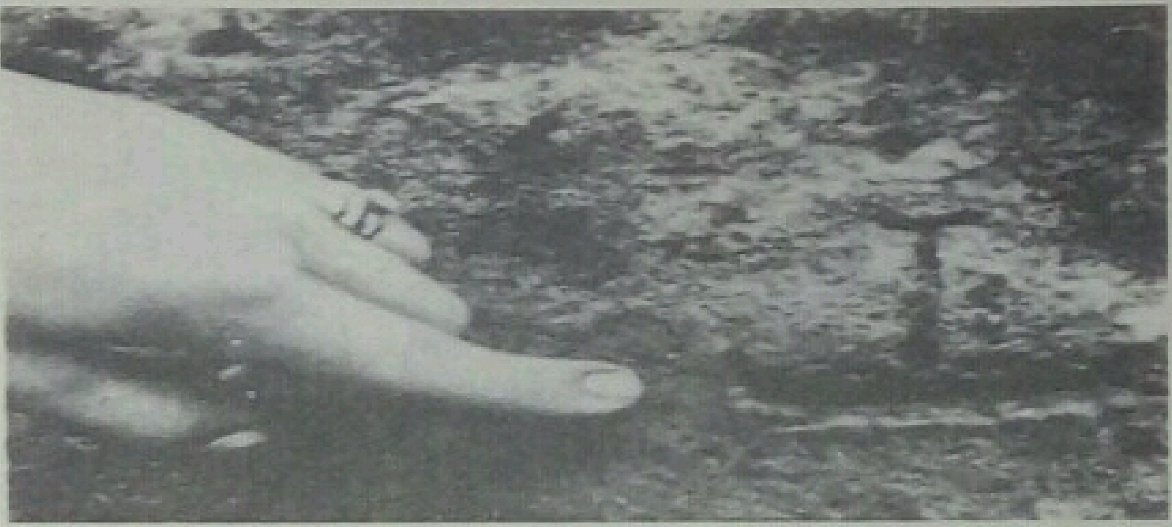

Rysunek skalny rzekomego statku fenickiego z Assawompet.
Kto odkrył Brazylię?

Ten kamień sakralny z Pattee's Caves mógł służyć fenickim żeglarzom do składania ofiar z ludzi.
Kto odkrył Brazylię?

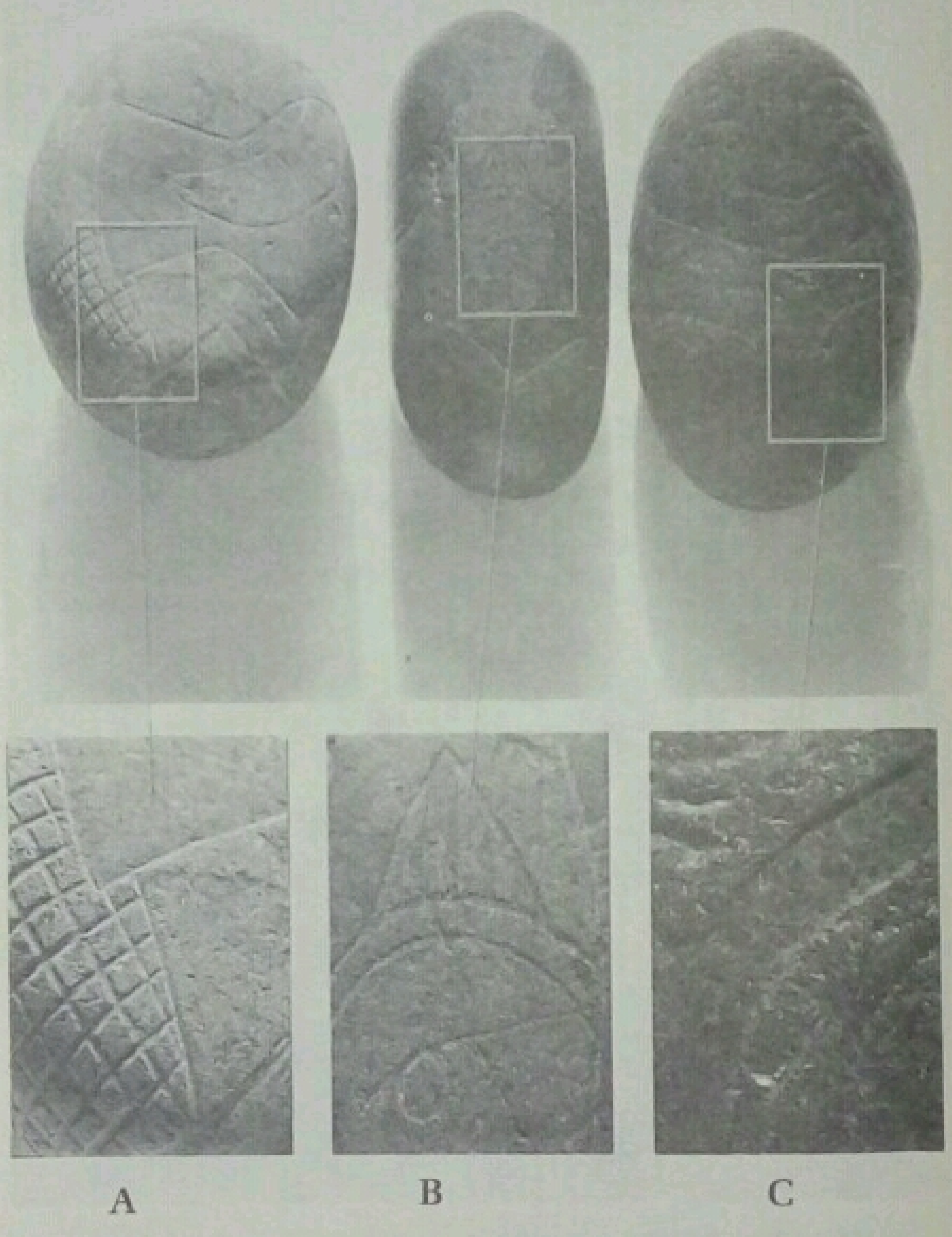
A
B
C

Wszystkie trzy kamienie po lewej pochodzą z Ocucaja. Pierwszy od prawej jest autentyczny i pochodzi z grobowca z epoki Paracas z początków naszej ery. Dwa pozostałe są falsyfikatami rozpoznawalnymi z powodu jaśniejszej barwy, mimo próby nałożenia patyny na kamień środkowy.
Styl dekoracji falsyfikatów jest nieudolnym naśladownictwem oryginalnych wzorów, które kontrastuje z bogactwem detali:

A – Detal z „przepaską". Świeżość rytu ujawnia się dzięki różnicy barwy między wierzchnią warstwą kamienia a jasnymi nacięciami. Ich precyzja świadczy o niedawnym czasie powstania ornamentu.

B – Kamień sztucznie patynowany. Części nacięte łatwiej wchłonęły tłuszcz i paradoksalnie wydają się ciemniejsze.

C – Kamień autentyczny. Zestarzenie się powierzchni grawerowanych i nietkniętych rylcem jest identyczne: te same proporcje wgłębień, ta sama barwa.

„Biblioteka Andów" – oszustwem

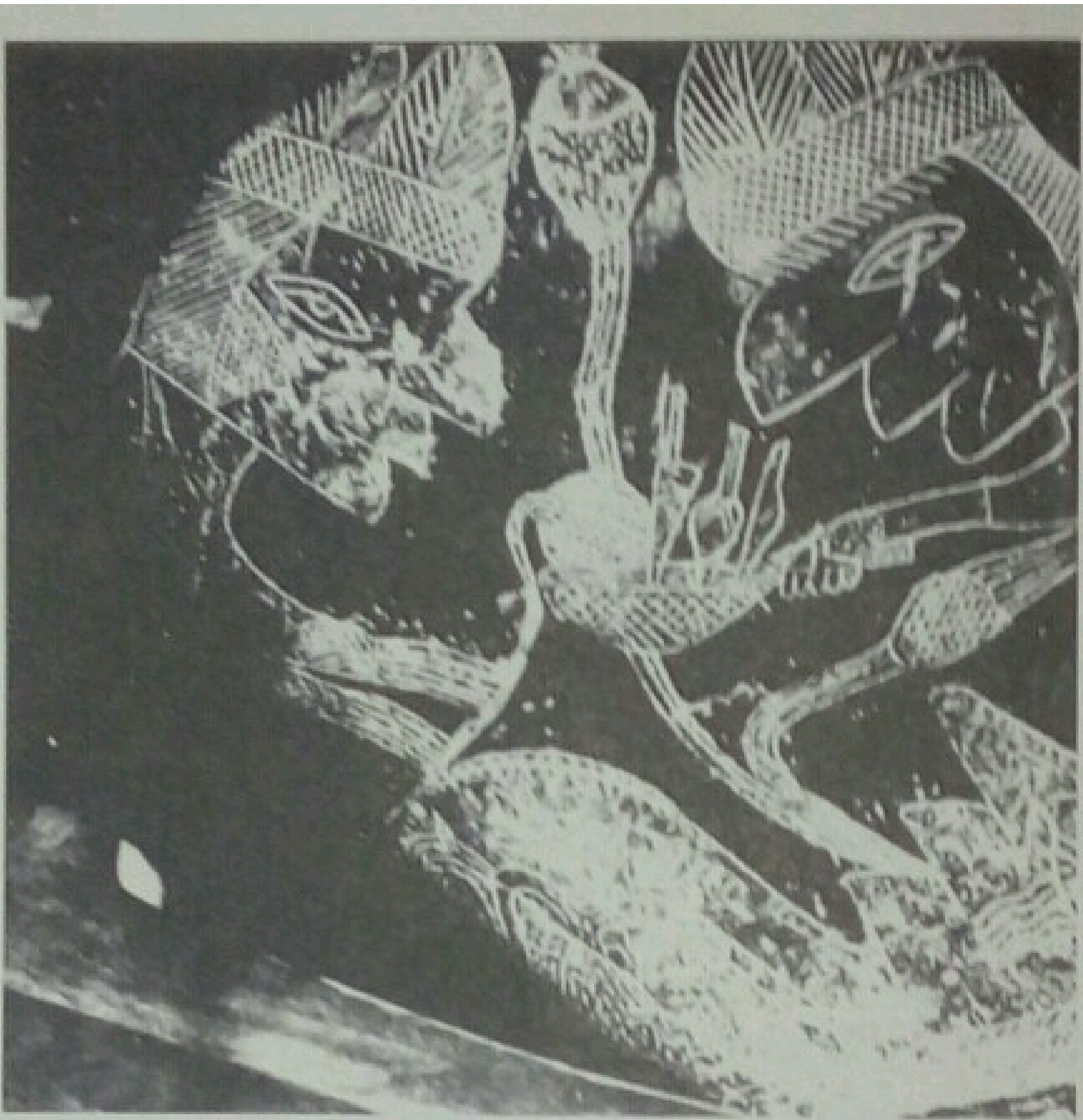

Transplantacja serca.
Jeden skromny kamyk posłużył uczonym łowcom dinozaurów z Ica do przekazania szczegółów skomplikowanego zabiegu. Z surowym wyglądem postaci kontrastuje bogactwo szczegółów anatomicznych. Jesteśmy świadkami najdramatyczniejszej fazy operacji, kiedy chirurg zaszywa brzuch pacjentowi znajdującemu się pod podawaną doustnie narkozą. Operujący dysponują wyrafinowanym oprzyrządowaniem, ale nie zdjęli pióropuszy ani nie założyli na twarze masek.

„Biblioteka Andów" – oszustwem

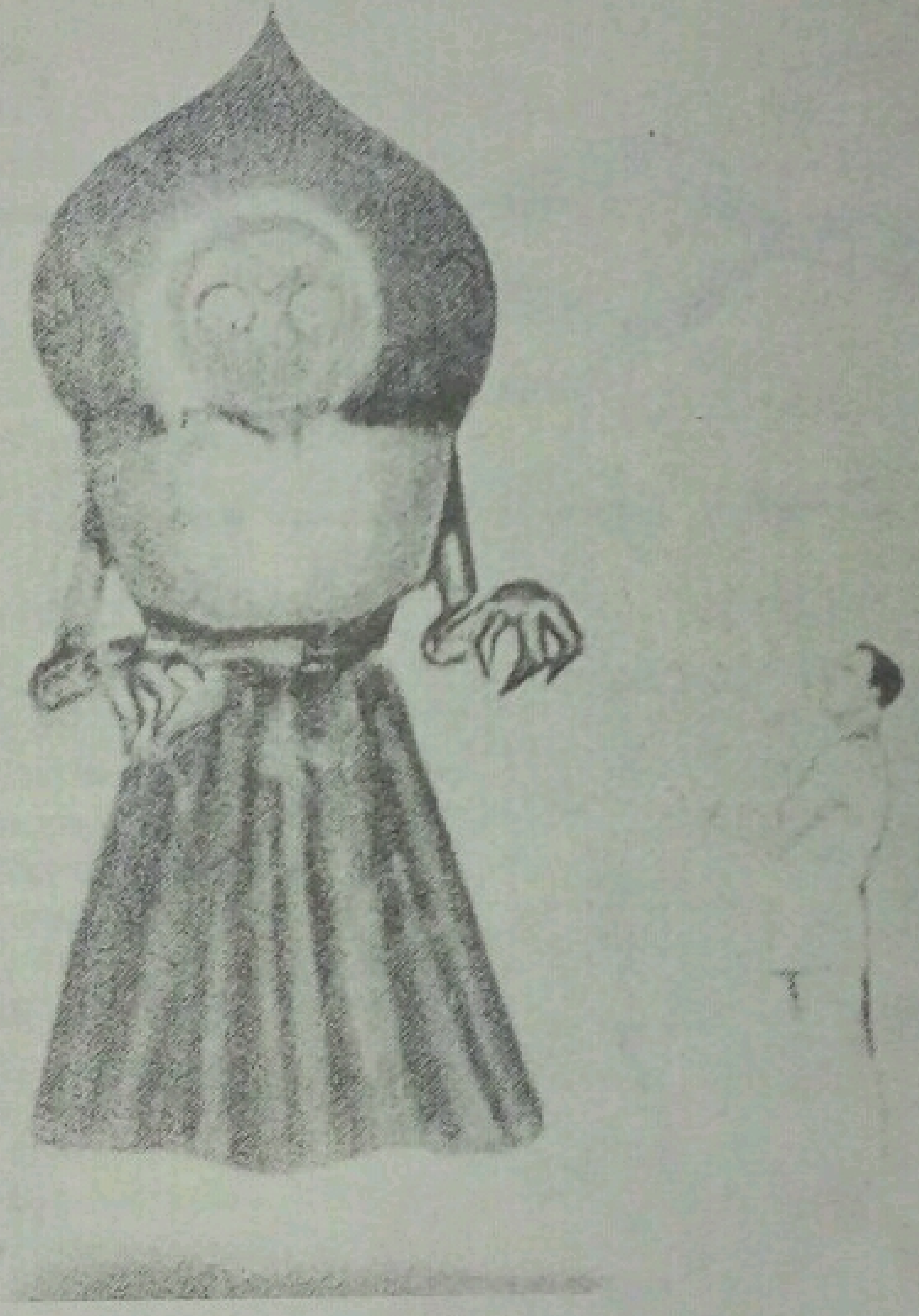

Artystyczne wyobrażenie potwora z Flatwoods. A jak wyglądał naprawdę?
Postrach Flatwoods

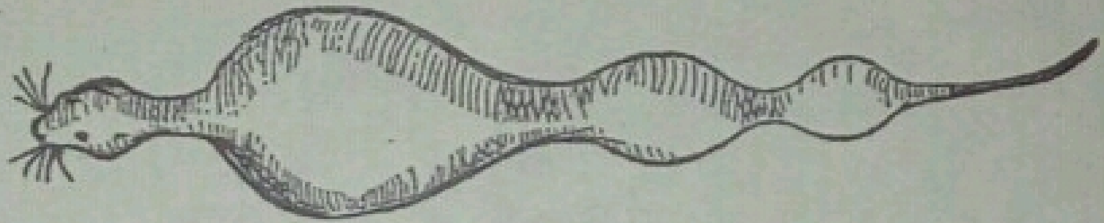

Skrimsl według szkicu wykonanego przez islandzkiego farmera.
Soe-Orm i Skrimsl

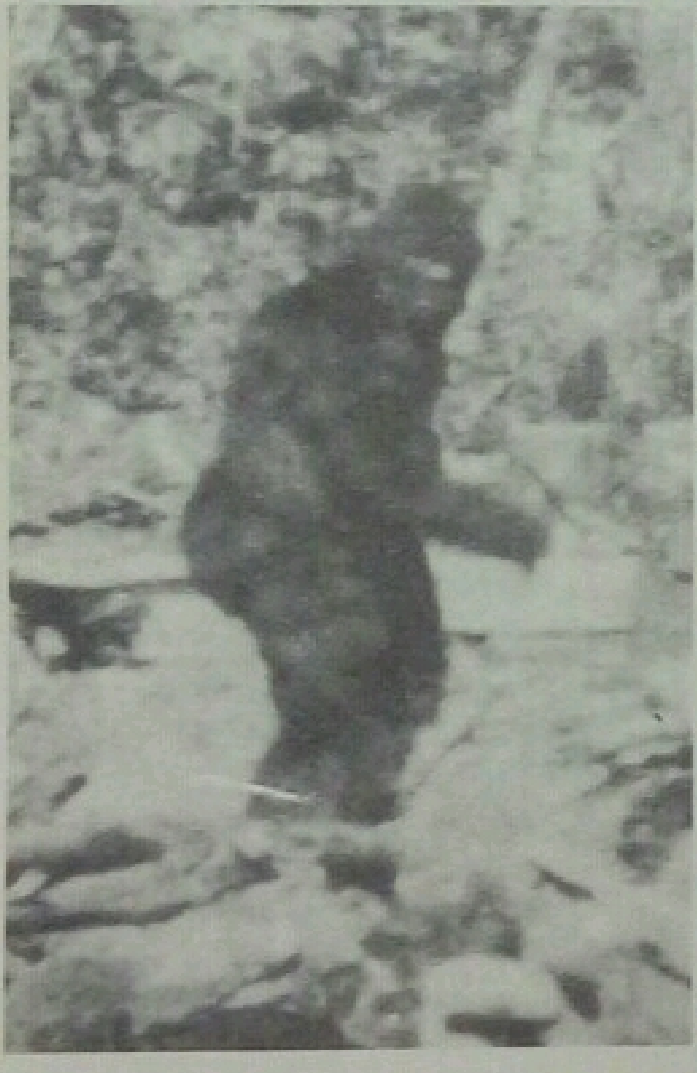

Najsłynniejsze na świecie zdjęcie (jedna z klatek filmu) hipotetycznej Wielkiej Stopy (Sasquatcha) – olbrzymiej istoty żyjącej w lasach na pograniczu kanadyjsko-amerykańskim. Człowiek czy zwierzę?
Ludzie-zwierzęta

SPIS TREŚCI

ISTOTY POZAZIEMSKIE WŚRÓD NAS

Co widział Gary Wilcox? 6
Tajemnica UMMO 12

LUDZIE I DUCHY

Fryderyk Jurgenson i głosy zmarłych 28
Medalion od zmarłych 33
Poltergeist niszczy biuro 37

NIEZWYKŁE SNY

Ciało na zakręcie rzeki 46
Dwie przeciwko demonowi 48
Sny o zaginionych 52

TAJEMNICZA PRZESZŁOŚĆ

Atlantyda raz jeszcze 58
Czym były Mu i Lemuria 68
Biblia zwana *Septuagintą* 79
Dzieje manuskryptów znad Morza Martwego, czyli tajemnice Biblii 82
Kto odkrył Brazylię? 91
Zagłada Biblioteki Aleksandryjskiej 101
„Biblioteka Andów" oszustwem....................108

TAJEMNICZE ISTOTY

Postrach Flatwoods 118
Szkockie konie wodne 122
Ludzie-zwierzęta 151
Soe-Orm i *Skrimsl* 158

WYDAWNICTWO **Pandora Books**
PROWADZI ZA ZALICZENIEM POCZTOWYM
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ SWOICH KSIĄŻEK:

Ilość

KSIĘGA RZECZY DZIWNYCH 27 000 zł ☐
Tajemnicze kulty i sekty, energia uzdrawiająca, wilkołaki, wampiry, trójkąt bermudzki, objawienia i religijne wizje oraz kilkadziesiąt innych, zdumiewających faktów.

KSIĘGA RZECZY DZIWNYCH 2 27 000 zł ☐
Atlantyda, jasnowidzenie, reinkarnacja, trzecie oko, fizyczne ślady UFO, cywilizacje pozaziemskie, dusiciele, a także wiele innych niezwykłych zdarzeń i zjawisk.

KSIĘGA RZECZY DZIWNYCH 3 27 000 zł ☐
Czarna dziura z Kalkuty, krawędź Wszechświata, afera Levy'ego, projekcja astralna, Immanuel Welikowski, Carlos Castaneda, przedziwne spadki i wiele innych.

KSIĘGA TAJEMNIC 1 *Thomas De Jean* 27 000 zł ☐
Wyspa strachu, ludzie-pochodnie, ślady stóp diabła, tajemniczy stwór Matah Kagmi i inne tajemnice.

KSIĘGA TAJEMNIC 2 *Thomas De Jean* 27 000 zł ☐
Domy-widma, tajemnica ludzi w czerni, niesamowite obiekty podwodne, potwory z Acambaro...

KSIĘGA TAJEMNIC 3 *Thomas De Jean* 27 000 zł ☐
Zagadka Ummo, monstrum z Flatwoods, ludzie-zwierzęta, co zniszczono w bibliotece aleksandryjskiej i wiele innych.

KSIĘGA REKORDÓW SEKSUALNYCH *G. L. Simons* 25 000 zł ☐
Ujawnia fakty, które zawsze chcieliście poznać, ale nie mieliście odwagi do tego się przyznać.

KSIĘGA WYBRYKÓW NATURY 30 000 zł ☐
Niewiarygodny świat ludzkich osobliwości.
Ponad 250 ilustracji.

ZETKNIĘCIE Z UFO *Allen Hynek* 20 000 zł ☐
Człekokształtna istota postrzelona przez agentów FBI
Doradca amerykańskiego lotnictwa ujawnia kulisy rządowych badań nad UFO.

☐ **KSIĘGA CUDOWNYCH UZDROWIEŃ** *Carmen Wagner* 29 000 zł
Wszystko o niezwykłych i niewytłumaczalnych uzdrowieniach, a także... seans łączności psychoenergetycznej, którego działanie możecie sprawdzić sami na sobie.

☐ **HOROSKOP DLA CIEBIE 1993**
A w nim dokładne prognozy na każdy dzień roku 1993. Zdrowie, miłość i seks, życie rodzinne i towarzyskie, sprawy finansów i kariery, test porównawczy Twoich zalet i wad – i wiele, wiele innych. Napisz nazwę znaku zodiaku jaki chcesz, byśmy Ci wysłali.

Cena jednego tomiku – 15 000 zł

☐ **NAJLEPSZE, NAJGORSZE, NAJBARDZIEJ NIEZWYKŁE**
Bruce Felton Mark Fowler 27 000 zł
Fascynujący zbiór zdumiewających faktów, zjawisk i zdarzeń.

☐ **BEZ WYJAŚNIENIA Kolekcja największych zagadek i tajemnic**
Phillip Morris
Księga Tota, tajemnica opata Trithemc'a, co John Dee ujrzał w czarnym lustrze?, rękopis Voynicha, manuskrypt Mathersa, zagadkowe zjawiska na niebie i inne. 27 000 zł

Zamawiam wymienione w okienku ilości książek.

Minimalne zamówienie: 2 książki.

Imię i nazwisko

adres

Zamówienia kierować na adres:

Pandora Books,
90-437 Łódź, al. Kościuszki 80/82

Płatne dopiero po otrzymaniu przesyłki !

NAJWIĘKSZE TAJEMNICE ŚWIATA

TAJEMNICA UMMO
LUDZIE I DUCHY
SNY O ZAGINIONYCH
CZYM BYŁY MU I LEMURIA
BIBLIA ZWANA SEPTUAGINTĄ
POSTRACH FLATWOODS

ISBN 83-900427-8-9